

JOYCE BELL

OGRÓD PEŁEN SŁOŃCA

ROZDZIAŁ I

Z okien pociągu widać było rzekę mieniającą się w słońcu Afryki. Po drugiej stronie bujnie zieleniła się dżungla. Pociąg powoli przemierzał pustkowie, a pasażerowie z trudem znosili męczący upał.

- Zdaje się, że jesteśmy już prawie na miejscu - z irlandzkim akcentem powiedziała siostra Teresa, dotykając dłonią mokrej twarzy.

Patrząc na nią trudno było się domyślić, że jest zakonnica. Od dzieciństwa była zwariowana, lubiła dużo mówić i co więcej: chodziła zamaszystym krokiem, który zupełnie nie uchodził zakonnicy. Wydawało się, że za chwilę podwinie habit i zacznie biegać. Trudno jej było zapamiętać choćby to, że zawsze powinna mieć spuszczone oczy. Przełożonym, mimo wysiłków, nie udało się jej zmienić. Wciąż była gadatliwa, skora do żartów, a w jej oczach niezmiennie igrał wesoły ognek przekory.

Spojrzała teraz na niepozorną kobietę, która siedziała w rogu przedziału. Wyglądała na trzydzieści pięć lat, a jej twarz, widoczna spod białego welonu, uderzała spokojem. Tylko oczy nie pasowały do całości. Były szare jak północne morze i kryły na dnie jakąś zagadkę. Siostra Teresa nie mogła tego zauważyć, gdyż w kobiecie widziała tylko swoją zwierchniczkę.

- Matko przełożona, tak się cieszę, że tu jestem.

Margaret uśmiechnęła się do podopiecznej i jej twarz nieoczekiwanie wypiękniała. Jednak szare oczy były wciąż pełne smutku i zdawały się mówić, że wiele by dała, by mieć w sobie tyle radości i zapału, co ta dziewczyna.

Pociąg jechał dalej, a przez otwarte okna buchało nieprzyjemne, gorące powietrze. Rozmowa ucichła, gdy po chwili odezwał się inny głos:

- Musimy być już prawie na miejscu.

Margaret zwróciła się w stronę młodej kobiety ubranej w białą sukienkę. Blond włosy niesfornie opadały jej na twarz.

- Niedaleko stąd - kontynuowała nieznajoma - rzeka skręca w głąb dżungli. Cieszę się, że ktoś oprócz mnie jedzie do tego odległego miejsca. To jest jeden z najbardziej odludnych terenów w Afryce. Nazywają go Zagubionym Zakątkiem.

- Naprawdę? - zdziwiła się siostra Teresa.

- Najwidoczniej wszystkie jedziemy do Waseke, więc mogłybyśmy się sobie przedstawić - zaproponowała dziewczyna.

- Nazywam się Nadine Phillips, jestem lekarzem. Ale mówcie do mnie po prostu Nadine. Myślę, że na takim odludziu formalności są raczej zbędne.

Siostry czekały, co powie przełożona. Margaret przedstawiła swe towarzyszki.

- Siostro Anno, twój akcent jest na pewno niemiecki - zauważyła Nadine. - A Dolores, jesteś chyba Hiszpanką? Ale Jadwiga? Ach, Polka. Widzę, że wasza wspólnota to taka mała Organizacja Narodów Zjednoczonych - odparła, a w jej głosie brzmiała lekka nuta kpiny. - Czy miałyście okazję już kiedyś pracować w tropiku?

- Tak, ja miałam - odparła spokojnie siostra Anna. - A siostra Dolores pracowała w dżungli Amazonii. - ciemnoskóra siostra Maria de los Dolores skwapliwie skinęła głową.

Margaret przyglądała się siostronom i myślała: "Tak, te dwie na pewno nie zawiodą. Co do Teresy nie jestem taka pewna. A ta młodziutka siostra Mary wygląda jak dziecko, taka niewinna. Czy aby matka generalna dobrze zrobiła wysyłając ją na takie odludzie?"

Siostra Mary, składając ręce, odezwała się:

- Wzięłam ze sobą nasiona kwiatów i trochę czarnoziemiu, aby je posadzić.

- Tutaj jest dosyć ziemi - łagodnie powiedziała Margaret, uśmiechając się.

- Tak, matko przełożona, ale ja kocham kwiaty. Chyba nie zrobiłam nic złego?

- Nie, dziecko, nie zrobiłaś nic złego.

Nadine ożywiła się, słysząc rozmowę o kwiatach.

- Tutaj rosną ogromne orchidee. Opowiadał mi o nich ojciec, który spędził w tych okolicach całe lata.

- Tutaj? W Newton? - zdziwiła się siostra Mary.

- Tak, pracował tu jako lekarz. Dlatego, kiedy ONZ ogłosiło, że potrzebuje lekarza w Waseke, tylko trzydzieści mil od Newton, błyskawicznie zgłosiłam się na ochotnika.

- Proszę powiedzieć coś o swoim ojcu - poprosiła z lekkim wahaniem siostra Teresa.

- Umarł na śpiączkę. Zachorował, próbując znaleźć na nią lekarstwo.

- To bardzo piękne, że chcesz kontynuować dzieło ojca - odparła z entuzjazmem siostra Mary, rumieniąc się z przejęcia.

- Niezupełnie - odparła nieprzyjemnie Nadine. - Nie jestem taka święta. Powód, dla którego zdecydowałam się tu przyjechać, jest zupełnie inny.

Margaret po raz pierwszy uważnie przyjrzała się dziewczynie. Siedziała wyprostowana, pewna siebie i wyglądało na to, że chciała pokazać się w jak najgorszym świetle. Zastanawiała się, dlaczego? Co chciała przez to ukryć?

Tymczasem Nadine zwróciła się do starej zakonnicy, siedzącej obok Margaret.

- Dlaczego tu przyjechałaś, siostró Jadwigo? - spytała.

Zakonnica uniosła wzrok i przyjrzała się uważnie dziewczynie, mówiąc:

- Żyłam tutaj przez trzydzieści lat. Tu jest mój dom.

Nadine wydawała się zainteresowana.

- Dlaczego wyjechałaś?

- Musiałam. Pewnej nocy obudziły nas huki, strzelanina i walenie do drzwi. - W głosie starej zakonnicy nie było cienia emocji, co sprawiło, że rzeczy, o których zaczęła opowiadać stały się jeszcze bardziej przerażające. - Jacyś ludzie wprowadzili nas na zewnątrz. Potem zastrzelili naszego księdza.

Zaległa cisza, a pociąg dalej turkotał, nieubłaganie zdążając do Waseke.

- Kto to zrobił? - spytała Nadine. - Czy byli to ludzie, wśród których mieszkaliście?

- Och nie, wieśniacy byli dobrzy. Nawet walczyli z napastnikami, gdy w tym czasie reszta z nas próbowała uciec.

- I co, udało się? - spytała.

- Tylko ja uszłam z życiem - głos siostry Jadwigi brzmiał wciąż sucho i rzeczowo. * Uciekłam do lasu i stamtąd widziałam, jak podpalili naszą misję. Przesiedziałam w krzakach całą noc, a nad ranem przekradłam się do miasta.

Zapadła głęboka cisza, którą po chwili przerwała Nadine.

- I po tym wszystkim wracasz tutaj?

Zakonnica skinęła głową twierdząco.

- Tu jest mój dom - powtórzyła.

Margaret patrzyła na wypaloną słońcem równinę. Nie dalej jak wczoraj była jeszcze w Angli, czekała razem z zakonnica-
mi na samochód, który miał je zawieźć na lotnisko. Parę tygodni temu, szczęśliwa, opiekowała się małą szkółką w konwikcie dla dziewcząt. Kochała swoje uczennice i wspólnotę, w której żyła. Była przywiązana do okazałych, starych budynków otoczonych drzewami. Spędziła tam dwanaście lat, chociaż nie przez cały czas była przełożoną. Przeżyła wielki szok, kiedy ojciec Bernard wezwał ją do siebie mówiąc:

- Chcemy siostrze zaproponować inną pracę. Jest siostra potrzebna daleko stąd.

Margaret spuściła oczy, by ukryć zakłopotanie. Serce zaczęło jej mocniej bić, bała się. Nie miała ochoty opuszczać tego wymarzonego miejsca, a przede wszystkim nie chciała rozstać się ze swoimi uczennicami, które kochała jak matka.

- Dokąd mam wyjechać?

- Obawiam się, że to może zmienić twoje dotychczasowe życie. Potrzebuję kogoś, kto zająłby się grupą sióstr-pielęgniarek jadących do Afryki. Nie znam nikogo, kto bardziej by się do tego nadawał. Jesteś pielęgniarką i nauczycielką i do tego zdolną organizatorką. Pracowałeś bez zarzutu, ale tu możemy

znaleźć kogoś innego, a tam nie. Potrzebujemy ciebie, siostrze Margaret.

Mogła protestować, ale nie zrobiła tego. Długie lata posłuszeństwa wywarły silne piętno. Jednak zawahała się przez moment, zanim powiedziała:

- Pojadę.

Ojciec Bernard zauważył tę chwilę wahania i powiedział łagodnie:

- Wiem, siostrze, że kochasz te dzieci. Ale pokochasz również tamte.

Pomyślała wtedy ze smutkiem w sercu: "Nie, nie pokocham".

Tak więc opuściła macierzystą wspólnotę w Londynie. Przed wyjazdem jeszcze matka generalna wyjaśniła jej całą sytuację.

- W tym dalekim i opuszczonym miejscu jest doktor Martin i potrzebuje pomocy. Wysyłam sześć z was, wszystkie zgłosiły się same. Trzy siostry mają doświadczenie w pracy w klimacie tropikalnym, poza tym wszystkie przeszły szkolenie w zakresie leczenia chorób tropikalnych. Siostra Teresa nie mogła już doczekać się tego wyjazdu. Wydaje mi się, że może być tam bardzo pomocna.

Margaret przypomniała sobie, że spotkała już wcześniej młodą, niesformą siostrę Teresę, teraz zaś rozważała to, co usłyszała. Matka generalna mówiła dalej:

- Kiedyś była to wielka, prężnie działająca misja. Robiliśmy tam dużo dobrego. Ale wszystko zostało zniszczone i pozostały teraz tylko zgliszczki. Na przestrzeni dwustu mil nie ma tam żadnej misji. Chcę, żeby siostra dobrze to sobie uświadomiła.

- Rozumiem - skinęła głową Margaret.

- To nie będzie łatwa praca. Może okazać się nawet niebezpieczna, potrzebujemy więc kogoś bardzo zdolnego, kto by wziął misję w swoje ręce. Siostra nadaje się do tej pracy, będąc równocześnie pielęgniarką i nauczycielką. Chcę, aby siostra wiedziała, że moim marzeniem jest utworzyć nową misję w Waseke.

- Rozumiem - powtórzyła MargareŁ

- Tylko siostra będzie kompetentna, by stwierdzić, czy jest to możliwe. Nie wiem, jak wiele budynków ocalało, bez wątpienia jednak będzie siostra miała dość miejsca, by otworzyć szkółkę i rozpocząć nauczanie. Powiadom mnie, jeśli czegoś będziesz potrzebowała. A więc - dodał na koniec - wysyłam tam siostrę jako przełożoną Misji Waseke.

Margaret pożegnała się i poszła do kaplicy, gdzie modliła się długo i żarliwie. Nie bała się niebezpieczeństwa, nie bała się również odpowiedzialności, ale po prostu nie chciała wyjeżdżać do Afryki. Po prawie dwunastu latach służby Bogu odkryła w sobie wielki bunt i była przerażona.

"Czy to możliwe - pytała samą siebie, gdy pociąg jechał dalej w głąb dżungli - że tracę powołanie? Jeśli nie, to co się ze mną dzieje?"

Zdawała sobie sprawę ze swych powinności. Gdy składała śluby, wiedziała, że może zostać przeniesiona dokądkolwiek i kiedykolwiek. Nie powinna przecież przywiązywać się do miejsca i do rzeczy materialnych, ale nie myślała, że będzie to takie trudne. W nocy przed wyjazdem nie spała, walcząc z uczuciem zniechęcenia i ogarniającym ją smutkiem. W czasie podróży niechęć wcale nie zmaląła. Samolot leciał nad kontynentem, a wysokość, z której widziała ląd, przerażała ją. Rzeki, ogromne połączenia dżungli i spalone słońcem równiny wcale nie wyglądały zachęcająco. W końcu wylądowali w Newton, gdzie po pożarze z wielu budynków zostały tylko fundamenty. Gdy wychodzili z samolotu, uderzyła ich fala gorącego i dusznego powietrza. Potem jechali pociągiem.

"Kazano mi tu przyjechać" - przekonywała samą siebie, ale wiedziała, że tak nie było. Mogła odmówić. Mogła powiedzieć, że nie chce jechać. Na pewno by ją zrozumieli. Nawet gdyby zmusili ją do wyjazdu, mogła się opierać, mówić, że nie będzie robić czegoś, do czego nie jest przekonana. Ostatecznie mogłaby ich jeszcze znienawidzić. Ale wiedziała, zrezygnowana, że nie było żadnego przymusu, że jedyną osobą, z którą musiała walczyć, była ona sama.

"Czy w zakonnicy, tak jak i w innym człowieku, może zrodzić się bunt? - zapytała samą siebie. - Czyż nie jesteśmy w końcu zwykłymi ludźmi? Czy kiedy nas ranią, nie krwawimy?" Spojrzała na siostrę Jadwigę i poczuła się gorsza od niej. "Tak, ona jest lepsza" - myślała pełna gorzkości.

Znów spojrzała przez okno. Jechali teraz wzdłuż kawałka opustoszałej ziemi i zauważyła, że dżungla i rzeka coraz bardziej zbliżają się do siebie. Przyglądała się czemuś długiemu i brązowemu na rzece i zastanawiała się, czy to kłody drewna, czy też może krokodyle?

Bardzo chciała podzielić się z kimś swoimi rozterkami. Ale nie było tu nikogo takiego. Była przecież przełożoną, więc nie powinna okazywać podwładnym swych słabości. Była całym sobą.

"Muszę przestać myśleć o sobie. Muszę teraz myśleć o siostrach, które są pod moją opieką. Muszę, muszę" - przekonywała siebie Margaret.

Po kilku gwałtownych szarpnięciach pociąg zatrzymał się.

- Myślę, że jesteśmy na miejscu - powiedziała Nadine, a siostra Jadwiga przytaknęła jej.

Margaret wstała i spojrzała przez okno.

- Tu nie ma nawet śladu stacji - zauważyła zdziwiona.

- Bo tutaj nie ma stacji - odparła Nadine. - To jest Zagubiony Zakątek.

Ściągnęły z półek swoje bagaże i po kolei zaczęły zeskakiwać ze stopni wagonu na gorącą ziemię. Natychmiast odczuły na sobie piekące słońce, ciężko było nawet oddychać. To naprawdę był koniec ich podróży, tory kolejowe nie biegły dalej. Nie było śladu życia, żadnych budynków, tylko jedno samotne drzewo, a pod nim śpiący Afrykanin.

Margaret popatrzyła z przerażeniem. Po jednej stronie było widać mulistą rzekę, po drugiej zaś gęstą dżunglę. Spojrzała na zegarek - dochodziła czwarta.

Myślami przeniosła się do Anglii, gdzie o tej porze dziewczęta wychodzą z domu, a ci, którzy się stołują w konwikkie, idą do jadalni na filiżankę herbaty. Jeśli jest upał, można się

schronić w cieniu drzew, które rosną wokół budynków. Kiedy była w Angli, nie wyobrażała sobie, że gdzieś na świecie może być tak gorąco jak tu.

- Może schronimy się pod drzewem i tam poczekamy? Ktoś przecież musi wyjść po nas. - Mimo przerażenia jej głos był spokojny.

- Dobry pomysł - powiedziała Nadine i wszystkie usadowiły się pod drzewem.

Po dwudziestu minutach ujrzały chmurę pyłu przesuwającą się wzdłuż traktu i po chwili wielki land rover zatrzymał się koło pociągu. Z samochodu wyskoczył wysoki, opalony mężczyzna. Jego oczy okalała siateczka zmarszczek, jakby długi czas spędził w palących promieniach tropikalnego słońca. Wyglądał na człowieka zmęczonego życiem, który już niejedno widział, choć nie miał więcej niż trzydzieści pięć lat. Ubrany był w białe spodnie i lekką koszulę. Rozglądał się, szukając ich wzdłuż pociągu, a zauważywszy je pod drzewem, podszedł do nich. Wtedy zobaczyły, że ma błękitne oczy.

Wstały, patrząc jedna na drugą, w końcu Nadine odezwała się chłodno:

- Przypuszczam, że doktor Livingstone?

- Nie. Nazywam się Charles Martin. Przyjechałem tutaj po pomoc, którą mi obiecano.

- No cóż, jesteśmy - powiedziała Nadine. - Jestem lekarzem, nazywam się Nadine Phillips, jestem do pana dyspozycji. To jest matka Margaret i jej pomocnice.

- Misjonarki - westchnął z niechęcią.

- Nie lubi pan misjonarzy? - spytała Nadine.

- Tutaj jest dość szamanów - odparł. - A szczerze mówiąc, oczekiwałem mężczyzn.

- Sądzę, że powinnam wytłumaczyć, doktorze Martin, że jesteśmy pielęgniarzkami - zauważyła Margaret.

- A ja myślę, że teraz zabierze nas pan do siebie i porozmawiamy na ten temat przy filiżance herbaty - dodała Nadine.

- Oczywiście - zgodził się, a zwracając się do pozostałych sióstr, zapytał: - Czy to jest cały bagaż, jaki macie?

- Reszta jest w pociągu - rzeczowo odparła Margaret.

Charles Martin podszedł do śpiącego Murzyna i obudził go. Mężczyzna zerwał się na równe nogi, rozejrzał wokoło i szeroko się uśmiechnął. Przez chwilę rozmawiali w miejscowym narzeczu, po czym Charles zwrócił się do kobiet:

- On weźmie bagaże z pociągu, a później wyśle po nie kogoś. Teraz jedziemy.

Wzrok doktora Martina padł na dziwny pakunek, który niosła siostra Mary. Wziął go od niej i spytał ze zdziwieniem:

- A cóż co takiego?

- To ziemia, aby zasadzić moje kwiaty - odparła.

Był tak zaskoczony, że przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa. Wyglądało to dość komicznie.

- A więc kawałek Anglii na obcej ziemi - skomentował. - Moja miła dziewczyno, spójrz na ten las. Znajdziesz tam wszystkie rodzaje kwiatów, są tam takie, o których nawet nie marzyłeś.

- Aleja nie chcę dzikich kwiatów - odparła spokojnie. - Proszę dać mi moją torbę, poniosę sama. Jestem wystarczająco silna.

Nadine usiadła na przednim siedzeniu obok Charlesa, a siostry usadowiły się z tyłu. Doktor uruchomił silnik, a gdy ruszyli, chmura pyłu uniosła się za nimi.

- Mój Boże - wymamrotał Charles. - Prosiłem o sześciu silnych mężczyzn, a przyjechało stado paplających kobiet.

- Czy jest pan antyfeministą? - spytała Nadine. - Teraz panuje równouprawnienie. Przynajmniej w teorii.

- Moja dobra, miła dziewczyno - powiedział nie patrząc na nią. - Potrzebowałem mężczyzn, ponieważ jest tu do wykonania ciężka praca, zresztą wytłumaczę to później.

- Musieli przecież panu powiedzieć, doktorze, kto przyjeżdża - nie dawała za wygraną Nadine.

- To prawda, ale kiedy protestowałem, powiedzieli mi, że nie będzie możliwości przysłania tu mężczyzn aż do czasu przyjazdu Młodzieżowych Korpusów Ochotników, a to stanie się nie prędzej jak za trzy miesiące. Powiedzieli, że kobiety

przysła tylko jako doraźną pomoc. Więc się zgodziłem, mając nadzieję, że znajdą kogoś w ostatniej chwili.

- I w związku z tym tak miło nas pan przywitał - zauważyła Nadine uszczypliwie.

Charles westchnął tylko i nic już nie powiedział. Silnik zagłuszał rozmowę i Margaret, siedząc z tyłu wciśnięta między bagaże, niewiele z niej słyszała. Zrozumiała jednak, że doktor Martin potrzebował przede wszystkim mężczyzn. Z nadzieją wróciła myślami do dziewcząt w konwikcie, oddając się miłemu złudzeniu, że wkrótce zobaczy je znowu.

Jechali wzdłuż wydeptanej ścieżki, pomiędzy lasem a mulistą rzeką. Teraz przed ich oczami ukazała się wioska. Wszystkie były zaskoczzone, widząc, jaka jest wielka. Chaty zbudowano w dużych odległościach od siebie, z dala od lasu. Kobiety męły kukurydzę w kamiennych garnkach, a rozbawione dzieci biegały między chatami, goniąc kozy i kury. Przed wioską stał duży, biały budynek z obszerną werandą.

- Jesteśmy w Waseke - objaśnił Charles przybyłym.

Wprowadził kobiety do białego budynku. Prosto z werandy wchodziło się do pokoju, który - widać było - służył za jadalnię i gabinet.

Rozejrzały się po pomieszczeniu.

- Amanda! - zawołał Charles. - Gdzie jesteś?

Wysoka, ciemnoskóra kobieta wyszła z małej, przylegającej do pokoju kuchni. Kolor jej skóry nie był tak ciemny jak innych mieszkańców wioski, poza tym była zadziwiająco ładna. Charles przedstawił sobie nawzajem kobiety.

- Ochrzciliśmy ją i nadałem jej imię Amanda. Nie dlatego, że jestem misjonarzem, ale dlatego, że łamałem sobie język z jej rdzennym imieniem i nazwiskiem. Jest doskonałą kucharką - chwalił się Charles. - Amando, zrób nam kawę i coś do jedzenia. - A zwracając się do nich powiedział: - Tymczasem oprowadzę was.

Wprowadził je do wąskiego korytarza i wskazał na pierwsze drzwi.

- To jest moja sala operacyjna, laboratorium i apteka. Dalej składzik po dach wypełniony wszystkim, co ONZ w swej przezorności mi przysłało, głównie są to konserwy. Ostatnie wejście prowadzi do malutkiej łazienki; jest tam tylko jeden prysznic - objaśniał, otwierając drzwi. - A tu są sypialnie.

Ujrzały pokój niewiele większy od spiżarni, z jednym małym łóżkiem i stołem. Na ścianie wisiało lustro, a przy łóżku stała szafka z szufladami.

- To jest pani pokój, doktor Phillips - powiedział Charles. - Mój jest dokładnie tej samej wielkości. Tak więc widzicie - powiedział im, gdy pili kawę - miejsca jest tu bardzo mało. I to jest też kolejny powód - zwrócił się w stronę Margaret - dla którego prosiłem o przysłanie tu mężczyzn, bo takie warunki nie przeszkadzałyby im.

- Ale gdzie siostry mają spać? - spytała Nadine.

- No cóż - Charles wydawał się być zakłopotany. - Przygotowałem miejsce dla mężczyzn i do samego koiica wierzyłem, że przysła mi mężczyzn.

- Wiem dobrze - mówiła Nadine swym złośliwym głosem. - Powiedział pan dokładnie tak: "O do diabła, te misjonarki będą musiały dać sobie jakoś radę, ja ich tu nie chcę."

Doktor zaczerwienił się trochę, a ona zaśmiała się.

- Ale gdzie jest to miejsce? W dżungli? - pytała Nadine.

Charles wciągnął głęboko powietrze i powiedział:

- Jest tu jedna z chat tubylców, połączona ze szpitalem werandą.

- To nam całkowicie wystarczy, doktorze Martin - powiedziała Margaret. - Przecież nie może pan dostarczyć tego, czego tutaj nie ma. I przykro mi, - uśmiechnęła się nieznacznie - że nie jesteśmy mężczyznami.

Charles wyglądał na zbitego z tropu.

- Na pewno będziecie pomocne przy pielęgnowaniu chorych. Chodźcie. Pokażę wam szpital.

Poprowadził je do izolatki, gdzie pod ścianą stał rząd łóżek poustawianych tak blisko siebie, że prawie stykały się jedno z drugim.

Siostra Mary zauważyła:

- Jest tu dużo starców.

- Tak, życie jest tu bardzo ciężkie, wszyscy pracują ponad siły.

Zwrócił się do Nadine stojącej w drzwiach.

- Proszę wejść, doktor Phillips, coś pani pokażę.

Podeszli do łóżka, na którym leżała dziewczynka. Widać było, że jest bardzo chora. Charles schylił się nad nią, dotykając jej czoła i zaczął łagodnie mówić w języku tubylczym. Dziecko nie odpowiadało. Nadine podeszła bliżej.

- Poważne osłabienie organizmu - powiedziała chłodno.

Charles podniósł na nią wzrok:

- Jesteś dość obojętna. Ale masz rację. Niestety nie jestem w stanie jej teraz pomóc.

I nagle wydał się jej bardzo zmęczony.

- Jakie są główne problemy, z którymi się borykasz? - rzeczowo pytała Nadine.

- Chroniczna malaria, gruźlica, śmiertelność noworodków, trąd. Pięćdziesiąt mil stąd jest obóz dla trędowatych.

- A ta dziewczynka? - wypytywała dalej Nadine.

- Nie należy do żadnego z pobliskich plemion. Znaleziono ją niedaleko wioski, jakąś milę stąd - odpowiedział Charles.

- Ale skąd ona jest? - spytała siostra Mary.

- Przypuszczam, że jej rodzice zostali zabici, a może odeszła od swojego plemienia, jak to czasem się zdarza, nie wiem. Tutaj nikt tego nie wie. To cud, że przetrwała w dżungli.

Margaret spojrzała na dziewczynkę, w której oczach było napięcie i bezradność. Nie mogła nie współczuć. Chciała mieć takie zawodowe podejście jak Nadine, ale wiedziała, że jest to niemożliwe, gdyż zawsze za bardzo angażowała się uczucio-wo.

- Chociaż nie tutaj - powtarzała sama sobie. - Nie tutaj.

Charles poprowadził je z powrotem do jadalni i powiedział:

- Teraz widzicie, jak niewiele jest tu przestrzeni. Nie mogę usunąć ludzi ze szpitala, i tak potrzebujemy więcej łóżek. Pacjentów, którzy już prawie wychodzą ze szpitala, umiesz-

czam na werandzie - zwrócił się do Margaret i bezradnie wzruszył ramionami.

- Czy może nam pan pokazać miejsce, gdzie mamy mieszkać? - poprosiła Margaret.

- Tak - zawahał się. - Chciałbym jeszcze dodać, że będziecie tu potrzebne tylko przez jakiś czas. Przykro mi z powodu tego wszystkiego, ale ONZ powiadomiło mnie dopiero trzy dni temu o możliwości przysłania tu kogoś z Młodzieżowego Korpusu Ochotników, a to będzie za trzy miesiące. Kiedy przyjadą, będą potrzebowali waszej chaty.

Margaret bardzo się ucieszyła i szybko spuściła wzrok, by doktor tego nie zauważył. Czyli jest nadzieja, że będą tu tylko trzy miesiące, a później... Może będzie mogła wrócić do swoich dziewcząt, do Anglii.

- Dziękuję, że wyjaśnił nam pan całą sytuację, doktorze Martin.

Chciała odejść i odwróciła się w stronę drzwi.

- Nie tędy - powiedział i poprowadził zakonnice do końca korytarza, a potem w prawo do przejścia, które prowadziło do ich chaty. Wewnątrz było sześć łóżek i mała kuchnia.

- Pewno nie jesteście zachwycone - powiedział Charles.

Margaret uśmiechnęła się nieznacznie.

- Pan nas nie rozumie - wyjaśniła. - Złożyłam ślub ubóstwa. Nie prosimy o warunki lepsze, niż mają tubylcy.

Charles mimo wszystko wyglądał na zakłopotanego, nie mogąc zaferować siostronom nic lepszego.

- Byłbym skłonny oddać wam mój pokój...

- Damy sobie radę. Dziękujemy doktorze - odparła Margaret.

Wyszedł, a ona stanęła w drzwiach i długo przyglądała się wiosce. Patrzyła na wypalone ruiny poprzedniej misji, gęsto obrosnięte dziką roślinnością.

Wezbrała w niej gorycz. Zaśmiała się krótko:

- Przełożona Misji Waseke - mówiła do siebie.

Nadine i Charles wrócili do jadalni. Dzień prawie się kończył. Choć słońce wciąż jeszcze przygrzewało, upał trochę zelżał.

- Dałeś siostrze mieszkanie w chacie i w dodatku powiedziałeś im, że za trzy miesiące nie będą tu potrzebne. Nie było to zbyt miłe z twojej strony - zauważyła Nadine.

- W dżungli nie ma miejsca na sentymenty. A Waseke to prawie dżungla - odparł.

- Jesteś twardy i bezwzględny, Charles.

W promieniach słońca, które przedostawały się przez okno, jego twarz wydawała się ponura.

- Muszę taki być.

- Od kiedy tu jesteś?

t - Od roku. Chociaż w Afryce jestem już dziesięć lat.

- Tak długo?

- Prawie całe moje dzieciństwo spędziłem w Australii, a teraz włóczę się po świecie, tak jak mój ojciec.

- Jesteś żonaty?

Charles zaśmiał się krótko i odparł:

- Która kobieta chciałaby mieć za męża włóczęgę?

- Faktycznie - powiedziała to tak jakoś zawzięcie, że podniósł brwi zdziwiony.

- Ale nie czujesz się samotny?

- Tylko w wielkich miastach. Gdy przyjechałem do Anglii, były z tego tylko same kłopoty. Zdecydowałem się na powrót. Zwróciłem się do ONZ, a oni zaproponowali mi wyjazd do Waseke. - Charles przeczesał dłonią swoje rudawe, spalone słońcem włosy.

- A co ciebie tu sprowadza? Masz dość cywilizacji?

Zaśmiała się, a jej śmiech miał ostre, nieprzyjemne brzmienie.

- Nie, cywilizacja bardzo mi odpowiada.

- Więc przyjechałaś tutaj, żeby cywilizować innych?

- Nie bądź taki dociekliwy. Było tu wielu ludzi, którzy zrobili dużo dobrego. Mój ojciec aż do śmierci pracował jako lekarz w Newton.

- Więc to jest powód, dla którego tu przyjechałaś?

- Czy muszę się tłumaczyć? Nie wystarczy, że tu jestem?

- Ludzie raczej nie przyjeżdżają w dzikie i odludne miejsca, ot, tak sobie. Ja wyjawiałem ci powód, dla którego tu jestem.

Wzruszyła ramionami, ale nic nie powiedziała. Odchylił się do tyłu i spojrzał na nią z lekkim rozbawieniem.

- Zobaczysz, że będzie tu życie zupełnie inne od tego, które znasz - powiedział, a w jego głosie brzmiała nutka kpiny. - W Anglii chodziłaś zapewne do ekskluzywnej szkoły, praktykę odbywałaś w znanej klinice i mieszkałaś w pięknym domu.

- Nigdy nie miałam domu - powiedziała spokojnie.

- O - wykrztusił zakłopotany i aby ukryć zmieszanie, podszedł do szafki, z której wyjął butelkę whisky.

- Chcesz się napić?

- Nie, dziękuję. Dużo pijesz?

- Nie - uśmiechnął się nieznacznie.

- Jednak potrzebujesz jakiejś rozrywki na tym odludziu? W końcu moskity i upał dają się we znaki. Teraz jest tu szczególnie gorąco i duszno. Czy to oznacza, że niedługo zacnie padać?

- Tu zawsze jest gorąco i parno. Ale można się do tego przyzwyczaić. Sama zobaczysz.

Charles zdjął okulary i stanął w drzwiach.

- Chodź, zobacz - zawołał.

Nadine podeszła i zapatrzyła się. Słońce majestatycznie zachodziło nad lasem, rozświetlając całe niebo. Panowała dziwna cisza, jakby wszystko trwało w oczekiwaniu. Nagle stado małych, zielonych papug wzleciało nad lasem, dodając do kolorów nieba jeszcze jedną barwę.

- Za chwilę zrobi się całkiem ciemno, wtedy dżungla ożyje. Spojrzał na nią.

- Nie robi to na tobie żadnego wrażenia, prawda?

- Prawda - jej głos brzmiał chłodno. - Powiedz mi, dlaczego potrzebowałaś tych sześciu mężczyzn. Intryguje mnie to.

Usiadł znowu.

- To całkiem proste. Walczymy wciąż z różnymi chorobami. Jest z tym sporo kłopotów, szczególnie zagrożenie stanowi śpiączka.

- Tak myślałam.

Spojrzał na nią.

- Ciągłe nie ma lekarstwa na śpiączkę. Prowadzę pewne badania w związku z tą chorobą. Kiedyś pokażę ci moje laboratorium. Spójrz, jak blisko jest dżungla. Nie wszystkie muchy tse-tse przenoszą tę chorobę, ale te, które to robią, uśmiercają wszystko dookoła - ludzi, zwierzęta... Muchy tse-tse nie mogą latać daleko, więc trzeba się pozbyć drzew, które są im potrzebne do życia.

Nadine zaśmiała się.

- Nie chcesz chyba wycinać całego lasu?

- Nie. Chcę wyciąć przejście dookoła drzew, a wycięte drzewa będzie można spalić. Ale to ciężka praca, trzeba wyciąć spory kawał lasu, by przy paleniu drzew nie spłonęła cała dżungla. Tam mieszkają też inne plemiona.

- To dlatego potrzebowałeś sześciu mężczyzn. Ale dlaczego nie wykorzystasz do tej pracy tubylców?

- Oni nie chcą ścinać drzew.

- Nie?

- Wierzą, że drzewa mają duszę.

- Naprawdę?

- Czemu nie? Dlaczego drzewa nie mogłyby mieć duszy?

- Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że zgadzasz się z nimi?

Wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że odpowiada mi, żeby każdy myślał, jak chce.

- Ale oni nie wiedzą, że pozbycie się kilku drzew oznaczałoby także pozbycie się much tse-tse?

- Oczywiście, że wiedzą.

- I to ich nie obchodzi?

- Przedstawmy to w ten sposób: ich życie jest w ciągłym niebezpieczeństwie - łowią w rzece ryby i może rozszarpać ich krokodyl, polują w lesie i może ich pożreć leopold albo lew,

mogą także zostać śmiertelnie ukąszeni przez węża. Ze wszystkich stron grozi im tyle niebezpieczeństw, że stali się fatalistami.

- Ale z pewnością, gdybyś wyjaśnił...

- Oni nie umierają na naciśnięcie jak Europejczycy czy Amerykanie, dla których przejście przez ulicę może skończyć się śmiercią. To byłoby dla nich śmieszne.

Nadine była rozdrażniona, Charles irytował ją.

- Dobrze - westchnęła. - Więc dlaczego nie każesz im zamieszkać nad brzegiem rzeki? Tam nie ma dżungli.

- Nie poszliby. Plemiona po drugiej stronie rzeki to ich wrogowie, a tu są na swoim terytorium.

- To śmieszne - zirytowała się, aż policzki jej poczerwieniały. - Przecież możesz ich przenieść na przykład w okolice stacji. Po prostu powiedzcie, że to dla ich własnego dobra. Zmusić ich do tego...

- Nakazać im? - spytał. - To nie jest Anglia, żeby można było narzucać coś ludziom tylko dlatego, że ktoś inny ma jakieś tam swoje racje.

- W takim razie to wszystko jest bez sensu. - Wstała wzburzona. - Gdybym tu rządziła, zrobiłabym...

- Ale nie rządzisz - podniósł głos i wstał również. - Kiedy pobędziesz tu trochę dłużej, dowiesz się jeszcze wielu innych rzeczy, może wtedy coś zrozumiesz. A tymczasem ja jestem tu szefem i byłbym wdzięczny, gdybyś nie wchodziła mi w drogę. Po prostu zajmij się swoimi sprawami i pozwól mi działać wedle mojego uznania.

- Myślę, że należysz do ludzi, których się nie cierpi - stwierdziła, a jej głos był lodowaty - więc siedź sobie w swojej dżungli. Dobranoc.

Wyszła z pokoju. Słyszał, jak trzasnęła drzwiami.

Siostry siedziały na łózkach w swojej chacie. Akurat skończyły wieczorne modlitwy, a teraz czekały, aż zapadnie zmrok. Obserwowały niebo i widziały zachód słońca. Margaret zapaliła lampkę na małym stoliku i powiedziała:

- Jutro siostra Jadwiga może dalej uczyć nas miejscowego narzecza. Oczywiście, najpierw umówię się z doktorem Martinem co do godzin, w których będzie nas potrzebował. A teraz myślę, że najlepiej będzie, jak pójdziemy spać. Wszystkie jesteście zmęczone po podróży.

- Myślałam, że wieczory będą tutaj chłodniejsze - powiedziała siostra Anna. - Czy nie powinnyśmy zamknąć drzwi?

- Tubylcy zawsze zamykają drzwi. Boją się, że wejdą jakieś zwierzęta - odezwała się siostra Jadwiga.

- Zwierzęta? - Oczy siostry Teresy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia i strachu.

Jakby w odpowiedzi rozległ się hałas dochodzący od strony lasu. Umilkły, wsłuchując się w skrzeczenie ptaków, pohukiwanie i niepokojące nawoływanie. I nagle znowu powtórzył się ten dziwny dźwięk.

- Och - jęknęła Teresa. - Chyba nie jestem tak odważna, jak powinnam być.

Margaret powiedziała uspokajająco:

- Żadna z nas nie jest tak odważna, jak by chciała. Nie obawiaj się. - Po czym wyszeptała modlitwę: - Panie, daj nam spokojną noc i łaskę zbawienia wiecznego. - Zamknęła drzwi i zgasiła lampę.

Siostry rozebrały się po ciemku. Margaret klęczała przy łóżku, w chacie było gorąco i duszno. Słyszała uderzenia kropli o dach. Zaczął padać deszcz, który użyźni dżunglę i sprawi, że rozkwitną kwiaty, o których mówił doktor Martin.

Znowu usłyszała ten sam dźwięk. Sama nie wiedziała, czego się bała, ale najprawdopodobniej tego buntu, który czał się w jej duszy. Pomyślała:

"A może Bóg chce, żebym tutaj była? Doktor Martin powiedział, że potrzebuje nas tutaj tylko przez trzy miesiące, a potem..?"

I wtedy zrozumiała z nagłym przypływem bólu, że przyszłość misji w Waseke leżała w jej rękach. To właśnie ona będzie musiała zdecydować o jej przyszłości. Przypomniała sobie stwierdzenie matki generalnej: "Życie tam naciaga siły

człowieka do granic wytrzymałości i sprawia, że człowiek albo się łamie, albo staje się mocny." Margaret zastanawiała się, czy ta mądra kobieta czasami nie miała racji.

- Lepiej byłoby, gdybyśmy jednak mogli wrócić - wyszeptwała.

Całkiem nieoczekiwanie stanęła jej przed oczami dziewczynka ze szpitala. Wyraźnie ujrzała rozpaczliwy wzrok umiarkowanego dziecka. Za wszelką cenę próbowała teraz wymazać ten obraz z pamięci. Potem ujrzała siostrę Jadwigę uciekającą do dżungli w czasie napadu, który może się znowu zdarzyć. Kto wie?

I wtedy usłyszała długie i uporczywe drapanie w drzwi. Wolno wstała, podeszła do stołu i zapaliła lampę. Migoczący płomień oświetlał róg chaty. Ujrzała klęczącą siostrę Mary.

- Siostró Mary, co ty robisz? - spytała zdziwiona.

- Modłę się za to dziecko w szpitalu, by mogło żyć. Jest taka młodzianka - powiedziała prawie płacząc.

Od strony dżungli dochodziły odgłosy nocnego życia zwierząt i szelest latających owadów. Drapanie znowu się powtórzyło.

- Co to może być? - zastanowiła się głośno.

- To szczury - odpowiedziała siostra Mary.

- Skąd wiesz? - Margaret była zaskoczona.

- Pracowałam w londyńskich slumsach niedaleko rzeki i magazynów - odparła spokojnie siostra Mary.

"Nie cierpię szczurów" - pomyślała Margaret i ruszyła w stronę drzwi prowadzących do szpitala.

- Nie jest jeszcze za późno, spytam doktora Martina, co z tym zrobić.

Cicho szła wzdłuż szpitalnego korytarza. Nagle usłyszała głośne łkanie dochodzące z pokoju Nadine. Stanęła nasłuchując, ale płacz nie ustawał. W korytarzu pojawił się doktor Martin.

- Co to? Co się stało? - spytał.

Patrzeli w napięciu na siebie, a Margaret wyszeptwała:

- Jak pan myśli, czy powinnam wejść?

Skinął głową, a ona zapukała do drzwi. Nie było odpowiedzi. Nacisnęła klamkę i zapaliła światło. Przez moment stali oboje w drzwiach, zaskoczeni tym, co zobaczyli. Obojętna, cyniczna dziewczyna zanosila się od płaczu przez sen.

Kiedy łkania ucichły, Margaret cicho zamknęła drzwi. Charles zmierzwił włosy i wymamrotał jakby do siebie:

- Co za dziwna dziewczyna. Nigdy nie będzie tu pasowała. Po co, do licha, przyjechała?

Margaret starała się odzyskać wewnętrzny spokój - który, jak jej się wydawało - straciła. Wysiłała się, ale bezskutecznie. Tępo patrzyła na opustoszały korytarz i myślała z desperacją: "Ja też tutaj nie pasuję. I nigdy to się nie zmieni".

i

ROZDZIAŁ II

Charles znowu przesunął ręką po włosach.

- Może męczą ją złe sny, miała przecież uciążliwą podróż - powiedział i spojrzał na zakonnicę.

- Czy siostra czegoś potrzebuje?

Margaret poczuła się głupio i zmieszana powiedziała:

- Za drzwiami hałasują szczury, czy można by coś z tym zrobić?

- Tak, ale nie dzisiejszej nocy. Jutro spróbuję temu zaradzić - odparł. - Szczury są tu stałą rozrywką.

Wzdrygnęła się trochę. Spojrzała na jego zmęczoną twarz.

- Był pan w szpitalu? Chyba nie pracuje pan całą dobę?

Uśmiechnął się

- Nie. Joe, mąż Amandy, dużo mi pomaga. Nauczyłem go podstaw pielęgniarstwa. Ale muszę być w pogotowiu. No i ta dziewczynka... - bezradnie wzruszył ramionami. - Żyjemy w ciągłym zagrożeniu. W każdej chwili może wybuchnąć epidemia śpiączki. Trzeba wyciąć drzewa w lesie, dlatego tak upierałem się, żeby przysłano mi mężczyzn do pomocy.

- Rozumiem - rzekła. - Ale do tego lekarze nie są potrzebni. Poza tym musiałyby pan mieć sprzęt. Myślę, że powinien pan pozwolić nam opiekować się chorymi. Mogłybyśmy ustalić nocne dyżury.

Jego twarz rozjaśniła się.

- To by było dużym ułatwieniem. Joe ma dużo innej pracy. Jest tutaj majsterklepką, wszystko naprawia. Nareszcie mógłbym spać w nocy.

- Więc ustaliliśmy. Wracam do siebie, a pan niech spróbuj się przespać. Dobranoc.

- Dobranoc.

Słyszała jego kroki i wiedziała, że poszedł z powrotem do szpitala. Czowała się zawstydzona zwracając mu głowę takimi błahostkami jak szczury. Nie bała się żadnych zwierząt, ale na

samą myśl o szczurach skóra jej cierpła. Nie znosiła ich, były dla niej nosicielami wszelkich chorób i wszystkiego, co złe. Wracając do chaty nie mogła przestać myśleć o tych nieprzyjemnych gryzoniach. "Ty szczurze" - tak mówiło się do ludzi, chcąc okazać im pogardę. Wchodząc do chaty spróbowała otrząsnąć się z tych nieprzyjemnych myśli.

- Siostró Mary - powiedziała z lekkim wyrzutem. - Czy jesteś już w łóżku?

- Proszę mi pozwolić skończyć modlitwę za to dziecko - prosiła dziewczyna łagodnie, ale w jej głosie brzmiało zdecydowanie.

Margaret spojrzała na jej wątłe ciało i bladą twarz.

- Jesteś zmęczona po podróży.

- Jestem silna, wytrzymam. Z pewnością Bóg wysłucha moich prośb.

Margaret wiedziała, że dziewczyna i tak jej nie posłucha.

- Jutro będzie dużo pracy, potrzebujesz odpoczynku, ale jeżeli czujesz, że musisz się modlić, nie mogę ci zabronić.

Zgasiła lampę i drapanie w drzwi rozpoczęło się na nowo. Margaret idąc do swojego łóżka spytała jeszcze:

- Mówiłaś, że gdzie pracowałaś?

- W szpitalu, niedaleko slumsów. Czasami chodziłyśmy odwiedzać dzieci w domach. Ciężko w ogóle nazwać te rozwalające się, brudne rudery domami, ale ludzie muszą tam żyć.

Margaret usiadła na łóżku, myśląc o pogodnym dzieciństwie, jakie mają dziewczynki w konwikcie. Ich śmiech zawsze rozbrzmiewa radośnie na dziedzińcu, między drzewami.

- Dobranoc, siostró Mary.

Położyła się do łóżka, ale sen nie przychodził. Modliła się, by Bóg dał jej siły. Wciąż było słychać drapanie szczurów. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby udało się im przedostać do środka. Czy by to zniosła? W odpowiedzi usłyszała przeciągły ryk lwa, dochodzący z pobliskiej dżungli, który w ogóle jej nie przeraził. Pomyślała, że lew, zbliżając się do swej ofiary, przynajmniej uprzedzał ją o tym, głośno rycząc, a szczury skradając się niepostrzeżenie zabijały swych wrogów

zniecka i powoli. Głodne i rozsierzone potrafiły podstępnie walczyć z większymi od siebie zwierzętami, nawet ludźmi. Dlatego były tak niebezpieczne.

Zapadła w płytki, niespokojny sen. Obudziła się wcześniej, tak jak zwykle. Wstała z łóżka, a gdy otworzyła drzwi chaty, właśnie zaczynało świtać. Po szczurach nie było ani śladu. Odetchnęła z ulgą.

Ziemia parowała jeszcze po wczorajszym deszczu, a nad rzeką wschodziło ogromną kulą słońce. I nagle eksplozja światła zalała wszystko.

- Czyż to nie piękne? - zachwyciła się widokiem siostra Mary, która bezszelestnie dołączyła do Margaret.

Zanim zdążyły się przywitać, zauważyły ruch w wiosce. Rozpoczął się normalny, pracowity dzień. Pora świtu, gdy jeszcze nie było tak gorąco, była najlepsza do pracy.

Margaret poleciła siostrze Mary obudzić pozostałe zakonnice, po czym wyszła na korytarz, gdzie zobaczyła Amandę, niosącą dzbanek świeżo zaparzonej kawy.

- Chcesz się napić? - zapytała Amanda po angielsku.

- Dziękuję, chętnie.

Usiadła, by wypić kawę, gdy wszedł Charles. Miał pomięte ubranie i rozczochrane włosy.

- Nie spałeś, doktorze Martin - skonstatowała z wyrzutem.

Uśmiechnął się przepaszająco i w tym momencie weszła Nadine. Równocześnie spojrzeli na nią, ale nie było widać po niej przejść minionej nocy. Była jak zwykle zimna i obojętna, miała na sobie białą, bawełnianą sukienkę.

- Dzień dobry, panno Phillips - przekornie przywitał ją Charles. - Wygląda pani jak dziewczyna z filmów, w których bohaterka po przejściu przez gęstwinę dżungli nie ma rozwichrzonych włosów.

- Dzień dobry - odparła i odwróciła się plecami. Amanda nalała kawę.

- Usiądź proszę - powiedział do Nadine. - Mam tobie i siostrze Margaret coś ważnego do powiedzenia. Ta dziew-

czynka, którą wczoraj widziałyście, dziś czuje się znacznie lepiej - rzekł uradowany.

Margaret usłyszała dźwięk łyżeczki, którą upuściła.

Ukryła twarz w dłoniach.

- Co się stało? - spytał Charles. - źle się siostra czuje?

Spróbowała opanować drżenie rąk.

- To niemożliwe - wyszeptwała. - Ależ tak, oczywiście, że to możliwe. Tylko, że ja nie śmiałam nawet o tym marzyć.

- Napij się trochę kawy, siostró - powiedziała z troską Nadine.

Margaret spojrzała na Charlesa.

- Nie uwierzy pan, doktorze, ale siostra Mary modliła się całą noc za to dziecko. Całą długą noc - powtórzyła.

Charles zmierzwił włosy.

- Dlaczego miałbym nie uwierzyć. Jako lekarz byłem świadkiem wielu dziwnych rzeczy. Widziałem ozdrowienia, które na pewno nie były moją zasługą. Widziałem ludzi, którzy wywołują deszcz i błyskawice, więc dlaczego tobie miałbym nie wierzyć?

- Wywoływacze błyskawic? - powiedziała Nadine z niedowierzaniem.

- Tu jest wszystko możliwe - odparł Charles.

Zwrócił się do Margaret.

- Która to jest siostra Mary? Czy to nie ta z nasionami kwiatów? Wydawała się taka pełna prostoty.

- W czasach Chrystusa - powiedziała Margaret - ludzie prości byli nazywani dziećmi Boga.

- No cóż, powinniśmy być wdzięczni siostrze Mary za modlitwę i cieszyć się, że dziecko wraca do zdrowia. Dzisiaj rano przedstawię was wodzowi. Taki jest tutaj zwyczaj.

- Rozumiem - odparła Margaret i wstała. - Przyszłam po jedzenie dla nas.

- Oczywiście. Proszę iść do Amandy, ona da wam wszystko, czego potrzebujecie.

Margaret wzięła jedzenie z kuchni i wróciła do chaty.

Wzruszona powiedziała siostrze Mary, że chora dziewczynka wraca do zdrowia. Obserwowała ciche szczęście promieniające z oczu i twarzy młodej zakonnicy. Dużo by dała, by więcej wiedzieć o tej dziewczynie. Pamiętała, że matka generalna niewiele o niej powiedziała.

- Po śniadaniu mamy zobaczyć wodza. Potem porozmawiamy o naszej pracy, ale na początek dobrze będzie, jeśli jedna z nas zajmie się gotowaniem.

Siostra Margaret nieśmiało liczyła, że doktor Martin proponuje im korzystanie z jego kuchni, ale nie zrobił tego. Widać chciał, by same sobie radziły. Spojrzała po twarzach, rozstrzygając w myślach, którą z zakonnice mogłaby przydzielić do prowadzenia kuchni. "Siostra Jadwiga będzie nas uczyła miejscowego narzecza, siostra Anna i siostra Dolores mają doświadczenie w pielęgniarstwie tropikalnym, pozostawała siostra Mary i siostra Teresa.

To byłoby okrutne, gdyby siostra Mary była z dala od dziewczynki, za którą całą noc się modliła".

- Siostra Teresa - zdecydowała.

Na twarzy siostry Teresy widać było rozczarowanie. Margaret nic nie mogła na to poradzić. Pamiętała, jak matka generalna mówiła, że dziewczyna długo czekała na ten wyjazd.

Podeszła do pieca i zobaczyła, że w środku jest drewno.

- Piec nie może stać w środku chaty. Byłoby tu za gorąco - powiedziała. - Spróbujemy wystawić go na zewnątrz. Ale co z deszczem? - zastanowiła się. - Nie. Postawimy go w korytarzu. Stół i krzesła też. Będzie wtedy więcej miejsca.

Przesunęły wszystko na korytarz, a siostra Teresa rozpałała ogień i zaczęła gotować.

- Myślę, że będziesz musiała również narąbać drewna - dodała Margaret.

Siostra Teresa spojrzała przestraszona w stronę lasu.

Margaret przypomniała sobie strach dziewczyny przed dzikimi zwierzętami.

- Na skraju lasu jest dużo drewna - powiedziała uspokajająco. Znowu poczuła powracający bunt i obawę, czy dadzą sobie

radę. Śniadanie zjadły w ciszy. Potem poszły wszystkie do szpitala. Słońce było już wysoko na niebie i zaczynało robić się bardzo gorąco.

Siostry miały na sobie przewiewne, białe, bawełniane habity, ale w takim upale i tak ubranie lepilo się do skóry. Charles i Nadine wyszli im na spotkanie i razem poszli do wioski.

Dzieci tłumnie otoczyły ich, wesoło skacząc i krzycząc. Sędziwy wódz stanął w drzwiach swej chaty, największej w wiosce, i powitał Charlesa.

- Witaj wodzu - powiedział doktor. - To są moje nowe pomocnice. To jest doktor Phillips, a to zakonnice pielęgniar-ki. - Wymienił imiona sióstr.

Wódz z powagą skinął głową.

- Dobrze. Bardzo się cieszymy z waszego przyjazdu. Pamię-
tamy czasy, gdy były tu pielęgniarki. - Przez jego twarz prze-
szedł cień.

Margaret zwróciła się do wodza próbując mówić w tubyl-
czym języku, ale zacięła się, więc wskazała na siostrę Jadwigę.

- Znasz ją? - zapytała wprost.

Twarcz starego wodza rozjaśniła się. Przez parę minut roz-
mawiali ze sobą. Potem wszyscy spotkali się z żonami i dzieć-
mi wodza.

- Zrobimy wszystko, by ci pomóc - powiedział do Charlesa.

Charles podziękował mu z powagą i wrócili do szpitala. Mi-
nęły ich kobiety idące sprężystym krokiem w stronę rzeki. W rękach trzymały zwinięte brudne rzeczy. Nadine spytała:

- Czy mężczyźni w ogóle tu nie pracują?

- Nie. I osobiście myślę, że to dobry pomysł - zażartował.

Stanęli na werandzie.

- Za chwilę przyjdą pacjenci z okolic - zwrócił się do Margaret. - Musimy ustalić wasze dyżury w szpitalu. Dwie z was będą pracowały w nocy. A ile w ciągu dnia?

- Trzy - odparła Margaret.

- Dobrze - powiedział. - Myślę, że mogłybyście oprócz tego przyjmować kobiety. Nie wszystkie przyjdą do mnie. Rozu-

miecie, wola, aby nimi zajmowała się kobieta. Możecie również zajmować się dziećmi.

- Oddział dziecięcy - powiedziała Nadine.

Margaret przytaknęła, zastanawiając się, ilu pacjentów do nich przyjdzie. Wioska wyglądała na dużą, ale nie tak dużą, aby absorbować całą ich piątkę. I znowu zaczęła się buntować.

"Przecież nie musimy wszystkie być tutaj" - myślała.

Przypomniała sobie pomysł matki generalnej, aby założyć w wiosce szkołę misyjną. Spojrzała ponuro na chaty. Przed werandą zbierali się już pierwsi pacjenci. Przez chwilę zapatrzyła się na biegające po wiosce dzieci, a potem zdziwiona spostrzegła, że pacjentów wciąż przybywa. Jedni wychodzili z lasu, a inni gromadnie nadciągali od strony rzeki. Kobiety niosły przywiązane do pleców dzieci lub trzymały je na rękach. Wyglądało, że przeszły wiele mil.

Usiadła gwałtownie. Zastanawiała się, w jaki sposób doktor Martin dawał sobie radę. Było oczywiste, że potrzebował pomocy.

Podeszła do swoich pacjentów. Część z nich miała nieznaczne kłopoty, ale większość była chora. Trzy noworodki zostały wzięte do szpitala. Margaret wiedziała, że nie przeżyją. Ich matki czekały na zewnątrz.

Obserwowała inne zakonnice. Pracowały cicho, nie okazując zmęczenia. Spojrzała na siostrę Mary, której twarz promieniała miłością. Margaret pomyślała: - "Jakżebym chciała mieć jej prostotę".

Jednak droga rozwoju duchowego siostry Margaret miała być o wiele bardziej trudna i ciernista, pełna walki i cierpień.

Kiedy pracowała, jej myśli same biegły do starego, spokojnego konwiktu, do słonecznych pokoi, spokojnych wieczorów, gdzie nic nie zakłócało odpoczynku, gdzie lekcje kończyły się radosnym śmiechem, wypełniającym całą szkołę. Potem rozlegał się dźwięk dzwonów i śpiewy zakonnice.

Zmusiła się, by myślami wrócić do otaczającej ją rzeczywistości, do gorąca, dokuczliwych moskitów i zamulonej rzeki. Uświadomiła sobie, że czeka ją następna noc i znowu będzie

słysząc chrobotanie szczurów. Doktor Martin zapomniał dać jej trutkę, a ona wiedziała, że nie wypada znowu go o nią prosić. Bała się nocy. Ogarnęło ją zmęczenie.

Spojrzała, jak wielu jeszcze ludzi stoi w kolejce.

Doktor Martin był w szpitalu. Badał mężczyznę.

- Muszę operować - powiedział do Margaret. - Która z sióstr mi pomoże?

- Ja - odpowiedziała Margaret.

Weszli do małej sali operacyjnej, gdzie na łóżku, skrzęcając się z bólu, leżał mężczyzna.

Margaret spostrzegła, że noga mężczyzny była wielką raną.

- Grozi mu gangrena - wyjaśnił doktor Martin, wyciągając narzędzia.

Były dokładnie zamknięte, by nie zardzewieć z powodu wilgoci.

- Oczyść ręce, siostró - polecił. - Nie mamy czasu.

Asystowała spokojnie, zastanawiając się, jak mógł dawać sobie radę dotychczas bez żadnej pomocy. Doktor w skupieniu zszył oczyszczoną ranę i westchnął:

- Myślę, że sobie poradzi, zabiorę go do szpitala. - Wszedł, by poszukać Joe. Kolejka pacjentów nie była już duża. O godzinie trzeciej Amanda przyniosła kawę. Siostra Jadwiga wyglądała na zmęczoną, a siostra Mary splótwszy ręce siedziała spokojnie. Nadine wyglądała jak po udanym dyżurze w ekskluzywnej klinice. Na twarzy doktora Martina widać było napięcie. Powiedział:

- Zanim pójdziecie do siebie, może chciałybyście zobaczyć tę dziewczynkę?

Margaret skinęła głową. Poszli do szpitala.

Długo stały przy łóżku. Zeszłej nocy nie było żadnej nadziei, dziecko umierało. Dzisiaj temperatura obniżyła się. W ciemnych oczach dziewczynki była nawet odrobina świadomości. Margaret poczuła nagle ogromną wdzięczność, która sprawiła, że zaczął znikać bunt i niechęć.

Dziecko wracało do zdrowia.

Wróciwszy do chaty zaczęła pisać list do matki generalnej. Był to najbardziej suchy list, jaki kiedykolwiek napisała. Pisała jasno, bez ogródek, że mieszkają w chacie i będą tu potrzebne tylko trzy miesiące, bo później doktor Martin spodziewa się innej pomocy. Prosiła o radę, co mają zrobić. Kończyła list pisząc: "Jest to mała wioska i nie ma potrzeby, żebyśmy tu wszystkie były".

Pomyślała o swych małych szczebioczących dziewczynkach w konwikcie. Zamknęła oczy i przypomniała sobie dzisiejszy poranek. Wioska tonąca w słońcu, strumień ludzi idących ze wszystkich stron, operowanego człowieka i dziewczynkę, która cudem odzyskiwała siły. Dopisała na koniec: "Jest tu wielu chorych ludzi. Potrzebują naszej pomocy. Jesteśmy tu potrzebne". I zakleiła list.

Dzień był podobny do dnia. Codziennie rano przyjmowały chorych, pracowały w szpitalu. Siostry Anna i Dolores miały nocne dyżury. Siostra Teresa stała przy gorącym piecu. Margaret wiedziała, że dziewczyna nie jest z tego zadowolona, dlatego podczas bezsennych, wilgotnych nocy rozmyślała, jak temu zaradzić. Było to raczej niemożliwe. Dzięki dyżurom Anny i Dolores doktor Martin i Nadine mogli spać w nocy. Siostra Jadwiga była im potrzebna jako tłumacz, a siostra Mary...

Dziewczęta często brały na siebie zbyt dużo obowiązków. Pracowały dyskretnie, nikomu się nie narzucając. Margaret w modlitwach prosiła Boga o odpoczynek. Wciąż obawiała się, że dziewczęta nadwyreżą siły.

W wolnych chwilach - na przekór wszystkiemu - kopała rąły ogródek przed chatą, gdzie zasiała nasiona. Inne siostry krzywo na to patrzyły, a siostra Teresa, zawsze szczerą i bezpośrednią, uszczypliwie powiedziała pewnego razu:

- Mam nadzieję, że nie będę musiała być również ogrodnikiem.

Margaret zdecydowanie je uciszyła, kładąc kres uciążliwym kłótniom, które od jakiegoś czasu zaczęły rozbijać ich małą

wspólnotę. Zdawała sobie jednak sprawę, jak ciężko było w tej gorączce i duchocie panować nad sobą.

Słońce prażyło od rana do wieczora, a habity nieprzyjemnie lepiły się do spoconego ciała. Pragnienie deszczu i chłodnego północnego wiatru graniczyło z marzeniem o cudzie.

Margaret co noc, słysząc denerwujące drapanie w drzwi, myślami przenosiła się do spokojnego konwiktu. Czasami, rozbudzona po niespokojnym śnie, wyobrażała sobie, że jest w Anglii i niecierpliwie oczekiwała bicia dzwonów, których znajomy dźwięk nigdy jednak nie wyłonił się z panującej wokół ciszy. Rozgoryczona i przepojona tęsknotą, ostrożnie - z obawy przed szcurami - otwierała drzwi chaty i wychodziła na werandę, żeby obserwować wschód słońca. Próbowwała się modlić, ale Bóg był milczący i niedostępny.

Charles i Nadine nabrali dziwnego zwyczaju ciągłego kłócenia się i dogadywania sobie. Wieczorami siadywali na werandzie, słuchając cykad i skrzeczenia afrykańskich ptaków.

Charles wydawał się mniej zmęczony, a Nadine wyglądała na zadowoloną. Jednego wieczoru Charles powiedział:

- Rozleniwiłem się od czasu waszego przyjazdu. Powiniennem kontynuować moje badania.

- Tak - ożywiła się. - Kiedyś obiecałeś pokazać mi swoje laboratorium.

- Pokażę ci - uśmiechnął się. - Jutro.

- Dlaczego nie teraz? - zniecierpliwiła się.

- Chodź więc - powiedział wstając.

W laboratorium Nadine uważnie słuchała objaśnień Charlesa, śledząc każdy najmniejszy szczegół. Doktor przyglądał się jej ciekawie.

- Widzę, że dobrze się w tym orientujesz. Interesujesz się tymi badaniami?

- Nie - powiedziała krótko i wyszła.

Znowu znaleźli się na werandzie. Nadine stała i patrzyła w ciemną gęstwinę lasu.

- Chciałbym jutro pojechać do Newton.

- Sama? Nie jest to chyba najmądrzejszy pomysł.

- Dlaczego?
 - Przecież nie znasz drogi. Czy masz tam coś ważnego do załatwienia?
 - Tak. Chcę się z kimś zobaczyć. Czy znasz człowieka o nazwisku Bill Ellis?
 - Wszyscy go znają, prowadzi bar w mieście.
 - Czy jest Anglikiem?
 - Nie mam pojęcia. Nie wiem, czy ma brytyjski paszport i czy w ogóle ma jakikolwiek paszport.
 - Chcę się z nim zobaczyć.
 - Jeżeli jutro nic nie stanie na przeszkodzie, zabiorę cię do Newton. Jedna z sióstr może nas zastąpić.
 - Nie musisz mi towarzyszyć - odparła trochę opryskliwie.
 - Tak - uśmiechnął się nieznacznie - ale moja wrodzona rycerskość nie pozwala mi puścić cię samą w daleką i niebezpieczną podróż.
 - Bzdury - wzruszyła ramionami.
 - Chyba nie byłaby to najlepsza śmierć, być zjedzonym przez lwy? - pytał dalej.
 - Lwy raczej nie jedzą ludzi - ucięła krótko.
 - Oczywiście, ty wiesz najlepiej - skwitowała.
 - Oj, nie sprzecajmy się już, Charles. Przyjechałam tu jako lekarz i sądzę, że dobrze wypełniam swoje obowiązki.
 - Tak - odparł Charles. - Jesteś dobrym fachowcem - zimna, opanowana i czysta.
 - Czysta? - obróciła się poirytowana patrząc mu prosto w oczy. - Co sugerujesz? Zawsze zwracasz uwagę na mój schludny wygląd. Czy ci to przeszkadza? A może chciałbyś, żebym chodziła w brudnym, poplamionym fartuchu?
 - >Nie, nie o to chodzi. Jesteś po prostu zbyt dobra, byś mogła być prawdziwa. Nie masz żadnych wad?
 - Nie, jeszcze nie, ale jeśli jeszcze trochę z tobą popracuję, na pewno będę miała.
 - Tak łatwo cię rozdrażnić? - zapytał wybuchając śmiechem
- Następnego dnia z rana wybrali się do Newton. Jechali wzdłuż dżungli wyboistą drogą, wzbijając wokół tumany rdza-

wego pyłu. W końcu dotarli do małego miasteczka z jedną główną ulicą i paroma sklepami. Kiedyś było tu centrum administracyjne prowincji, teraz zostały tylko zgłiszcząca spalonych budynków, a obrzeża miasta znowu zarosły dżunglą. Nadine przyglądała się miasteczku w zadumie.

W połowie ulicy stał zniszczony, obdrapany bar o nazwie "U Billa". Wewnątrz, za ladą, mężczyzna polerował kieliszki. Miał na sobie znoszoną koszulę i brudne spodnie. Twarz miał tak zniszczoną jak bar, który nosił jego imię. Gdy wchodzili, zmierzył ich wzrokiem od stóp do głów.

- Czy pan Ellis? - spytała Nadine.

- Tak, moja pani. Czy mogę pani czymś służyć?

- Tak, ale najpierw chyba coś zamówimy. Czy ma pan lemoniadę?

- Jedna lemoniada - zawołał.

- 1 piwo dla mnie - wtrącił Charles.

Nadine wolno piła napój przy barze.

- Jak, do licha, można tutaj żyć? - spytała.

- Można. Nie potrzebuję wiele do życia - odparł, ciągle wycierając szklanki.

Zawahała się przez moment.

- Jestem Nadine Phillips. Doktor Phillips.

- Tak? - Jego twarz rozjaśniła się. - Czy pani jest tą kobietą, która...

- Tak - ucięła. - Czy możemy porozmawiać?

- Proszę do środka - wskazał ręką pomieszczenie z tyłu bufetu i zawahał się patrząc na Charlesa.

- On poczeka - powiedziała szybko Nadine. - Poczekaasz, Charles?

- Oczywiście - odparł.

Siedział przy stoliku, obracając w dłoniach szklankę piwa i patrzył na zalaną słońcem ulicę. Kiedy wróciła do stolika, oczy jej błyszczały.

- Do zobaczenia, Bill. Chodź, Charles.

Bill Ellis wziął ścierkę i wrócił do swojej pracy, obserwując, jak Nadine szła w stronę wyjścia. Na jego twarzy na chwilę pojawił się przebiegły uśmiech. Charles zauważył to.

- O co chodzi? - zapytał. - Chyba, że to tajemnica.

- Nie - powiedziała wymijająco. - On znał mojego ojca.

- Oczywiście. Przecież twój ojciec był tutaj, prawda?

Uruchomił samochód i ruszyli.

- Jak długo?

- Całe lata. Umarł tutaj.

- Przykro mi.

- Był wspaniałym człowiekiem - powiedziała z dziwną gwałtownością tak, że spojrzał na nią zaskoczony. - Chcę, aby świat dowiedział się o nim.

- Co zamierzasz zrobić?

- Chcę napisać o nim.

- Chyba nie z pomocą Billa Ellisa.

- Dlaczego nie? - odparła zaczepnie. - A co w tym złego?

- Ten człowiek to nędzna kreatura.

- Bzdura - powiedziała. - Mylisz się. Ty w każdym człowieku widzisz drania.

- Niektórzy ludzie potrafią z byle opryszka zrobić świętego - odparł. - Co ty w ogóle wiesz o życiu i o świecie. Prowadziłaś zwyczajne życie. Szkoła, studia, praktyka w klinice. No, zgadzam się, widziałaś niejedną śmierć czy narodziny człowieka, ale co ty wiesz o motywach, które kierują ludźmi?

- Więcej, niż myślisz. Nie zamierzałam o tym wspominać, ale moje życie nie było takie proste, jak ci się zdaje, chociażby moja matka.

- Twoja matka? - spytał niedowierzająco.

«- Mój ojciec żył tutaj, a matka nie zgodziła się być razem z nim - powiedziała cicho.

- Cóż - powiedział łagodnie. - Nie możesz jej za to winić. To nie jest takie proste.

- Rozwiodła się z nim. I zabroniła mu widywać się ze mną. Mimo, że sąd zadecydował inaczej.

- Ale...

- Zrobiła to - powiedziała gniewnie. - Myślała, że on zabierze mnie tutaj.

- Cóż, to wyjaśnia sprawę.

- Ale ja chciałam tutaj przyjechać. Chciałam być z nim.

- O, daj spokój, Nadine. To nie jest najlepsze miejsce dla dziecka. A tam mogłaś się kształcić.

- Chciałam do niego przyjechać - powiedziała uparcie.

- Czy twoja matka nie stworzyła ci domu?

- Wyszła powtórnie za męża i miała drugą córkę. Z początku jeździłam tam, ale to nie był mój dom. Później zostawałam w szkole nawet na wakacje, marząc o czasach, gdy zostanę lekarzem i będę mogła być z ojcem.

Samochód podskakiwał na wybojach wzbijając chmury pyłu. Dotarli do wioski i Charles zatrzymał samochód

- Kiedy ostatni raz widziałaś swojego ojca? - spytał.

- Gdy miałam dziesięć lat.

- To strasznie dawno.

- Tak - zaśmiała się, ale w jej głosie nie było radości. - Masz rację, to było dawno temu. Niezbyt dobrze pamiętam to ostatnie spotkanie. Ale śniłam o tym.

- I co? Ciekawe były te sny?

- Nie. I to jest dziwne. Wszystko jest w nich takie zwykłe. Stoję przed domem i czekam na ojca. On jest z innym lekarzem, wchodzi do jakiegoś pomieszczenia, by obejrzeć pacjenta, który ma infekcję. To jest, zdaje się, jakaś biedna dzielnica. Ja czekam za drzwiami...

- Tak? - powiedział zachęcająco.

- I to wszystko. Wspinam się na palce i zaglądam przez okno. Widzę rodzinę i dzieci siedzące wokół stołu. Bawią się i śmieją wesoło.

- Miałaś ten sen ostatnio?

- Tak. Tej nocy, gdy przyjechałam tutaj.

Spojrzał na nią jakoś dziwnie.

- Czy pamiętasz, co myślałaś patrząc przez to okno?

- Tak. Chciałam być w pokoju razem z nimi - zaśmiała się.

- Rozumiem. A co twój ojciec powiedział, gdy wyszedł i zobaczył, że płaczesz?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie powiedziałam, że płakałam.

- Nie, ja tylko się domyślam.

Zaśmiała się znowu.

- Tak, płakałam, chociaż ojciec wcale tego nie zauważył. Pamiętam to dobrze, bo to był ostatni raz, kiedy płakałam.

Nagły podmuch wiatru poruszył drzewami w lesie i chmura skrzeczących ptaków wzbiła się w powietrze.

- Czy nie lepiej zapomnieć o tym, przecież to wszystko przeszłość - powiedział łagodnie. Ale wiedział, że to nie była przeszłość, pamiętał, jak bardzo płakała przez sen, śniąc, że nie może być z ojcem.

Przeżywała to do dziś. Westchnął.

- Chodź, pokażę ci ogród.

Spojrzała na niego zaskoczona, ale mówił całkiem poważnie.

- Nazywają go Zagubionym Zakątkiem. Dla tubylców to miejsce wiąże się z ciekawą historią, trochę podobną do naszej opowieści o Edenie, ale oni nazywają to miejsce Ogrodem Słońca.

- Opowiedz mi - poprosiła.

- Kiedyś ludzie żyli bardzo szczęśliwie pod panowaniem boga Słońca. Pewnego razu powiedział im, że zejdzie na ziemię, by znaleźć sobie żonę. Przyprowadzili więc trzy najpiękniejsze dziewczyny, by mógł sobie wybrać. Wszystkie trzy zakochały się w nim. On wybrał jedną z nich i zabrał do swego mieszkania na niebie. Pozostałe dwie płakały tak bardzo, że wzbudziły w nim współczucie i też wziął je do nieba. Tam płaczą do dziś, a ich łzy spadają na ziemię w postaci deszczu. Od tego czasu, jak mówi legenda, deszcz zawsze jest po słońcu.

- A co z tą pierwszą?

- Jej najskrytsze marzenia spełniły się.

Wyszli z samochodu i ruszyli wąską, udeptaną przez tubylców ścieżką. Od razu znaleźli się w samym środku lasu, który sprawiał wrażenie zupełnie innego świata.

Las otaczał ich ze wszystkich stron, odcinając nawet słońce. Słyszeli skrzeczenie ptaków, widzieli małpy przeskakujące z drzewa na drzewo. Mimo tych odgłosów mieli wrażenie, jakby w lesie panowała głęboka cisza. Charles, rozglądając się dookoła, powiedział:

- Ta dżungla była tu przed nami, od samego początku. Może dlatego wywołuje w nas taki podziw i jednocześnie respekt.

Nadine patrzyła na wielkie, pomarańczowe kwiaty i jaskrawożółte owoce zwisające z gałęzi. Były akurat na wysokości jej głowy.

- Zadziwiająca - wyszeptała.

- Tak - przyznał.

- A gdzie są te kwiaty-szkodniki, o których wspominałeś wcześniej?

- Spójrz - wskazał na pnące się po drzewie rośliny o purpurowych kwiatach. - To jest pasożyt i przez niego to drzewo uschnie.

Znowu kolorowe ptaki wzbity się z przejmującym wrzaskiem nad ich głowami. Nadine poczuła się wchłonięta przez ten dziwny świat, wywołujący w niej strach. Czuła się jakoś dziwnie, jakby straciła kontakt z rzeczywistością. Stała spokojnie, patrząc przed siebie i nagle ogromny motyl z jaskrawoturkusowymi skrzydłami przeleciał nad jej głową.

- Nadine - z zachwytem w głosie powiedział Charles.

W tym momencie wiedziała, że jest piękna. Nigdy wcześniej nie przypuszczała, jak bardzo oczy mężczyzny mogą wyrażać jego myśli. A może to tylko czar tego lasu? Spojrzała na niego, ale ich wzrok nie spotkał się. Nagle poczuła, jak ogarnia ją dziwna panika, chciała biec. Odwróciła się gwałtownie.

- Chodźmy już - powiedziała i potykając się ruszyła w stronę samochodu. Chciała być z dala od tego tajemniczego świata, który nie dawał się przeniknąć.

Charles w milczeniu uruchomił samochód i ruszyli w stronę wioski, do normalnego życia.

- Byłaś kiedyś zakochana? - zapytał.

- Oczywiście, że nie. - Potrząsnęła głową.

- Dlaczego oczywiście? Ile masz lat? Dwadzieścia sześć?
- Jestem lekarzem, nie mam czasu na... - nie mogła znaleźć słowa.

- Na mężczyzn - odpowiedział jej.

- Tak. To znaczy... Byli mężczyźni w moim życiu, ale nigdy nie zakochiwałam się, miałam inne plany.

- Och, zapomniałem, że jesteś dziewczyną z wielkimi planami - powiedział trochę ironicznie. - Ale czy można sobie nakazać kochać albo nie kochać? Czy nikt nie pokrzyżował ci twoich planów?

- Nie. - Nagle się zdenerwowała. - Nikomu nie pozwoliłabym na to - odparła ze zwykłą sobie oziębłością.

- Jeżeli taki wpływ ma na ciebie dżungla... - zaśmiał się cicho.

Jechali wzdłuż wyboistej, pełnej kurzu drogi, ale już nie rozmawiali. Wiedzieli, że pojawiło się coś nowego pomiędzy nimi, coś, czego nie było nigdy wcześniej, jakieś uczucie delikatne i kruche jak turkusowy motyl, który przeleciał nad głową Nadine.

ROZDZIAŁ III

Następne dni upłynęły pod znakiem oczekiwania. Margaret czekała na list od matki generalnej, siostra Teresa nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła pomóc w pielęgnowaniu chorych, a Nadine żyła jakby poza czasem, w oczekiwaniu na coś, co nieuchronnie miało nastąpić.

Charles codziennie zabierał ją na wyprawę do lasu. Wędrując po dywanach z mchu, mijali rozłożyste krzewy obsypane dużymi, jaskrawymi kwiatami, na których siedziały kolorowe ptaki.

- Wiesz, z czym mi się kojarzą te wyprawy? - zapytała. - Przypomina mi to, jak w dzieciństwie czekałam na przyjście św. Mikołaja. Te drzewa i zwierzęta są jakby z innego świata. - Spojrzała na niego, czekając, aż się zaśmieje.

Ale Charles odparł poważnie:

- Zawsze sądziłem, że pobyt w dżungli, to jakby powrót w krainę dzieciństwa, powrót do początku, do życia bez cywilizacji. W dodatku naokoło są cuda, którymi można się zachwycić. To jest tak, jak z Alicją, która przeszła przez lustro. - Spojrzał na nią zamyślony.

- Tak - odparła z wahaniem. - Ale ty nigdy nie miałeś dzieciństwa, prawda? - znowu się zawahała.

Stała bardzo blisko niego, patrząc mu w oczy, a on rzekł:

- Nie pocałuję cię. To nie byłoby uczciwe.

- Nie byłoby uczciwe? - powtórzyła.

- Tak. Jestem włóczęgą, pamiętasz? Mówiłem ci. Ja nie chcę mieć domu, a ty chcesz. I właśnie tym się różnimy.

Dalej przedzierali się przez gąszcz roślin, mijając kwiaty wielkie, jak w zaklętej krainie, a nad ich głowami wciąż skrzeczały ptaki. Czasami cicho przemknął jakiś zwierz, ale przede wszystkim wokół pełno było wielkich, turkusowych motyli. Zbliżał się zmrok, więc zaczęli już wracać, zostawiając za plecami purpurowy zachód słońca.

Znaleźli się w domu. Podczas kolacji przygotowanej przez Amandę, Charles powiedział:

- Dziś wieczorem w wiosce będą tańce. W nocy jest pełnia.

- Będą uroczystości? - spytała Nadine.

- Coś w tym rodzaju. Koniecznie musisz to zobaczyć.

- To miło z twojej strony, że tak wszystko mi pokazujesz - powiedziała.

- Zastanawiam się - mówił z uśmiechem - czy nie zostać agentem jakiegoś biura podróży. Mógłbym organizować wyprawy do Zagubionego Zakątka. Bardzo tanie - dodał.

Gdy siedzieli na werandzie, niebo jaśniało, rozświetlone ogromnym, czerwonym księżycem. Mieszkańcy wioski gromadzili się już i słychać było ciche uderzenia bębna. Gdy doszli do wyznaczonego miejsca, było już tam pełno tubylców, a bicie w bębny stawało się coraz głośniejsze. Rozpoczynały się tańce.

Grupa kobiet poruszała się rytmicznie do przodu i do tyłu, a pozostali tubylcy klaskali w rytm uderzeń bębna. Potem kobiety zatrzymały się i zaczęli tańczyć mężczyźni. Po jakimś czasie dołączyli do nich inni tak, że z czasem cała wioska poruszała się rytmicznie w takt uderzeń bębna.

- Będą tak tańczyć całą godzinę - powiedział Charles. - Nigdy nie męczą się przy tym. Widziałem kiedyś, jak tańczyli cztery godziny bez przerwy.

Zapłonęło ognisko. Tubylcy rozpalali je, by odstraszyć włóczące się w pobliżu zwierzęta. Gdy Nadine patrzyła na tych szczęśliwych ludzi, rozbawionych i tańczących w blasku ognia, nagle poczuła, że w tej dziwnej i cudownej krainie ogarnia ją nowe, nieznanne uczucie szczęścia. Po raz pierwszy poczuła, że znalazła swoje miejsce na ziemi. Uświadomiła sobie, dlaczego tak bardzo lubiła siedzieć na werandzie na starych zniszczonych, krzesłach. Panowała tam atmosfera domu, którego zawsze tak bardzo pragnęła.

Wracając wciąż słyszała rytmiczne uderzenia bębna. Charles objął ją, a gdy byli niedaleko szpitala, przystanęli, patrząc sobie w oczy.

- Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem - rzekł. I pocałował ją. Nadine nie wiedziała, czy to jej serce tak mocno bije, czy też słysząc jeszcze uderzenia bębna. Odsunęła się i powiedziała szybko:

- Dobranoc, Charles.

Poszła do swojego pokoju, ale nie mogła zasnąć. Stała przed lustrem wiszącym nad małą szafką z szufladami. Przyglądała się swemu odbiciu - jasnej skórze, która teraz miała złocisty kolor opalenizny, długim blond włosom i zielonym oczom. Nie myślała o przyszłości. Chciała być w tym nowym, wspaniałym świecie jak najdłużej.

Ale następnego dnia pojawił się pewien mężczyzna.

Wyszedł z lasu, gdy siedzieli na werandzie zmęczeni po dniu pracy. Było bardzo gorąco. Amanda przyniosła kawę, która ugasiła trochę pragnienie. Wtedy Nadine, zauważywszy przybysza, zapytała:

- Do licha, kto to może być?

Podszedł do nich wysoki, szczupły mężczyzna z plecakiem i pistoletem za pasem.

- Wygląda na to, że mamy gościa - powiedział Charles.

Przybysz podszedł do nich, a Charles przywitał go:

- Dobry wieczór. Prosimy do nas.

Mężczyzna zdjął plecak i wygodnie usadowił się na krześle.

- Nazywam się Steve Grant - przedstawił się. - A pan jest pewnie doktorem Martinem. Słyszałem o panu.

- Tak? - Charles nie wydawał się być zdziwiony.

- Skąd pan wie? - spytała Nadine.

- Rozumiem mowę bębnow - powiedział, a widząc zaskoczenie na twarzy Nadine, kontynuował: - Przy pomocy bębnow tubylcy przekazują sobie informacje. Bębny mówiły na przykład o waszym przyjeździe.

Nadine była zaskoczona.

- Co one mówiły? - spytała.

- O pani mówiły, że przyjechał lekarz z żółtymi włosami i wódz zakonnic z małymi siostrami.

Wszyscy uśmiechnęli się, a on mówił dalej:

- Potem bębny powiedziały, że mała siostra Mary wyleczyła dziewczynkę ze szpitala.

Margaret nagle zbladła, szybko zaczerpnęła powietrza.

- Ach, mój Boże. Więc oni wiedzą o nas?

- Oni wiedzą wszystko - powiedział Charles i zwrócił się do Steve'a: - Czy mógłbym w czymś pomóc?

Nadine, słysząc to, pomyślała: "W ogóle nie spytał go, kim jest, co tu robi, jakby to było najnaturalniejszą rzeczą na świecie, że mężczyzna wychodzi z dżungli i wpada na kogoś."

- Szukam pracy. Może znalazłoby się tu coś dla mnie?

- Może by się znalazło - odparł Charles. - Co pan umie robić?

- Bardzo wiele rzeczy. Przydałoby mi się trochę pieniędzy.

Nadine nie mogła dłużej poskromić swojej ciekawości.

- A co pan tutaj robi? - spytała.

- Spaceruję - odparł. - Spaceruję po dżungli.

Nie mogła oderwać od niego okrągłych ze zdziwienia oczu.

Widząc to uśmiechnął się i zaspokoił jej ciekawość.

- Przyjechałem tu, gdy miałem dwadzieścia lat. To było piętnaście lat temu. - Zamilkł na chwilę i zadumał się. - Wyda się, jakby to było całe wieki temu. Porzuciłem pracę, ponieważ ciągnęło mnie w nieznane, byłem żądny przygód. Pojechałem na południe i przez kilka lat pracowałem w policji. Później zrezygnowałem z tego i zdecydowałem się powędrować z Przylądka Dobrej Nadziei na Saharę.

Wszyscy słuchali w skupieniu, z zaciekawieniem.

- Kiedy zaczęły się kłopoty, byłem już w tych okolicach. Dołączyłem do paru najemników.

- Walczył pan? - spytała Nadine z niedowierzaniem.

- Tak - uśmiechnął się. - Potem nie mogłem już nigdzie zagrać dłużej miejsca. Więc zacząłem włóczyć się bez celu i tak trafiłem w te strony.

- I nie są panu potrzebne pieniądze?

Wzruszył ramionami.

- Zarabiam, kiedy potrzebuję trochę grosza. Tak jak teraz.

Nie mogła zrozumieć tak nieustabilizowanego życia. "Mężczyzna, który nie ma żadnego celu w życiu, żadnych korzeni. Jak Charles!" - pomyślała ze strachem i poczuła, że robi się jej gorąco od tego odkrycia. Ale nagle uświadomiła sobie, że jest inaczej. On był lekarzem, mimo że nazywał siebie obieżyświatem.

Charles opowiedział przybyszowi o swoim planie wycięcia lasu, że potrzebuje silnych mężczyzn, o tym jak przyjechały siostry i pomagają mu w opiece nad chorymi.

- Jestem bardzo zadowolony z ich pomocy - powiedział, zwracając się w stronę Margaret. - Ale drzewa wciąż czekają na ścięcie, a jeden człowiek to za mało do takiej pracy.

- Mógłbym to zrobić - odparł Steve.

- W jaki sposób? - spytał Charles.

- Znam większość tubylców w dżungli. Oni to robią.

- Wspaniale. - Charles wstał. - To najlepsza wiadomość, jaką ostatnio słyszałem. Kiedy pan zaczyna?

- Tak szybko, jak to panu odpowiada. Niech pan pokaże, co trzeba zrobić.

- Proszę najpierw wejść do środka i coś zjeść.

Margaret i siostry poszły do swojej chaty, a obaj mężczyźni weszli do jadalni. Nadine ospale powlokła się za nimi. Charles rozłożył arkusz papieru i zaczął rysować plan.

- Gdybyśmy zaczęli, powiedzmy - stąd, wtedy uzyskalibyśmy coś w rodzaju wyciętego kanału i mógłbym spalić wszystko z tej strony.

Mężczyźni w skupieniu myśleli nad planem. Nadine wymknęła się cicho na werandę i zapatrzyła się w ciemny las. Więc ten jej nowoodkryty, cudowny świat wkrótce pryśnie jak bańka mydlana? Chciała, żeby Steve Grant nigdy się tu nie zjawił.

Następnego dnia, wczesnym rankiem wziął jeepa i pojechał do Newton po pocztę. Przywiózł list dla Margaret. Gdy otworzyła kopertę zobaczyła, że to odpowiedź od matki generalnej.

Przejrzała pierwszą stronę ładnego, starannego pisma. Matka generalna cieszyła się słysząc, że bezpiecznie dotarły na miejsce i że pomagają doktorowi w opiece nad chorymi. "Moje drogie dziecko - pisała dalej przełożona, a Margaret uśmiechnęła się do siebie, czytając te zwyczajowe zwroty - czytając między wierszami odniosłam wrażenie, że nie interesuje Cię zbyt wiele życie w tej afrykańskiej wiosce. Wszystkim nam czasami wydaje się, że coś, co robimy, nie ma sensu, ale jest sens, zapewniam Cię, moje drogie dziecko, nawet jeżeli teraz tego nie widzimy."

Margaret spojrzała przed siebie i wyobraziła sobie mądrą twarz matki generalnej, pełną spokoju i słodczy, ale jednocześnie stanowczą. Chciałaby mieć to jej poczucie porządku rzeczy. Wróciła do listu. "Myślę, że nie powinniście martwić się tym - czytała dalej - co będzie za trzy miesiące. Nawet jeśli przyjadą ci ludzie, o których piszesz, i zajmą waszą chatę, na pewno znajdziecie jakąś inną, w której mogłybyście zamieszkać. A jeżeli nie, to myślę, że tubylcy mogliby jakąś dla was zbudować, to chyba nie jest takie trudne. A w ostateczności mogłybyście zbudować same..."

Podniosła głowę znad listu i poczuła, że znowu powraca uczucie buntu. Schowała list do kieszeni i wyszła przed chatę.

Gdy rozmyślała, podeszła do niej siostra Teresa.

- Matko przełożona - zwróciła się do niej. - Czy mogłybyśmy porozmawiać?

- Naturalnie, dziecko - powiedziała i zatrzymała się, czekając, aż siostra Teresa poprosi ją o przeniesienie od gorącego pieca, którego nienawidziła, do innej pracy.

Siostra Teresa zaskoczyła Margaret, mówiąc:

- Matko przełożona, nie lubię siostry Mary.

Margaret nie dała poznać po sobie, jak jest zdziwiona.

- Dlaczego jej nie lubisz? - zapytała.

Siostra Teresa spuściła głowę.

- Nie wiem - odpowiedziała cicho.

- Może dlatego, że jesteś zazdrosna? - spytała łagodnie Margaret. - Pracujesz przy piecu zamiast opiekować się chorymi. Przypomnij sobie historię Marii i Marty.

- Tak, ale to jest niesprawiedliwe, matko przełożona, że ci, którzy pracują najciężej, są zawsze w cieniu, nikt nie zauważa i nie docenia ich pracy.

- Och, cicho już. - Margaret poczuła, że pojawia się uśmiech na jej twarzy. Siostra Teresa wydawała się jej taka młoda i dziecinna. - Oczywiście, że to nie jest sprawiedliwe, ale tak już jest w życiu. Nie wszystko jest sprawiedliwe. Ale ty wiesz o tym wszystkim. Nie powinnaś być łasa na pochwały.

- Tak, wiem - próbowała wyjaśnić. - Siostra Mary jest taka dobra, i to - dokończyła gwałtownie - jest najgorsze w tym wszystkim. Jeśli stałaby przy piecu tak jak ja, to na pewno nie skarżyłaby się.

Margaret uśmiechnęła się znowu i pomyślała, że niełatwo być Martą. Próbowała powiedzieć coś mądrego, postanawiając, że przeniesie Teresę do innej pracy tak szybko, jak to będzie możliwe. Życie w afrykańskiej dżungli rządziło się zupełnie innymi prawami niż życie w konwikcie w Anglii. Odkryła, że musi się kierować zupełnie innymi zasadami. Okazała miała pojawić się szybciej, niż przypuszczała.

Przyszły do izby przyjęć, gdzie czekał na nich Charles i dziecko, które wyzdrowiało w tak cudowny sposób. Była to śliczna dziewczynka z długimi, czarnymi i kręconymi włosami.

- Ona nie mówi językiem tubylców - powiedział Charles - ale szybko się nauczy. Dzieci zawsze uczą się szybko. Ale nie wiemy, skąd ona jest i jak ma na imię. Myślałem - powiedział z lekką ironią w głosie - że może chcecie ją ochrzcić.

- Dlaczego nie? - Margaret zwróciła się do siostry Mary: - Sądzę, że mogłabyś wybrać imię dla niej, a później ją ochrzcimy.

Poczuła lekkie wzruszenie - ich pierwsza nawrócona.

- Myślę, że powinna się nazywać Maria - zdecydowała siostra Mary. Charles zwrócił się do dziewczynki:

- Maria - powiedział. - Maria, jak ci się podoba to imię?

Na twarzy dziecka pojawił się szeroki uśmiech.

- Rea - powiedziała.

I tak ją nazwali.

Dziewczynka stała między siostrami i Charles powiedział:

- Wygląda na to, że będziecie musiały ją też zaadoptować.

- Ale gdzie ona będzie mieszkała? - spytała Margaret troskliwie.

- Nie wiem. Popytam, czy któraś z rodzin tubylców nie wzięłaby jej.

- Czy nie mogłaby zamieszkać z nami? - zaproponowała siostra Mary, patrząc na dziewczynkę i na matkę przełożoną.

Margaret uśmiechnęła się, spoglądając na dziecko.

- Dlaczego nie? - odparła. - Jeżeli doktor Martin znajdzie dla niej jeszcze jedno łóżko.

- To się da zrobić. Mam dwa zapasowe. Wczoraj jeszcze miałem je dla Steva Granta, ale on woli spać na dworze.

- A jeśli będzie padać, co wtedy? - spytała Margaret.

- Ma namiot i śpiwór. Mówi, że jest przyzwyczajony do deszczu, więc nie ma czym się martwić.

Pacjenci zaczęli zbierać się przed szpitalem. Rozpoczął się kolejny dzień przyjęć. Margaret była pochylona nad kilkumiesięcznym dzieckiem, a gdy skończyła, zobaczyła, że nie podchodzi nikt z oczekujących. Rozejrzała się zaskoczona. Nadine i Charles również czekali. Czekali wszyscy oprócz siostry Mary. Przed nią ustawiła się długa kolejka tubylców.

Charles wstał i zawołał:

- Chodźcie! - Ale nikt nie zareagował, tylko jeden z tubylców przemówił.

- Co on mówi? - spytała Margaret.

- Mówi, że siostra Mary wyleczyła dziecko czarami, więc teraz wszyscy chcą iść do niej. - Charles wyglądał na zdenerwowanego. Margaret, patrząc na tubylców, przypomniała sobie, co Steve Grant mówił o przekazywaniu informacji za pomocą bębnow. Szybko podjęła decyzję.

- Siostrzo Mary, proszę ze mną. - Ruszyła w stronę szpitala, a za nią szła młoda zakonnica i mała Rea. Minęły korytarz i przeszły do chaty.

- Przykro mi, matko przełożona - powiedziała przeprasząco.

- To nie twoja wina. Ale będzie lepiej, jeśli zostaniesz tutaj. Stała w drzwiach i rozejrzała się, myśląc, czy ktokolwiek z tubylców odgadł, dokąd poszły. Pacjenci otoczyli werandę, mrużąc coś między sobą.

- Siostrzo Tereso - powiedziała, obracając się do dziewczyny - możesz iść za mną. Siostra Mary dzisiaj zastąpi ciebie.

Siostra Teresa rozejrzała się z lekkim triumfem i odeszła od gorącego pieca. Po drodze Margaret wytłumaczyła jej całą sytuację. Nie chciała, żeby siostra Teresa myślała, że zamiana nastąpiła ze względu na jej narzekania.

Doszły do werandy. Tubylcy byli w tym samym miejscu i dalej rozmawiali między sobą. Za nimi stał Charles, był zaniepokojony. Uniósł do góry rękę i powiedział:

- Nie było żadnej magii. Siostry Mary już nie ma. - Nikt się nie poruszył. - Siostra Mary odeszła - krzyknął Charles i ludzie zaczęli wolno podchodzić do nich.

Margaret była zmartwiona z powodu tego zamieszania. Wiedziała, że Charles był zirytowany, pamiętała ich przyjazd tutaj i jego niechęć do misjonarek. Teraz wiedziała, skąd to się wzięło. "Będę musiała - pomyślała - powiedzieć tubylcom o Bogu, modlitwach i jak było możliwe to uzdrowienie. Ale jak mam to zrobić"?

Przyjęcia skończyły się, a siostry poszły z powrotem do swojej chaty. Nadine czekała, by Charles zaproponował jej spacer do lasu. Ale Charles był zajęty czymś innym.

- Wyjmij plany, trzeba je dokończyć - powiedział do Steva.

Patrzyła na wioskę, gdzie wczorajszej nocy wszyscy tańczyli, a ona z Charlesem stała, obserwując ten zaczarowany świat, i miała nadzieję, że to będzie trwać wiecznie. Wzruszyła ramionami. U Charlesa zawsze na pierwszym miejscu była praca. Nagle odkryła, że taki sam musiał być jej ojciec.

Oddaliła tę myśl. To było co innego. Ale czy było? Musiało być, był dobrym człowiekiem, nierozumianym, samotnym, marzącym o swojej małej córeczce, której nie pozwolono przyjechać do niego. Pracował, by zapomnieć o samotności, pracował nad odkryciami, które mogłyby wstrząsnąć światem. I ona ma całą dokumentację tych badań.

Poszła do swojego pokoju i wyjęła papiery ojca z szuflady. Patrzyła na nie znudzona. Czyżby to było ledwie kilka dni temu, gdy przyglądała się pracy Charlesa w laboratorium, jego badaniom nad śpiączką, wiedząc, że jej ojciec pracował nad tym samym i doszedł o wiele dalej?

Usiadła nagle odkrywając, że badania ojca bardzo pomogłyby Charlesowi. Mógłby je kontynuować od miejsca, w którym skończył ojciec. Ale wtedy, jej ojciec byłby niedostrzeżony, nie dostałby nagrody, która jemu się należała.

Podeszła do matulkiego okna i odsunęła zasłonę. Nie myślała o tym wcześniej, chciała tylko, by jej ojciec stał się sławny. Co się zmieniło i dlaczego? Czy to, że Charles wziął ją na spacer do lasu i pocałował w świetle księżyca, ostrzegając równocześnie, by nie traktowała tego poważnie i prawdopodobnie zapomniał o tym wszystkim? Włożyła papiery ojca z powrotem do szuflady, obiecując sobie: "Pomyślę o tym jutro. Na razie będę robiła to, co zamierzałam wcześniej. Zbiore informacje o życiu ojca."

Otworzyła szufladę i wyjęła plik listów zniszczonych od częstego czytania. Wyjęła jeden z nich, napisany dziesięć lat temu, kiedy miała szesnaście lat.

"Droga córko - zawsze zwracał się do niej w ten sposób - dziękuję Ci za ostatni list, cieszę się słysząc, że chcesz zostać lekarzem i dołączyć do mnie. Jest to bardzo miłe z Twojej strony, że chcesz zbudować dla mnie dom".

Zapatrzyła się w dal. Pamiętała z jaką ochotą pisała do niego, przelewając na papier wszystkie swoje plany. Będzie lekarzem, przyjedzie do niego, stworzy dla nich przytulny, ciepły dom. Znowu spojrzała na list. Nie pisał jej nic o sobie i o tym, co naprawdę czuł. A może nie potrafił pisać o sobie.

Wyjęła jeszcze jeden list; był napisany, kiedy chodziła do szkoły medycznej. "Droga córko. Ucieszył mnie Twój ostatni list. Ostatnio wybuchła tu śpiączka, właśnie idę obejrzeć kilku pacjentów, ale obawiam się, że niewiele mogę dla nich zrobić. Prowadzę cały czas badania nad śpiączką i jeśli by mi się coś stało, postaram się, by te papiery przesłano Tobie".

To był jego ostatni list. Odpisała, długo czekając na odpowiedź, i wtedy przyszedł list od Billa Ellisa zawierający zaklejoną kopertę z dokumentacją badań ojca. "Doktor Phillips nie żyje - pisał Bill Ellis. - Prosił, aby te papiery pani przesłać".

Pamiętała swój smutek, chociaż - jak powiedziała Charlesowi - nie płakała. Nie powiedziała o tym nikomu, chodziła błada i bez życia, aż koleżanki zaczęły się dopytywać, co się stało.

Odpowiadała: "Nic". Jak mogła wytłumaczyć, że czuje się tak, jakby odcięto jej korzenie. Każdej nocy miała ten sam sen. Stoi na zewnątrz domu, w którym bawią się dzieci, a ona jest samotna i niechciana. Jej ojciec też jest w domu, ona stoi pod oknem i zagląda do środka.

Przejrzała notatki ojca i podjęła decyzję. Już nigdy nie będzie mogła stworzyć mu domu, ale będzie mogła sprawić, by jego imię było znane w całym świecie. Orientowała się w medycynie na tyle, by wiedzieć, że badania ojca są bardzo zaawansowane. Dokończy je i wtedy...

Ale tak mało o nim wiedziała. Wiedział Bill Ellis, więc napisała do niego, dziękując za przesyłkę. Pisała, że przyjedzie pewnego dnia, jednocześnie pytając, czy jest coś, co mogłaby dla niego zrobić.

Jego odpowiedź nieprzyjemnie ją zaskoczyła. Pisał, że to miło z jej strony, że ofiaruje mu swą pomoc, ale jeżeli zechciałyby wysłać mu trochę pieniędzy, to byłyby one dobrze wykorzystane.

Posłała mu pieniądze i robiła to od czasu do czasu, pisząc, że przyjedzie kiedyś. Nigdy nie pytała Billa, co robił z tymi pieniędzmi, zakładała, że przeznaczają je na cele dobroczynne.

Teraz przyjechała tu i potrzebowała Billa Ellisa, by opowiedział jej o ojcu, by mogła dowiedzieć się, jaki naprawdę był.

Przeszła wzdłuż korytarza. Charles wciąż był ze Stevem, pracowali nad planem. Wyszła z domu i poszła do jeepa, stojącego obok land rovera.

Zawahała się przez moment, podeszła do samochodu i wskoczyła do środka. "Nie ma potrzeby pytać Charlesa o pozwolenie za każdym razem, kiedy chcę jechać do miasta" - powiedziała sobie. Znała drogę. Uruchomiła silnik i odjechała, pozostawiając za sobą chmurę pyłu.

Kiedy wróciła, słońce prawie zachodziło. Zaparkowała jeepa i weszła do budynku. Charles wyszedł zaraz z pokoju i stanął przed nią.

- Chwileczkę - powiedział. - Na przyszłość bądź tak miła i uprzedzaj mnie, kiedy będziesz chciała pożyczyć jeepa.

- Przykro mi - powiedziała chłodno. - Myślałam, że to własność szpitala.

- Mogłaś chociaż wspomnieć, że jedziesz. A gdybyś miała wypadek?

Spojrzała na niego, uświadamiając sobie, że niepokoił się o nią. Zauważył to spojrzenie i powiedział:

- Mogłaś rozbić jeepa.

Wiedziała, że powiedział to celowo, ale nie mogła powstrzymać ogarniającej ją wściekłości.

- Prowadzę samochód nie gorzej od ciebie.

- A gdzie byłaś, tak a propos? - zapytał. - Spotkałaś się z Billem Ellisem?

- Tak.

- Chcesz tam jeszcze jechać?

- Dlaczego pytasz? - zapytała ze złością.

- Powiedz mi - spytał cicho - czy płacisz mu za te informacje o twoim ojcu?

- Tak. Daję mu trochę za fatygę.

- Zatem jesteś głupia - powiedział.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Tak długo, jak będziesz mu płaciła, będzie ci coś opowiadał, prawdziwego czy zmyślonego.

- Dlaczego miałyby to robić?

- Dla pieniędzy.

- Nie! - krzyknęła. - Nie wierzę ci, Charles.

- Więc nie ma sensu rozmawiać dalej na ten temat - skwitował i zawrócił na werandę.

Poszła do swego pokoju i usiadła przy małym stole. "Tak więc wróciliśmy do punktu wyjścia - pomyślała. - Znow kłócimy się i dogryzamy sobie. Wydaje się, jakby nigdy nie było spacerów do lasu i tej nocy, gdy księżyc był w pełni."

Podczas gdy Nadine jechała do Newton, siostry zajęte były szyciem. Rea nie miała w czym chodzić. Ubrana była jedynie w stare szorty, które Charles skądś dla niej wyciągnął.

-Jeżeli miałybyśmy choć trochę jakiegoś ładnego materiału, mogłybyśmy uszyć jej sukienkę - zastanawiała się głośno siostra Teresa. Margaret rozejrzała się praktycznym okiem po chacie. Od czasu przyjazdu dużo szyły, ponieważ przywozły ze sobą sporo ciemnozielonego materiału. Między innymi uszyły zasłony przedzielające łóżka, co wprowadziło trochę intymności do ich malutkiej sypialni. Ale już dawno materiał się skończył. Zresztą i tak byłby za ciemny i za gruby dla małej dziewczynki, której poza tym pewnie by się nie spodobał, gdyż tubylcy uwielbiali jaskrawe, kolorowe materiały.

"Amanda - pomyślała Margaret. - Ona zawsze nosi śliczne, kolorowe sukienki. Muszę z nią porozmawiać."

Tutejsze kobiety okrywały się tylko kawałkiem materiału owiniętym wokół ciała. Amanda jednak ubierała się na sposób europejski, lubiła nosić jaskrawe, pełne falban, przymarszczone sukienki. Margaret przedstawiła jej sprawę.

Amanda rozpromieniła się, ukazując białe zęby w uśmiechu. Obiecała znaleźć sukienkę dla dziewczynki. Miała właśnie takie rzeczy. Uśmiechnęła się znowu i zniknęła, wracając ze śliczną, białą, bawełnianą sukienką w wielkie czerwone róże.

- Proszę - powiedziała. - Weź jeszcze i tę - i podała jej drugą, jedwabną.

- Amanda, jesteś bardzo, bardzo miła - powiedziała Margaret i zabrała sukienki do chaty.

Siostra Anna, która była świetną krawcową, przerobiła sukienki, potem wszystkie usiadły dookoła, szyjąc z zapałem, a mała Rea przyglądała się im ciekawie. Anna wzięła gotowe już sukienki i przymierzyła dziewczynce, której z radości roziskrzyły się oczy.

- Dobrze, dobrze, dobrze! - krzyknęła.

Zaśmiały się, a siostra Teresa powiedziała:

- Nawet się nie obejrzymy, jak będzie mówić po angielsku.

Potem była godzina odpoczynku, którą Margaret codziennie starała się wygospodarować dla nich. Był to czas przed zachodem słońca, kiedy wszystkie mogły być razem - przynajmniej teoretycznie - gdyż zazwyczaj siostra Anna spacerowała z siostrą Dolores, a siostra Teresa z siostrą Jadwigą. Siostra Mary zawsze zostawała sama.

Nie wyglądało na to, że jej to przeszkadza. Spacerowała sama lub zajmowała się swoimi kwiatami. Margaret przyglądała się zakonnicom i dziwiła się, dlaczego nie lubiły siostry Mary. Rozmyślała nad tym, kiedy podszedł do niej Steve Grant.

- Dobry wieczór - powitał ją.

- O, dobry wieczór. - Spojrzała na niego trochę zaskoczona, a on odezwał się:

- Nie przyszedłem z wizytą. Prawdę mówiąc, to nasi przyjaciele kłócą się, więc wymknąłem się niepostrzeżenie, zanim zaczną skakać sobie do oczu.

- Tutaj trudno trzymać nerwy na wodzy - powiedziała Margaret, patrząc na siostrę Mary.

Rozejrzył się wokoło.

- Nie zamierzasz powiedzieć mi chyba, siostrzo, że mieszkacie w tej chacie?

Westchnęła nieznacznie, przypominając sobie szczury.

- Niestety, to jednak prawda.

- Czy doktor Martin nie mógł dla was znaleźć czegoś lepszego?

- W szpitalu nie ma miejsca - odparła.

- Wielkie nieba! Nie mogę zrozumieć, dlaczego mieszkacie w takich warunkach!

Margaret nie odpowiedziała, więc mówił dalej.

-1 nie mogę zrozumieć, dlaczego w ogóle tu przyjechałyście. Co dobrego to daje, przyodziewanie kolorowymi szmatkami czarnych ciał - kpił. - Obeszłyby się bez tego.

- Oni z tego się cieszą, panie Grant - powiedziała myśląc o Rei.

- Jak długo tu będziecie? - zmienił temat.

Spojrzała przed siebie i nagle jej oczy stały się bez wyrazu.

- Aż nas stąd odwołają - powiedziała.

Spojrzał na nią bystro.

- Nie podoba ci się tutaj, siostrze? - zapytał.

Była zaskoczona jego wyczuciem.

- To, czy mi się podoba, czy nie, nie ma żadnego znaczenia. - odparła sucho.

- Sądzę, że to ma znaczenie. Wydaje mi się, że każdy powinien robić to, co mu się podoba.

- Ale panie Grant, ilu ludzi może robić to, co lubi i chce? - odparła zniecierpliwiona. - Myślę, że niewielu. Mozolą się codziennie, czasami nawet nie wiedząc, po co.

- No cóż, według mnie to strata życia.

Milczała, a on dodał:

- Mam nadzieję, że nie obraziłem siostry.

- Oczywiście, że nie - odparła uprzejmie.

- Pewnie uważasz mnie za potwora. Ja robię to, co mi się podoba.

Uśmiechnął się.

- To, co ja myślę, nie ma znaczenia, panie Grant.

- Idę tam, gdzie mam ochotę i robię to, co chcę, nie martwiąc się o nic. Walczyłem na wojnie, która nic mnie nie obchodziła.

- Dlaczego pan to robił? - spytała.

Wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że miałem nadzieję pomóc biednej hołocie, której kiepsko się wiodło, w dodatku nie z jej winy.

- Nie znam się na polityce, panie Grant.

Milczał, a ona odwróciła się, by spojrzeć na siostry. Siostra Mary dalej spacerowała sama.

- To jest ta uzdrowicielka, prawda? - zapytał.

Odpowiedziała szybko:

- Proszę tak nie mówić.

- O co chodzi? Czy inni jej nie lubią? - zapytał, przyglądając się siostrze Mary.

Drażniła ją jego domyślność. Nic nie odpowiedziała.

- Przypuszczam, że święci są podobni do geniuszy. Wszystko jest w porządku, gdy umrą, ale trudno jest z nimi żyć.

- Panie Grant, bardzo proszę, żeby pan więcej nie wspominał o żadnych świętych i uzdrowicielach.

- Ale to prawda, czyż nie?

- To był mój błąd - odparła przygnębiona. - Nie powinnam w ogóle wspominać, że siostra Mary modliła się za to dziecko. Nie przypuszczałam, że ta wiadomość tak się rozniesie.

- No cóż, ale rozniosła się i teraz wszyscy tubylcy myślą, że siostra Mary jest szamanem.

- Och, proszę - jej głos był zatroskany.

- Nie ma się czym martwić. Będą chcieli tu przyjść, zobaczyć was, no i czary.

- Nie, nie, nie - zaprotestowała z nagłą gwałtownością. - Czy nie widzi pan, jakie by to było straszne? Będziemy ich oszukiwać, pozwalając myśleć, że cud może stać się na zawołanie.

Zrobiła krok do przodu. Grant obserwował ją.

- Jakoś muszę to wyjaśnić - postanowiła. - Cud może się zdarzyć, ale nie za pomocą magii czy czarów. Sprawia to moc modlitwy, ale nasze modlitwy nie zawsze są wysłuchiwane tak, jak byśmy tego chcieli. Rozumie pan?

- W ogóle nie rozumiem - powiedział. - Ja nigdy się nie modłę.

- Och - westchnęła. - Zna pan tubylców. Czy przyszliby, gdybym chciała im to wyjaśnić?

- Nie - odparł. Powiedział to cicho, jakby do siebie.
 - Zastanawiam się, jak inni zaczęli?
 - No cóż - odparł. - Na południu jest męska misja. Mają małą kaplicę z obrazkami, tubylcy lubią tam przychodzić.
 - Oczywiście! - rozpromieniła się Margaret. - To jest odpowiedź. Potrzebujemy kaplicy i trzeba będzie ją zbudować.
- Uśmiechnął się i zapytał:
- Jak zamierzacie to zrobić?
- Poczuła w kieszeni pod palcami list matki generalnej i podjęła decyzję.
- Zbudujemy same - powiedziała.

ROZDZIAŁ IV

Steve nie mógł oderwać wzroku od Margaret, jego zdziwienie było komiczne.

- Żartujesz, sestro - powiedział.

- Nie, wcale nie żartuję. Bardzo potrzebujemy kaplicy i sal lekcyjnych. Cały czas zastanawiałam się, co zrobić...

- No cóż, jeżeli nie żartujesz, sestro, to po prostu marzysz - powiedział, patrząc na nią intensywnie, jakby próbował czytać w jej myślach.

Uśmiechnęła się, ale wiedziała, że to nie marzenie. To było coś, co koniecznie trzeba urzeczywistnić, chociaż nie wiedziała, jak. To będzie jak przejście przez ciemny tunel, bez znajomości drogi, bez przewodnika, ale z bardzo słabym światłem po drugiej stronie.

- Jeśli mogłybyśmy wybudować jeszcze jedna chatę, ale większą - powiedziała z wahaniem. - To nie powinno być trudne.

- Wprost przeciwnie. To jest trudne - zaprzeczył. - Choć bez wątpienia dla was tubylcy zrobiliby to. - Rozejrzał się. - Tak naprawdę, to potrzebujecie budynku z cegieł, takiego, który będzie trwały. A co to takiego ? - wskazał ręką na zarośnięte fundamenty.

- Tu była stara misja. Została spalona do fundamentów.

- Rozumiem - ruszył w kierunku ocalałych resztek. Margaret wolno poszła za nim. Pochylił się i zaczął wyrywać rośliny i chwasty, które rosły tam z intensywnością charakterystyczną dla tropiku.

- Możecie zbudować kaplicę na tych starych fundamentach. Są zdrowe i mocne. Tylko oczyszczenie terenu będzie wymagało dużo pracy.

Poczuła, jak rozpala się w niej iskra entuzjazmu, nareszcie zobaczyła wyjście z ciemnego tunelu wątpliwości.

- To byłoby idealne rozwiązanie - stwierdziła.

- Mogłybyśmy podzielić budynek na dwie części: jedną przeznaczyć na kaplicę, drugą na szkołę. - Rozejrzała się dookoła. - Ale skąd wziąć na tym pustkowiu materiały potrzebne do budowy ?

- Jeżeli naprawdę mówisz poważnie, siostrze, to nie jest problem. Mogę to dla ciebie załatwić.

- Naprawdę ?

- Jest w Newton pewien człowiek, który może dostarczyć wszystko, za odpowiednią zapłatą. Czy wzięłaś pod uwagę kwestię finansową, siostrze ?

- Tak, panie Grant, ja nie marzę. Konwent w Anglii dostarczy środków. Moi przełożeni bardzo chcieliby, aby powstała tu szkołka misyjna, więc znajdą się na to pieniądze. A jeśli to nie wystarczy...

- To będziecie się po prostu modlić - powiedział ironicznie.

Zignorowała jego ton i odparła poważnie:

- Tak, panie Grant, właśnie tak zrobimy.

- A czy wzięłaś pod uwagę, co to za sobą pociągnie ? Będziecie musiały pracować jak wyrobnice, wspinać się po drabinie...

- Bardzo potrzebujemy tej kaplicy - skwitowała z prostotą.

- Możecie się ograniczyć tylko do rzeczy niezbędnych, cztery ściany, drzwi i żelazny galwanizowany dach. Budynek nie musi być zbyt wysoki, starczyłoby jedno piętro. No cóż, zobaczą, co się da zrobić, pojedą do Newton. Nauczę was robić zaprawę murarską.

- Jest pan bardzo dobry - powiedziała szczerze. - Bóg musiał tu pana zesłać.

- Nie sądzę - zaśmiał się. - Nie wierzę w Boga, więc chyba raczej mnie tu nie wysłał.

- Niezbadane są wyroki boskie, panie Grant - odparła spokojnie.

- Chyba nie zamierzasz mnie nawracać, siostrze ?

- Nie. Nie mam takiego zamiaru.

- Szkoła bardzo by się tu przydała - przyznał. - Teraz nie ma jej nawet w Newton. Zresztą nie ma tam nic oprócz poczty i

kilku sklepów. Wróć już do szpitala, dobranoc - powiedział odchodząc.

- Dobranoc, panie Grant.

Słońce chyliło się ku zachodowi i lekki powiew wiatru musnął jej twarz. Spojrzała na piękno afrykańskiego zachodu i nagle poczuła się szczęśliwa.

Steve poszedł do szpitala i wszedł do pokoju jadalnego, gdzie siedział tylko Charles.

- Wejdz, proszę - zaprosił go. - Amanda właśnie przygotowała obiad. Jemy dopiero po zachodzie słońca. W ciągu dnia jesteśmy bardzo zajęci, no i jest zbyt gorąco, ale przejdźmy do sprawy wyrębu lasu.

Niepostrzeżenie weszła Nadine i usiadła przy stole. Steve przywitał się z nią i zwrócił się z powrotem do Charlesa.

- Myślałem o tym dzisiaj, a więc, gdzie jest nasz plan ?

Nadine westchnęła głośno, ale on nie zwrócił na to uwagi.

- Sugerujesz doktorze, by spalić te drzewa. Można je spalić dopiero wówczas, jeżeli będzie za mało pracowników. Lecz jeśli znajdę ich dostateczną ilość, a sądzę, że znajdę, to myślę, że można je wyciąć i sprzedać.

- Dobry pomysł - zgodził się Charles, gdy Amanda wносиła obiad.

- Skąd jednak weźmiemy sprzęt - siekiery, piły...

- Tubylcy mają trochę, tyle że raczej prymitywny. Nie wiem, jak u pana z pieniędzmi, ale jeżeli mógłby pan pożyczyć mi trochę, kupiłbym podwójne piły, a zwróciłoby się nam to po sprzedaniu drzewa.

- Może pan pożyczyć wszystko, co mam, ale nie jest tego zbyt wiele. Resztę pieniędzy podzielilibyśmy między tubylców, z odpowiednią częścią dla pana.

- Ja wezmę tyle, co wszyscy. Mam tu zapewnione przecież utrzymanie.

- Ależ - oponował Charles - pan zrobi tu przecież najwięcej. Zwerbuj pan pracowników, będzie pan głównym nadzorcą i wykonawcą.

- Jeżeli pan się upiera... - wzruszył ramionami Steve.

- Nie potrzebuje pan pieniędzy ? - pytała ciekawie Nadine.

- Jeżeli już pani pyta, to tak. Chciałbym skończyć moją wędrówkę, którą zacząłem wiele lat temu: z Przylądka Dobrej Nadziei do Kairu. To jest to, co zawsze chciałem zrobić. Dzięki tej pracy mógłbym zebrać trochę grosza i wyruszyć w drogę.

- Dobrze - powiedział Charles z zapałem. - Kiedy pan zaczyna ?

- Jutro pojedę i zbiorę trochę pracowników. Zastanawiam się, czy mógłbym pożyczyć jeepa. Muszę pojechać najpierw do Newton.

- Oczywiście - powiedział Charles. - Przez ten czas może pan go uważać za swojego. - Wymownie spojrział w stronę Nadine, a ona odpowiedziała zimno:

- Zrozumiałam.

- Nie będę go potrzebował na długo - wtrącił pośpiesznie Steve, obawiając się kolejnej kłótni. - Chciałbym tylko zamówić trochę materiałów budowlanych dla sióstr.

Charles zatrzymał widelec w połowie drogi do ust i przyglądał mu się intensywnie.

- Czy dobrze usłyszałem ? - zapytał zaskoczony. - Materiały budowlane dla sióstr ?

- Tak, zgadza się. Chcą wybudować kaplicę.

- Wielkie nieba! Wydawało mi się, że miały bzika na punkcie szybkiego powrotu do Anglii.

- Myślę, że jest to nadal aktualne - powiedział Steve. - Ale może nie rozumiem ich punktu widzenia, jestem ateistą, co zresztą powiedziałem siostrze przełożonej.

- Naprawdę ? - zaśmiała się Nadine. - Jaki sens ma mówienie jej tego? Mniejsza o to, jak zamierza pan zdobyć cegły w Zagubionym Zakątku ?

- W Newton mieszka człowiek, który może dostarczyć wszystko. Chcę się z nim zobaczyć.

- No cóż, jak na ateistę, robi pan wspaniałą robotę dla strony przeciwnej, nieprawdaż ? A kimże jest ten mężczyzna, który

zaopatruje w materiały budowlane klientów na tym końcu świata ?

- Nie sądzę, żeby pani go znała - odparł niedbale. - Nazywa się Bill Ellis.

- O - głos Nadine nie zdradzał jej zainteresowania. - A jak on zdobywa te wszystkie rzeczy ?

- Lepiej nie wiedzieć - wzruszył ramionami.

- Chyba nie znaczy to, że kradnie? Co by o tym powiedziała matka przełożona ?

- Nic jej o tym nie mówiłem. Powiedziałem tylko, że lepiej nie pytać.

- Więc ? - zapytała Nadine jakby od niechcenia. - Ten Bill Ellis to... jak go nazwać - jakiś ciemny typ ?

- Powiedzmy, że nie całkiem czystego sumienia - uśmiechnął się. - Mówiąc szczerze, to nędzna kreatura. Dla niepoznaki prowadzi obskurny bar, ale jego prawdziwe interesy... - wzruszył znowu ramionami. - Swego czasu handlował bronią, ale jak na razie, udaje mu się uniknąć więzienia - urwał, a Nadine zerwała się jak oparzona i wybiegła na werandę.

- Co ja takiego powiedziałem ? - spytał zmieszany i zaskoczony.

- Nic - powiedział Charles, wstał również i wyszedł za nią. Stała zwrócona do niego plecami i patrzyła w stronę lasu.

- Nadine - powiedział miękko.

- Wiedziałaś - powiedziała zduszonym głosem.

- Próbowałem cię ostrzec, Nadine.

- A więc Bill to typ spod ciemnej gwiazdy - powiedziała wciągając powietrze. - Ale to chyba nie znaczy, że nic mi nie powie o moim ojcu ?

-Nie.

Pomyślała o tych długich latach, kiedy wysyłała mu pieniądze z trudem zaoszczędzone ze skromnego stypendium, a potem z pensji, gdy już pracowała w szpitalu. Matce nic nie wysyłała, odkąd zaczęła być samodzielną. "Nigdy nie zgodzę się na twój wyjazd do Afryki" - przypomniała sobie słowa matki.

Poczuła rękę Charlesa na swoim ramieniu.

- Czy to ma takie wielkie znaczenie? - zapytał łagodnie.

- Tak, to ma wielkie znaczenie. - Spojrzała na niego uważnie, dodając w myślach: "To ma znaczenie ze względu na jego badania nad śpiączką, badania, o których powinnam ci opowiedzieć, gdyż mogłyby ci bardzo pomóc, Charles."

- Co byś chciała o nim wiedzieć? - spytał Charles. - Nie bardzo rozumiem, co cię interesuje, Nadine.

- Wszystko, całe jego życie - odpowiedziała gwałtownie. - Jak mogę o nim pisać, jeśli w ogóle go nie znam. - Nagle zrozumiała, że była to tylko wymówka. Dla samej siebie chciała wiedzieć, kim był ten mężczyzna, który z ledwością wysłał do niej parę nic nie mówiących listów. Ale kiedyś powiedziała: "Był dla mnie wszystkim."

- Większość dzieci kocha bardziej matki - zauważył Charles.

- Moja matka nie powinna go opuszczać, powinna zostać razem z nim, w Afryce - powiedziała zawzięcie. - Wtedy wszystko byłoby w porządku.

Położył ręce na jej ramionach i obrócił ją twarzą do siebie.

- A może nie byłoby? - zapytał. - Żyjesz dziecięcymi marzeniami, jak w śnie, gdzie wszystko jest doskonałe. W życiu jest inaczej. Twoja matka mogłaby być tutaj nieszczęśliwa. I co wtedy?

Zapadła cisza.

- Myślisz, że jestem egoistką, myśląc tylko o własnym szczęściu? No cóż, może i jestem. Nie chciałam, by moja matka drugi raz wyszła za mąż. Nie czułam się u nich dobrze, szczególnie, gdy przyszło na świat ich dziecko. To nie był mój dom. I jeśli jest samolubnym to, że chce się być szczęśliwym, to tak, jestem samolubna.

- Chyba wszyscy jesteśmy - powiedział Charles. - Kręcimy się w kółko, goniąc za szczęściem. Może oprócz sióstr. One mają inne problemy.

- Na pewno nie mają - odparła zdecydowanie Nadine. - Chyba zostanę zakonnica.

Zaśmiał się.

- I sadzisz, że byłoby to lekarstwo na twoje kłopoty ?

Wciąż trzymając ją w ramionach powiedział miękko:

- Nie wydaję mi się, że powinnaś zostać zakonnica.

Panującą wokoło ciszę przerwało skrzeczenie ptaka. Nagle zrobiło się ciemno. Poczuli niespodziewanie, jak bardzo są sobie bliscy. Ni stąd ni z owad, Nadine odepchnęła Charlesa mówiąc zirytowana:

- Jestem samolubna. I któregoś dnia dowiesz się o tym. - I odeszła szybko.

Następne tygodnie upływały w gorączce pracy. Pracowali jeszcze ciężiej niż przedtem. Steve Grant zniknął na jakieś dwa dni, by wrócić z gromadą tubylców chętnych do ścinania drzew. Charles i Steve wciąż chodzili, mierzyli i uzupełniali plan. Nie było żadnych nagłych przypadków w szpitalu, więc Charles zostawił chorych pod opieką Nadine, za co była mu wdzięczna. Pracując od rana do wieczora mogła nie myśleć o kłopotach, zapomnieć, że istnieje Bill Ellis, że w szufladzie leżą badania ojca, zapomnieć nawet o ojcu.

Margaret nie miała czasu tęsknić za Anglią. Czasami pracując, miała wrażenie, że przewróci się ze zmęczenia.

Następnego dnia po rozmowie ze Stevem, powiedziała o planie budowy kaplicy siostram i czekała, jak zareagują. Siostra Teresa otworzyła usta ze zdziwienia, a siostra Mary powiedziała z entuzjazmem:

- To wspaniale!

- Będzie to oczywiście praca tylko dla chętnych - powiedziała Margaret z uśmiechem. - Nie musicie tego robić, i tak wszystkie pracujecie już wystarczająco ciężko.

- Ja też uważam, że budowa kaplicy to wspaniały pomysł - dodała siostra Anna.

- Najpierw musimy powyrywać chwasty, by oczyścić fundamenty - kontynuowała Margaret. - Nie jest to zbyt absorbujące, więc możemy to robić w wolnych chwilach.

- Ale mamy tylko jedną wolną godzinę - zauważyła siostra Teresa, a siostra Mary przerwała jej:

- Od kiedy pracuję przy piecu, mam więcej czasu. Gdy skończę gotowanie, mogę wrywać chwasty.

Siostra Teresa skrzywiła się, a Margaret pomyślała: 'Ta dziewczyna znowu jest niezadowolona. Zastanawiam się, czy nie powinnam przenieść jej z powrotem do pieca, ale czy wtedy wokół siostry Mary znowu nie będą gromadziły się tłumy?'

Postanowiła poczekać z decyzją i poszła do wydzielonej dla nich części chaty, by napisać do matki generalnej: "Miała Matka rację, pisząc w pierwszym liście, że nie chciałam tutaj przyjechać, ale teraz z powodu rozbudowy misji jest zupełnie inaczej." Zaczęła opisywać matce generalnej swój plan i kontynuowała: "Wiem, że nie ma tutaj księdza, ale niektóre czynności liturgiczne w miarę możliwości możemy przecież sprawować same. A sale lekcyjne będą bardzo użyteczne, mogłybyśmy tam mieszkać, gdyby doktor Martin zdecydował, że potrzebuje naszej chaty dla kogoś innego." Zakończyła: "Mogę teraz swobodnie decydować o różnych sprawach, tak jak to pisała Matka w ostatnim liście."

Na drugi dzień Margaret, wracając po skończonych przyjęciach do chaty, zobaczyła, że siostra Mary już oczyszczała fundamenty pod kaplicę, wrywając gołymi rękami ogromne pęki chwastów. Zauważyła również, że obserwowało ją wielu tubylców. Podeszła z siostrą Teresą i Jadwigą i stanęły, przysłuchując się rozmowom tubylców. Jakaś kobieta spytała je:

- Czy to jest ta mała siostra Mary? - A gdy Margaret skinęła głową, zapytała - Zatem nie jest ona wielkim doktorem?

- Nie - odparła zdecydowanie Margaret. - Siostra Mary nie jest wielkim doktorem. Jest tylko robotnikiem na tym polu - powiedziała, a ludzie słysząc to zaczęli odchodzić.

Margaret była w Waseke wystarczająco długo, by wiedzieć, że hierarchia społeczna w wiosce była podobna do systemu klasowego panującego na całym świecie. Najważniejszymi osobami byli wódz i szaman. Po nich starsi i zasiadający w radzie wioski i tak stopniowo, aż do robotników i kobiet, które znajdowały się na samym dole drabiny społecznej.

" Jeżeli siostra Mary jest zwykłym pracownikiem - myśleli tabylcy - to na pewno nie mogła być żadną ważną osobą, a tym bardziej doktorem."

Margaret myślała o tym, że natura ludzka jest taka sama na całym świecie i nie zmieniała się od wieków. Przypomniała sobie słowa: "Czy może wyjść coś dobrego z Nazaretu?"

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że wiele ją łączy z tymi ludźmi, może właśnie ludzka natura? W każdym razie poczuła, że tworzy z nimi wspólnotę. Z zamyślenia wyrwał ją głos siostry Teresy.

- Matko przełożona, nie powinnyśmy mówić siostrze Mary, to by mogło zranić jej uczucia...

Margaret uśmiechnęła się, widząc zakłopotanie siostry Teresy. Gdy weszła do chaty, usiadła w swoim kąci, by napisać matce generalnej, że zaczęły budowę kaplicy.

Siostry chciały iść pomóc siostrze Mary, ale Margaret skarciła je.

- Nie powinnyście codziennie pracować przy oczyszczaniu fundamentów. Nie możecie tak nadwyręzać sił.

- A ty, matko przełożona? - śmiało spytała siostra Teresa. - Tobie też przydałby się choć dzień odpoczynku.

- Ja to co innego - odparła Margaret z uśmiechem - jestem przyzwyczajona do ciężkiej pracy.

" Ale czy naprawdę jestem ?" - zastanawiała się w ciągu następnych dni, kiedy schylała obolałe plecy, wyrывая i wykopując chwasty i młode drzewa rosnące naokoło fundamentów. Gdy tak pracowała, jej myśli znów biegły do małego jasnego pokoju w konwikcie w Anglii. Gabinet matki przełożonej - tam lubiła siadywać, słuchając szumu drzew i śpiewu ptaków za oknem.

Steve Grant podszedł do niej, by powiedzieć, że materiały budowlane będą dostarczone za kilka dni.

- To będzie kosztowało dwieście funtów. Czy ta cena wam odpowiada ?

- Nie dostałam jeszcze odpowiedzi od matki generalnej, ale przypuszczam, że tak - odparła przerywając wyrywanie chwastów.

- Nie macie łopaty? - spytał.

- Mamy tylko jedną, pożyczoną od doktora Martina. Siostra Dolores teraz nią kopie - powiedziała Margaret.

- Nie powinnyście tak pracować. Postaram się o więcej narzędzi. Tymczasem, siostrzo, oczyszczę ten kawałek za ciebie. - Stała przez moment zadowolona z chwili wytchnienia. Wiedziała, że siostra Dolores miała piękne ręce i nie chciała ich zniszczyć. "Duma? - spytała siebie. - Możliwe, poza tym wszystkie mamy swoje małe próżnostki..."

Steve przerwał tok jej myśli.

- Jesteście kompletnie zwariowane i ty, siostrzo, wiesz o tym. Lepiej by było, gdybyście teraz pomodliły się o jakąś pomoc, bardzo jej potrzebujecie.

Następnego dnia przyszedł do wioski Manba. Był wysokim, młodym, bystrym i inteligentnym tubylcem.

- Dlaczego siostry to robią? - spytał Margaret.

- Budujemy kaplicę i szkołę - powiedziała ważąc słowa.

- Szkoła jest dobra. Czy nasze dzieci będą się w niej uczyć?

- Tak. Nauczymy je pisać i czytać.

- Dobrze - skinął głową. - Czy mogę wam pomóc?

- To byłoby wspaniale - powiedziała - ale nie mogę ci zapłacić.

- Nic nie szkodzi. My chętnie pomożemy w budowaniu szkoły dla naszych dzieci.

I następnego dnia przybyło jeszcze trzech pomocników.

- O! widzę, że jest nas więcej - zauważył Steve, podjeżdżając ciężarówką pełną cegieł i cementu.

- Pomyślałem, że wspomogę wasze modlitwy, mówiąc ludziom, że ich pomoc bardzo się wszystkim przyda. Oni mogliby podnosić ciężkie rzeczy. - W tym czasie cement z ciężarówki znalazł się na ziemi. - Pewno nie macie pojęcia, od czego zacząć, prawda?

Margaret pokręciła głową.

- Dobrze. Jutro mam trochę czasu, więc dam wam pierwszą lekcję. Nauczę was wszystkich, jak mieszać cement i jak posługiwać się poziomica.

- Co to jest poziomica? - spytała niepewnie Margaret.

Roześmiał się.

- Najważniejszą sprawą w budownictwie jest to, aby wszystko było proste. Jeżeli nie dopilnujecie tego, będziecie miały krzywe mury. Poziomica pomoże wam postawić proste.

- Może lepiej byłoby nauczyć tego Manbę - zaproponowała Margaret.

- Tak, przydałoby się zrobić z niego majstra. Jutro zaleję cementem podłogę, zaczniemy stąd - wskazał. - To nie będzie trudne.

Margaret uśmiechnęła się nieznacznie.

- Jest pan dla nas bardzo dobry - powiedziała.

- No cóż, robię to, ponieważ chcę sobie zarezerwować miejsce w niebie - zażartował, a ona zaśmiała się.

Przez następne kilka dni Steve uczył ich. Pokazał im, jak mieszać cement z piaskiem i wodą, jak trzymać kielnię i jak prawidłowo kłaść cegły. Mogli więc zaczynać samodzielną pracę.

Wszyscy byli bardzo zaskoczeni, widząc, jak rosną mury. Nikt nie przypuszczał, że im się powiedzie.

- To wygląda solidnie - powiedziała siostra Anna, cofając się, by lepiej zobaczyć efekt swojej pracy. - Matko przełożona, chyba zostanę murarzem - dowcipkowała.

Siostra Teresa śpiewała z zapałem podczas pracy i teraz Margaret wiedziała, dlaczego matka generalna z takim przekonaniem twierdziła o niej, że się przyda. Jej otwartość i pogodne usposobienie sprawiały, że lżej się pracowało. Nosząc ciężary żartowała i śpiewała radośnie.

Mała Rea biegała w podskokach dookoła budowy, szczebioząc w połowie po angielsku, a w połowie w języku tubylczym, a inne dzieci z wioski jej towarzyszyły. Tymczasem budowa stale postępowała naprzód.

Kiedy przyszła odpowiedź matki generalnej, mury sięgały już prawie dachu. List był bardzo entuzjastyczny. "Z pewnością misja w Waseke jest bardzo potrzebna - pisała matka generalna - i myślę, że uda się Wam ją wybudować. Przyznaję, że nie wyobrażałam sobie czegoś tak ambitnego. Wszyscy jesteśmy pod wrażeniem tego, co robicie i w związku z tym mam dla Was wspaniałe wiadomości. Sam biskup, słysząc o tej pracy, zdecydował się przylecieć do Was, by konsekrować kaplicę i odprawić pierwszą mszę. Wiem, że na pewno się cieszyacie. Jego czas niestety jest ograniczony, więc datę swojego przyjazdu wyznaczył na trzy tygodnie od dnia dotarcia do Was tego listu, będzie to dokładnie dwudziestego piątego tego miesiąca. Nie piszecie dokładnie, ile będą kosztowały materiały budowlane na kaplicę, ale sporządziłam kosztorys według cenników obowiązujących w Anglii i wychodzi sto pięćdziesiąt funtów. Załączam czek na tę sumę i mam nadzieję, że pokryje to wszystkie koszty. Jeśli nie, obawiam się, że przez dłuższy czas nie będę mogła wysłać nic więcej."

Margaret uniosła wzrok znad listu. Biskup przyjeżdża za trzy tygodnie, a one nie mają wystarczająco dużo pieniędzy, aby zapłacić za materiały. Poszła poszukać Steva.

Siedział na zwalonym pniu, popijając coś z flaszki.

- Czy coś nie w porządku ? - zapytał. - Ściany się zawaliły?

- Nie - powiedziała. - Ale list od matki generalnej zawiera czek tylko na sto pięćdziesiąt funtów. Powinam pojechać do Newton i zamienić go na gotówkę, wtedy mogłabym zapłacić panu Ellisowi. Zastanawiam się, czy mógłby mnie pan zawieźć do niego ?

- Teraz?

- Tak, rozumie pan, muszę zapytać pana Ellisa, czy może poczekać na brakujące pięćdziesiąt funtów. Na razie nie będę mogła dostać więcej pieniędzy.

- No cóż - mruknął ze zrozumieniem. - Jedźmy więc - i poprowadził ją do jeepa.

Kiedy dojechali na miejsce, Margaret ze zgorzaniem przyglądała się obskurnemu barowi. Steve zaprowadził ją do Billa, by uregulowała z nim rachunki.

- Dziękuję - powiedział krótko mężczyzna, chowając pieniądze.

- Ale zostało jeszcze pięćdziesiąt funtów - niepewnie rozpoczęła Margaret, po czym zawahała się. Nie podobał się jej wygląd tego mężczyzny. Rozmowa z nim nie należała do przyjemności, mimo to powiedziała miłym tonem:

- Zastanawiam się, czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żeby poczekać na nie jakiś czas.?

- To zależy, jak długi będzie ten "jakiś czas" - odpowiedział sprytnie.

- Po prostu nie mam ich w tym momencie i nie wiem dokładnie, kiedy będę miała.

- Znam takie gadanie, droga pani. Mnie konkretnie interesuje, kiedy będą moje pieniądze.

- Niestety nie wiem.

- O - wydał usta pogardliwie. - Jesteście wszyscy z jednej beczki. Chcielibyście za darmo dostać gwiazdkę z nieba.

Margaret zaczerwieniła się, nie wiedząc, co powiedzieć, a Steve Grant przerwał:

- Trzymaj język za zębami.

- W porządku - Bill uśmiechnął się przebiegle. - Nie ma pieniędzy, nie ma towaru.

Margaret spojrzała na niego zaskoczona.

- Ale my już mamy materiały, panie Ellis.

Spojrzał na nią z błyskiem triumfu w oczach.

- Macie, ale nie wszystkie. Dopilnowałem tego. Macie ce-gły, kielnie, młotki, ale... - zaśmiał się - nie macie galwanizowanego żelaza na dach. Jak zapłacicie, to dostaniecie - zakończył.

- A teraz słuchaj, Ellis - przerwał mu Steve. - Wiesz dobrze, że matka przełożona zapłaci, choć twoje ceny są bardzo wysokie.

- Więc spróbuj dostać te materiały gdzie indziej - odparował. - To jest moje ostatnie słowo. Nie ma pieniędzy, nie ma dachu - i zaśmiał się rażąco głośno.

- Chodźmy stad - powiedziała do Steva i szybko ruszyli w stronę drzwi.

Gdy wracali, siedziała milcząco, aż w końcu Steve powiedział:

- Nie powinienem narażać cię na takie nieprzyjemności, siostrzo. Bill Ellis jest zwyczajnym chamem.

- Nie - zaproponowała. - Niech pan siebie nie oskarża. Nie powinnam była zamawiać tych materiałów, nie wiedząc, czy będę miała pieniądze, by za nie zapłacić. Ale to wydawało się... - przerwała.

- Miał pan rację - kontynuowała - mówiąc, że nie chcę być tutaj. Nie chciałam, ale budowa misji i szkoły wydawała się tak potrzebna i wartościowa. Wreszcie był jakiś cel.

- Cóż - próbował ją pocieszyć - ściany już stoją, a pewnego dnia będzie i dach.

Z wyjątkiem Steva, który był zajęty ścinaniem drzew, reszta misji czuła się jak w letargu. Zbyt długo pracowali ponad siły, w tym wyczerpującym klimacie, a teraz wszyscy osłabli. Upał był prawie nie do wytrzymania i pewnego dnia, kiedy siostry wróciły już ze szpitala do chaty, Nadine odezwała się do Charlesa:

- Szkoda, że kaplica sióstr nie może być skończona, tym bardziej, że biskup zapowiedział już swój przyjazd. Czy nie moglibyśmy czegoś zrobić ?

- Chętnie bym im pomógł, ale wszystkie pieniądze poszły na zakup pił. Wiesz o tym doskonale. Gdy sprzedamy drewno, będę miał trochę gotówki, ale to musi potrwać jakieś dwa miesiące.

- Bardzo mnie to martwi - wyznała smutno Nadine. - Wydaje się, że wszystko idzie nie tak. Żał mi matki przełożonej, tak ciężko pracowała. Będzie musiała opóźnić przyjazd biskupa, a byłaby to wielka uroczystość, na pewno bardzo by się podobała tubylcom.

Wyciągnęła się na krzesło i zapytała:

- Charles, a może mogłoby nie być dachu ?

- Nie mam pojęcia, czy są jakieś przepisy dotyczące konsekracji kaplicy bez dachu - odpowiedział Charles. - Ale wiem na pewno, że niedługo zacznie się pora deszczowa, która przyniesie straszne burze, a one z powodzeniem załamywałyby nie tylko biskupa.

Nadine wstała i przespacerowała się wolno dookoła werandy.

- Charles - powiedziała. - Nie brałam jeepa od kilku tygodni.

Czy mogę pożyczyć go, by zobaczyć się z Billem Ellisem ?

- Tak, jeśli Steve go nie potrzebuje. Ale jeśli sadzisz, że pomożesz siostrze wtrącając się do tej sprawy, to z góry uprzedzam cię, że się mylisz.

- Nie - wyjaśniła. - Chcę porozmawiać z Billem o moim ojcu.

- Chyba nie masz zamiaru odgrzebać tego wszystkiego. Chcesz znowu zacząć od początku ?

- Tak - powiedziała cicho.

- Miałem nadzieję, że zapomniałaś już o tym.

Stała przez chwilę milcząco.

- Po to przyjechałam do Afryki.

- Rozumiem - powiedział. - Postaraj się szybko wrócić, zbiera się na deszcz.

Gdy jechała do Newton, powietrze zrobiło się ciężkie i duszne tak, że trudno było nawet oddychać. Wokół samochodu wirowały tumany pyłu. Dojechała do głównej ulicy w Newton, jak zwykle opustoszałej, i zaparkowała przy barze Billa.

- Pewno chce pani jakiś nowych wiadomości?

- Tak - powiedziała i weszła za nim do małego pomieszczenia z tyłu baru. Nie lubiła tego pokoju, był niechlujny i brudny, wyglądał odrażająco z tym poplamionym stołem i połamanymi krzesłami. Pomyślała, że jeżeli Bill Ellis naprawdę zarabiał pieniądze, robiąc podejrzane interesy, to na pewno nie wydaje ich na dom. Podsunął jej jedno z niewielu całych krzesła i spytał:

- Na czym to skończyliśmy ?

Zajrzała do notatnika, który miała na kolanach.

- Mówił mi pan ostatnio, że mój ojciec wstępował do tego baru codziennie, nim rozpoczął obchód. Powiedział pan, że ludzie go lubili i szanowali.

- Tak. Co jeszcze chciałyby pani się dowiedzieć ?

- Gdzie mieszkał ?

- Gdzie mieszkał ? Hm... niech pomyślę, a tak, oczywiście, w tym dużym białym domu na River Street.

- A pamięta pan numer ?

- Numer, a...nie, nie pamiętam.

- Powiedział pan, że to duży dom. Czy mieszkał tam sam ?

- Och, nie wiem - odpowiedział niecierpliwie. - Nie znam wszystkich jego spraw.

- Ale mówił pan... - powstrzymała się. - Czy tam właśnie przeprowadzał swoje badania ?

- Tak, zgadza się.

- Jak często wyruszał do dżungli ?

- Dwa razy w tygodniu, przeważnie regularnie.

- Ale ostatnio twierdził pan, że tylko raz w tygodniu - spojrzała na niego zirytowana. - Zapisałam to.

Wzruszył ramionami.

- Dwa razy, czy raz w tygodniu, to bez znaczenia.

Odłożyła powoli swój notatnik.

- Pan po prostu w ogóle go nie znał, prawda ?

- Oczywiście, że znałem - chełpił się. - Niech mi pani nie wmawia takich rzeczy tylko dlatego, że nie pamiętam szczegółów. To było dawno temu.

- Tak - wstała zdecydowanie.

- A jeżeli już pani wychodzi, to poproszę jednego funta.

- To dużo - spojrzała na niego. - Ale proszę - odparła podając mu pieniądze.

Wsiadła do jeepa i pojechała na River Street. Stał tam tylko jeden duży, biały dom; podeszła i zadzwoniła. Otworzył Afrykanin ubrany w biały strój, zapewne jeden z podrzędnych urzędników pracujących w Newton.

- Dobry wieczór - przywitała się. - Powiedziano mi, że w tym domu mieszkał mój ojciec.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Pani ojciec ? Nie, na pewno tu nie mieszkał.

- Ale skąd pan wie ?

- Ponieważ tu była szkoła - zaśmiał się. - Kiedy zamknięto ją, ja tu zamieszkałem. Jestem w Newton prawie od urodzenia.

- W takim razie musiał pan znać mojego ojca - dopytywała się. - Nazywał się Phillips. Był lekarzem. Umarł osiem lat temu.

Mężczyzna przez chwilę zastanowił się.

- Nie, nigdy nie słyszałem o nim.

Nagły poryw wiatru zatrzasnął bramę i uniósł w powietrze papiery leżące na ulicy.

- Lepiej, żeby pani weszła do środka - powiedział mężczyzna, uchylając drzwi w zapraszającym geście.

- Nie - odparła. - Muszę już wracać. Ale to niemożliwe, żeby pan nie znał mojego ojca.

Mężczyzna wyglądał na zakłopotanego.

- Czy pani ojciec podał ten adres jako swój ?

- Nie. Korzystał z numeru pocztowego. Poczta!... - wykrzyknęła. - Oni będą wiedzieć, prawda ?

- Nie. - Wiatr był tak silny, że mężczyzna musiał krzyżeć, by mogła go usłyszeć. - Pracuję na poczcie, są tam tylko dokumenty z ostatnich siedmiu lat.

- Ale musiał przychodzić, by odebrać listy, które do niego przychodziły.

- Niekoniecznie. Mógł wysyłać po nie chłopca, jeśli mieszkał daleko stąd.

Serce jej zamarło, ale pytała dalej, przekrzykując wicher.

- A czy mógł mieszkać daleko stąd ?

- Ta poczta obejmuje obszar o promieniu dwustu mil.

- Rozumiem - powiedziała odchodząc. - Dziękuję bardzo.

Do widzenia.

Gdy biegła do jeepa, niebo przecięła błyskawica. Słyszała, że mężczyzna wołał za nią, coś mówił, ale jego słowa nikły w

podmuchach wiatru. Zagrzmiało, słońce było ledwie widoczne. Wskoczyła do otwartego jeepa i odjechała.

Bill Ellis - oszust! Oszust! - kołatało jej w głowie. Całe lata wysyłała pieniądze! Ale to nie wszystko. Przez cały ten czas żyła marzeniami, miała cel, odsunęła wszystko inne na bok... Została lekarzem, ponieważ chciała pracować z ojcem, ale on umarł, a ona chciała dowiedzieć się czegoś o nim, no i te badania ojca... Czy kiedykolwiek zrobiłaby to wszystko, gdyby nie żyła nadzieją, opłacona w funtach, szylingach i pensach. Czy ona tak naprawdę chciała być lekarzem? Czy kiedykolwiek współczuła ludziom, którzy cierpieli? Czowała się zagubiona i nie wiedziała już, po co właściwie tu przyjechała.

Zaczął padać deszcz. Nadine po paru minutach była cała przemoczona. Nie zrażała się tym, pomimo szalejącej wokół burzy jechała szybko. Wyboista droga tonęła w deszczu, stawało się coraz bardziej niebezpiecznie, a ona zamiast skupić całą uwagę na jeździe, myślała chaotycznie o matce, która wzbraniała jej wyjazdu do Afryki, do ojca, o ojcu, którego właściwie nigdy nie poznała.

Jechała w strugach deszczu, woda była wszędzie, tak że Nadine zaczęła zastanawiać się, czy w ogóle uda jej się dotrzeć do Waseke. Powoli ogarnęło ją uczucie strachu. Zrobiło się zupełnie ciemno i tylko co jakiś czas grzmiało, a błyskawica zygzakiem rozświetlała niebo.

- "Co robić? - myślała półprzytomna. - Chyba powinnam się zatrzymać. Nie, nie mogę, muszę jechać..."

Nagle pomyślała o zakonnicach. Jak mogła wcześniej na to nie wpasć. Jak miała na imię ta, która przeżyła tu całe lata? Takie dziwne, obce imię. Tak, siostra Jadwiga. Ona napewno będzie wiedziała coś o ojcu.

Nadine jechała dalej, ale nagle ogromny strumień wody rozprysnął się na przedniej szybie i po paru szarpnięciach silnik zgasł. Samochód stanął. A deszcz wciąż padał.

ROZDZIAŁ V

Nadine otaczała ciemność, przerywana od czasu do czasu błyskawicą. Wiatr trochę przycichł, jednak deszcz nieprzerwanie spływał z nieba strumieniami. Wokół szalały żywioły, dzikie i nieposkromione, a ona była wobec nich bezsilna i samotna.

Nie miała pojęcia, gdzie jest. Woda podnosiła się dookoła jeepa zamieniając drogę w rwący potok, który w każdej chwili mógł zatopić samochód. Trudno było jej uwierzyć, że gdy wyjeżdżała z Newton, zaledwie zaczynało kropić. To było nieprawdopodobne. Do tej pory tropik kojarzył się jej z dżunglą pełną kolorowych kwiatów i turkusowych motyli. Teraz doświadczała, że ta na pozór rajska kraina może być niebezpieczna i podstępna jak dziki zwierz.

Poczuła, że woda zalewa jej stopy i spojrzała bezradnie w ciemność. Przeraziło ją to, co zobaczyła. Zewsząd otoczona była wodą, której stale przybywało. Nie mogła biernie czekać. Desperacko pomyślała o opuszczeniu samochodu, lecz bała się dżungli, w której teraz zapanowała złowroga cisza, spotęgowana odgłosami padającego deszczu. Przypomniała sobie uwagi Charlesa, który usiłował przestrzec ją przed niebezpieczeństwami Afryki. Zrozumiała jego obawy, ale teraz było już za późno. Musiała walczyć o własne życie, zdana tylko na siebie.

Wyskoczyła z samochodu, zanurzając się w wodzie. Z trudem zaczęła posuwać się do przodu, a gdy po kilkunastu krokach odwróciła się - ujrzała tylko ciemność. Nadine zazwyczaj trudno było czymkolwiek przestraszyć, ale tym razem odczuwała paraliżujący strach. Z wysiłkiem zaczęła płynąć pod prąd, czekając, by światło błyskawic pozwoliło jej zobaczyć, w którym miejscu się znajduje. Gdy błysnęło, ujrzała wzbierającą wodę, która z impetem spychała ją na ostre kikuty drzew, wyłaniające się ponad powierzchnię wody.

Cudem dotarła do miejsca, gdzie mogła wyczuć grunt, ale w tym momencie staranował ją ogromny kłoc drewna, który, niewidoczny w ciemności, spływał z siłą pocisku. Półprzytomna z bólu i wyczerpania zobaczyła dwa zbliżające się światła. Resztkami sił zaczęła wymachiwać rękami, próbując jednocześnie przekrzyknąć szum potoku deszczu. Samochód zatrzymał się. Z dużego land rovera wyskoczył Charles, który w ostatniej chwili chwycił Nadine, ratując ją przed upadkiem. Wziął ją na ręce i bez słowa zaniósł do samochodu.

- Nic ci nie jest? - spytał krótko.

- Nie - odparła swoim zwykłym szorstkim tonem. - Jestem tylko trochę mokra.

- Jesteś wycieńczona - powiedział badając jej puls. - Masz, wypij.

Poczuła palący płyn, który szybko rozgrzał ją od środka. Nagle przytuliła się do niego.

- Charles - wyszeptwała. - Jak dobrze, że jesteś.

Trzymał ją w ramionach jak dziecko, tuląc jej twarz do swojej.

- O Boże, mogłaś się utopić, Nadine, kochana, kochana...

Wtuliła się w niego, zapominając natychmiast o niebezpieczeństwie.

- Jesteś cała przemoczona i zziębnięta - powiedział sadzając ją wygodnie na fotelu land rovera. Tu jest ręcznik i koc. Zdejmij mokre ubranie, wytrzyj się i rozgrzej trochę, a ja spróbuję zawrócić. Rób, co mówię, chyba, że chcesz dostać gorączki.

Drżąc z zimna posłusznie osuszyła się wielkim ręcznikiem i owinęła w gruby koc. Usadowiła się wygodnie, podczas gdy samochód podskakiwał na wybojach drogi, która prowadziła do wioski. Nadine przez czas powrotu z rozkoszą smakowała słowo "kochana", którym przed chwilą pieścił ją Charles.

Gdy dojechali do Waseke, ujrzeli przed szpitalem małe zgromadzenie. Margaret z siostrami, Steve, Amanda i Joe, wszyscy stali na werandzie. Charles pomógł jej wysiąść z samochodu, wtedy podbiegła Margaret mówiąc:

- Bogu dzięki. Jest pani już bezpieczna.

Później Nadine wzięła gorącą kąpiel, po której położyła się do łóżka. Przyszła troskliwa Margaret, by jeszcze raz sprawdzić, jak Nadine się czuje, a wkrótce po niej wszedł Charles.

- Już w porządku? - zapytał siadając na brzegu łóżka.

- Tak, teraz już dobrze - spojrzała na niego. - Dziękuję, Charles.

- Burza była tak gwałtowna, że zaniepokoiłiśmy się twoją nieobecnością. Wszyscy byli przekonani, że schroniłaś się w Newton, ale potem - spojrzał na nią wymownie - doszedłem do wniosku, że byłoby to do ciebie niepodobne.

- Nie przypuszczałam, że będzie taka powódź. Charles, to było straszne. Nic, tylko woda i ciemność. Byłam przerażona.

- Idź spać - powiedział. - Teraz już ci nic nie grozi.

Kiedy obudziła się nad ranem, złociste promienie słońca przeświecały przez żaluzje. Po burzy nie było ani śladu. Przeciągnęła się leniwie, a potem powoli wstała z łóżka.

Weszła do pokoju jadalnego, gdzie przy stole samotnie siedział Charles.

- Dzień dobry - przywitała go.

- Dzień dobry - spojrzał na nią. - Jak się czujesz?

- Dobrze.

- Na pewno? Wiesz, że tutaj nie warto nic ukrywać.

- Wiem, aleja naprawdę dobrze się czuję.

Usiadła i nalała sobie filiżankę kawy. Amanda przyniosła jej śniadanie pytając o samopoczucie.

- O Boże - powiedziała Amanda. - Baliśmy się, że pani zgubiła się w lesie, albo - jeszcze gorzej - utopiła.

- Na szczęście żyję - powiedziała Nadine i wstała.

Charles milczał.

- Gdzie jest Steve? - spytała.

- Już od świtu pracuje za trzech, ścinając drzewa.

- To dobrze - powiedziała.

Znowu zapadła cisza. Nadine bez apetytu jadła kaszę, a Charles patrzył w stronę okna.

- Czy dowiedziałas się czegoś nowego o ojcu? - zapytał.

- Nie - odparła krótko. - Miałaś rację co do Billa Ellisa. On przez cały czas po prostu zmyślał.

Charles wciąż milczał, więc mówiła dalej.

- Zamierzam porozmawiać z siostrą Jadwigą. Mieszkała tu przecież przez wiele lat, więc może ona będzie coś wiedziała.

Nadine z niepokojem spojrzała na Charlesa, który w ogóle nie reagował na to, co mówiła. Zjadła więc w ciszy gotowane jajko, zupełnie zbита z tropu, nie rozumiejąc dziwnego zachowania Charlesa. Wydawał się być taki sam, jak podczas spacerów do lasu, kiedy pięknie mówił o miłości, żeby za chwilę unikać jej, uciekając głęboko w siebie. Była ciekawa przyczyny. Z lekkim wahaniem zdecydowała się zapytać:

- Charles?

- Tak?

- Byłeś szczęśliwy, kiedy mnie uratowałeś, prawda? Czy rzeczywiście czułeś wszystko to, co mówiłeś, czy po prostu byłeś oszołomiony?

Nie odpowiedział, wstał tylko i podszedł do okna. Nadine ze zdenerwowania zaczyna skubać kromkę chleba, którą trzymała w dłoniach. Wtedy obrócił się.

- Tak, kocham cię - powiedział wolno. - Jednak żałuję tego wyznania.

- Dlaczego? - Jej głos nabrał nieprzyjemnego brzmienia.

Zmierzył nerwowo włosy i włożył ręce do kieszeni.

- Wiedziałem, że jakaś tajemnicza siła ciągnie mnie ku tobie. Uświadomiłem to sobie, gdy poszliśmy pierwszy raz na spacer do Ogrodu Słońca, pamiętasz?

- Tak - odpowiedziała miękko. - Pamiętam.

- Nie przywiązywałem do tego wagi. Jesteś śliczną dziewczyną, a mnie zawsze pociągały atrakcyjne kobiety. Gdy jednak zaczęliśmy ze sobą spędzać każdą wolną chwilę zrozumiałem, że mogłabyś znacznie więcej czuć do mnie, gdybym ci tylko na to pozwolił. Więc próbowałem nie dopuścić do tego. A było to - uwierz mi - bardzo trudne. Na szczęście pojawił się Steve Grant.

- I co dalej?

- Dalej? Myślę, że moglibyśmy zostać mężem i żoną, ale czy bylibyśmy szczęśliwi? Chyba nie... każde z nas należy do innego świata.

- Widzę, że dokładnie wszystko przeanalizowałaś - odparła z ironią.

- Nadine - powiedziała. - Po co tu przyjechałaś? Po to, żeby zebrać informacje o swoim ojcu, to wszystko. A co potem? Potem po prostu wrócisz do Anglii i szybko zapomnisz o Waseke.

- Pamiętaj jednak, że przyjechałam tu z powodu ojca, przede wszystkim dla niego.

- Wiem, jako dziecko chciałaś stworzyć dla niego dom, ale uświadom sobie wreszcie, że ty już nie jesteś dzieckiem, że twój ojciec dawno zmarł, poza tym nie masz żadnej pewności, że on w ogóle potrzebował domu. To raczej ty potrzebujesz domu. To zrozumiałaś - wzruszył ramionami. - Nie miałaś domu, więc go pragnęłaś. Dlaczego tak jest, gdzie tkwi błąd, nie wiem. Ale jest to zupełnie naturalne, że przyjechałaś tu nie tyle dla swojego ojca, w poszukiwaniu śladów jego życia, ile wyłącznie dla samej siebie, z powodu instynktownej potrzeby odnalezienia domu.

Przerwała mu gwałtownie.

- Tak, tak, to prawda, ale co to ma wspólnego z nami?

- Bardzo dużo. Jak sama powiedziałaś, powodem, dla którego przyjechałaś do Afryki, było zebranie informacji o życiu twój ojca. Kiedy wreszcie zakończysz swoje poszukiwania, kontynuowanie pobytu w Waseke - z twojego punktu widzenia - nie będzie miało sensu. Śmiem twierdzić, że tak naprawdę to miejsce jest dla ciebie odrażające. Przypuszczam nawet, że gdyby twój ojciec żył, a ty odnalazłabyś go, zachowałybyś się identycznie jak twoja matka.

Milczała przez dłuższy czas.

- I co? - odezwała się w końcu.

- Czy naprawdę chcesz tu mieszkać? Czy rzeczywiście to jest to, czego oczekujesz od życia? Czy masz w sobie pragnienie poświęcenia, wszystkiego, co - jako lekarz - niewątpliwie

mogłabyś osiągnąć w Anglii? To dla kobiety zawsze jest trudniejsze, Nadine. Kiedyś zapragniesz mieć dzieci. Gdy dorosną, trzeba będzie wysłać je do szkoły daleko stąd. Będziesz tęskniła za nimi. Wierz mi, praca tutaj z pewnością nie ziszczy twojego marzenia o domu.

Podszedł do niej i położył ręce na jej ramionach.

- Kobiety zawsze chcą mieć dom - powiedział. - A ty tego pragniesz bardziej niż inne, ponieważ nigdy go nie miałaś. Ostatecznie ja mógłbym stąd wyjechać. Ale nie chcę, bo tutaj jest moje życie. Kiedy przyjechałaś do Waseke, szczerze mówiąc, pomyślałem, że jesteś ostatnim typem kobiety, który nadawałby się do życia w dżungli. I dalej tak myślę.

Spojrzała na swoje dłonie pełne okruchów chleba. Wiedziała, że było wiele prawdy w tym, co powiedział.

- Do czego zmierzasz, Charles? - spytała.

- Sugeruję, byśmy skończyli tę zabawę w miłość, zanim oboje zrobimy sobie krzywdę. Teraz jeszcze żadne z nas nie będzie rozpaczać. Poza tym, jeśli nie zawrócimy z tej drogi, możemy zranić wielu ludzi, choćby nasze dzieci. Historia lubi się powtarzać.

Szybko zaczerpnęła powietrza.

- To jest najbardziej logiczny romans, o jakim kiedykolwiek słyszałam - skomentowała cynicznie.

- Nieprawda - powiedział łagodnie. - Znam cię już, Nadine, znam ten cyniczny ton, którym zawsze mówisz, gdy próbujesz ukryć coś, co cię dotknęło. Nigdy byś nie pozwoliła na to, by ktoś zobaczył, że jesteś zraniona, nieprawdaż?

- Wiesz o mnie o wiele za dużo - powiedziała sucho. - Marnujesz się tutaj, powinieneś zająć się psychologią. Co więc proponujesz?

- Sugeruję, żebyś wróciła do Anglii.

Poczuła się, jakby ją spoliczkował.

- Wyrzucasz mnie? - spytała.

- Oczywiście, że nie. Możesz sama zrezygnować. Sam sobie dam radę. Poza tym, są tu teraz zakonnice.

- Rozumiem - powiedziała wstając. - No cóż, widzę, że one już idą, zbliża się czas przyjęć.

Gdy zajmowali się pacjentami, Nadine obserwowała zakonnice. Zazwyczaj rozkrzyczana i hałaśliwa siostra Teresa, teraz opanowana i łagodna, zajmowała się dziećmi. Stara zakonnica Jadwiga z czułością opatrywała okaleczone na twarzy dziecko. A Margaret? Nadine widziała jej twarz, gdy spoglądała za Reą. Nietrudno było odgadnąć, jak bardzo kocha to dziecko.

Nadine zajęła się kobietami, które ustawiły się przed nią w kolejce i słuchała historii chorób, które były spowodowane przez zwykłe zaniedbania. Nie czuła nic oprócz cierpliwości w stosunku do tych ludzi. Więc nie była lekarzem z powołania. Nie było w niej poświęcenia i oddania. Pocieszała się, że lekarz nie może i nie powinien zbyt się angażować. Nie mogłaby współcierpieć z każdym chorym, z którym się zetknęła. Myślała, że nigdy z nikim tak naprawdę nie była związana. Czy kocha Charlesa? Nawet jeśli jeszcze nie, to była o krok od tego. Pamiętała, jak mocno biło jej serce, gdy ją pocałował, pamiętała ostatnią noc, gdy trzymał ją w ramionach i było jej tak dobrze. Chciała, by tak było zawsze. Tak łatwo byłoby pokochać, tak wspaniale - na początku...

Czy chciałyby mieć dzieci, gdy wyszłyby za niego? Tak. Trzeba byłoby się rozstać z nimi, wysłać je do Anglii, ponieważ tutejszy klimat jest zbyt uciążliwy dla białych. Przyjęcia skończyły się i Nadine chodziła bez celu dookoła wioski, przyglądając się tubylcom, pracującym przy ścinaniu drzew. Wycięli ich sporo, oczyszczony był już duży kawał ziemi.

Pomyślała: "O ironio losu. Czyżbym miała dokonać wyboru tak, jak moja matka". Wiedziała już, że jej dziecięce marzenia o ojcu skończyły się. Wszystko, co o nim chciała wiedzieć, to to, gdzie i jak żył, musiała też zadać sobie pytanie, czy rzeczywiście chciałyby wtedy z nim być. Podeszła do chaty sióstr i zapukała do otwartych drzwi.

- Proszę - odezwała się Margaret.

Weszła. Margaret siedziała w oddzielonej zasłoną części chaty, którą żartobliwie nazywała biurem. Na stole leżały jakieś notatki, ale Margaret nic nie pisała. Twarz siostry była bardzo blada, co zaniepokoiło Nadine.

- Dobrze się czujesz, matko przełożona?

- Zupełnie nieźle, doktor Phillips - odparła z uśmiechem.

- Nie wyglądasz najlepiej - odparła Nadine przyglądając się jej badawczo.

- Może tylko ta budowa nadwyreżyła trochę moje siły. Było tak gorąco - tłumaczyła się. - Ale co z pani wczorajszą przygodą? Nie miałam nawet czasu zapytać o to dziś rano.

- Czuję się już dobrze - odpowiedziała. - Ale nie tak szybko znowu wybiorę się do Newton. Odkryłam, że człowiek, który miał mi opowiedzieć o moim ojcu, był zwykłym oszustem.

- Przykro mi z tego powodu - w głosie Margaret brzmiał lekki niepokój. - Ale przecież po to pani tu przyjechała, prawda?

- Prawdę mówiąc, teraz to już sama nie wiem, po co. Czuję się, jakby świat, który sobie stworzyłam, walił się w gruzy.

Margaret uśmiechnęła się, tylko jej oczy pozostawały smutne.

- O to tutaj nietrudno.

- Właściwie to przysłam po to, by zobaczyć się z siostrą Jadwigą - mówiła. - Myślałam, że może ona coś wie o moim ojcu, mieszkała tu przecież długie lata.

- Oczywiście. Pójdę po nią.

- Nie trzeba, byś wychodziła - zaprotestowała Nadine, gdy Margaret stanęła w drzwiach ze starą zakonnica i chciała odejść. - To nie jest żadna tajemnica. Ja chciałam zapytać tylko, siostró Jadwigo, czy wiedziałaś lub słyszałaś coś o moim ojcu?

Siostra Jadwiga pokręciła głową.

- Przykro mi, ale nie - odparła. - Przed laty nie było tu szpitala, tylko mała misja. Mieliśmy lekarstwa i opiekowaliśmy się ludźmi, gdy zachorowali, a jeżeli potrzebny był lekarz, to jechaliśmy do Newton po doktora Jonesa. Był tam przez

kilka lat, ale o ile pamięć mnie nie myli, to poprzedni lekarz nie był Anglikiem.

- To tak, jakby szukać igły w stogu siana - powiedziała Nadine. - Ale to moja wina. Nie wzięłam pod uwagę, jak wielki jest ten kontynent i tego, że ojciec niekoniecznie mieszkał w Newton. Chociaż, prawdę mówiąc, to Bill Ellis pisząc do mnie zapewniał, że tak było.

- Jak można było zrobić coś takiego? - spytała Margaret oburzona.

- Niestety dla pieniędzy - odparła.

- Słyszałam o białym lekarzu, który pracował w głębi dżungli - przypomniała sobie siostra Jadwiga. - Jak się nazywał, nie pamiętam, a poza tym były to tylko pogłoski.

- Może siostra pamięta, gdzie mieszkał?

- Wydaje mi się, że wędrował po dżungli lecząc tubylców i nigdzie się na dłużej nie zatrzymywał. Czasami tylko na jakiś czas osiadał w wiosce murzyńskiej, a potem wyruszał dalej.

- Rozumiem - powiedziała zamyślona Nadine. - I bardzo dziękuję.

Zakonnica wróciła do swojej części chaty, a Nadine siedziała jeszcze przez moment bez ruchu. Czy to był jej ojciec? Czy zdecydowałyby się, żeby całe życie przedzierać się z nim przez dżunglę? Co to był za dom? Ale czy to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie? Nawet dla niej samej?

Te myśli zaskoczyły ją, a nawet przeraziły. Spojrzała przed siebie.

- Matko przełożona - przeraził ją jej wygląd. - Jesteś chora.

- Nie, nie, to tylko chwilowa słabość, to przejdzie.

- Przyniosę coś do picia.

Nadine poszła do małej kuchni i przyniosła szklanek wody. Jako lekarz spojrzała na bladą, napiętą na skroniach skórę, na białe dłonie z niebieskimi żyłami. Biały habit opadał zbyt luźno, nawet jak na szatę zakonną.

- Matko przełożona, powinnaś pójść do sali operacyjnej.

- Zapewniam cię, że to nic takiego - upierała się Margaret.

f

- W takim razie - powiedziała Nadine spokojnie - powiem Charlesowi, a on z pewnością odeśle matkę do Anglii. Jest świetny, jeżeli chodzi o takie sprawy - powiedziała ironicznie.

- Pani mnie szantażuje, doktor Phillips.

- Tak. Dam ci, matko, trochę środka na wzmocnienie. Chcę zobaczyć, czy masz kaszel.

- Nie - uśmiechnęła się Margaret. - Nie mam gruźlicy, ale przyjdę dziś wieczorem, jeśli tego sobie pani życzy.

- Tak, życzę sobie - powiedziała stanowczo Nadine. - Żądam tego. Będę czekała na ciebie, matko, w sali operacyjnej.

Wyszła idąc wolno w stronę szpitala. Charles opuszczał właśnie izolatkę.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał odruchowo. - Chyba będę musiał operować tego mężczyznę z wrzodem żołądka, z ostatniego łóżka. Nie wiem, czy w ogóle przeżyje.

- Ale on chorował tylko dwa dni. Choroba tutaj szybko się rozwija - odkryła nagle. - Jak dżungla - dopowiedziała cicho.

- Tak - odparł. - Czy dowiedziałas się czegoś więcej o swoim ojcu?

- Nie, siostra Jadwiga nie wie nic oprócz niejasnej historii o lekarzu wędrującym po dżungli.

- Więc - spojrzał na nią - co zamierzasz zrobić?

Wzruszyła ramionami.

- A co mogę zrobić w takiej sytuacji?

Wziął butelkę zawierającą jakieś lekarstwo i podniósł ją do światła.

- Nie pomyślałaś o jedynym człowieku, który może ci o nim opowiedzieć?

- Kto to jest?

- Twoja matka.

Milczała przez długi czas, a on przyglądał się zawartości butelki, jakby była to najważniejsza rzecz na świecie.

- Już chyba przestało mnie to interesować, czas z tym skończyć - powiedziała.

- Boisz się?

- Nie bądź śmieszny. Przecież zawsze powtarzałeś mi, że-
bym to zostawiła w spokoju.

- Słuchanie opowieści Billa Ellisa nie miało sensu, ale twoja
matka... Powinnaś ja zapytać, dowiedzieć się, dlaczego tak
bardzo nie chciała, żebyś tu przyjechała. Wydaje mi się, że dla
własnego spokoju musisz poznać prawdę.

- Nie - powiedziała ostro. - Od lat nie rozmawiamy ze sobą.
Nie lubię jej i jestem pewna, że ona mnie też.

- Zmień ostatnie zdanie: Ja jej nie lubię, ponieważ myślę, że
ona mnie też - poprawił ją. Charles. - Wciąż myślę, że po prostu
się boisz.

- Czego się boję?

- Prawdy - stwierdził rzeczowo.

Podeszła do drzwi.

- Nie wiem, dlaczego mogłam cię lubić - powiedziała gniew-
nie. - Dobrze, napiszę do matki. I tego samego dnia wyślę
rezygnację.

Poszła do swojego pokoju, z impetem zatrzaskując za sobą
drzwi.

Steve Grant szedł w stronę budynku szpitalnego, mijając po
drodze chatę sióstr. Przechodził tędy co wieczór. Był to właś-
nie czas odpoczynku i siostra Mary akurat zajmowała się
kwiatami.

- Dobry wieczór - powitała ją. - Jak, siostró, twój ogród?

- Niezbyt dobrze - trochę zmartwiona spojrzała na kwiaty,
które nabrały nienaturalnych rozmiarów, zaś inne były poła-
mane po wczorajszej burzy.

- Niektóre gatunki angielskich kwiatów nie przyjmują się w
tym klimacie - spojrzał na nadchodzącą Margaret.

- Dobry wieczór, panie Grant - powitała go.

- Dobry wieczór. Są jakieś nowe wiadomości w związku z
kaplicą? - zapytał.

Potrząsnęła głową.

- A co mogłoby być nowego?

- Z pewnością - powiedział - ktoś w waszym konwencie mógłby zdobyć dla was pieniądze, przecież są wam bardzo potrzebne.

- To nie jest takie proste. Każdy okręg otrzymuje określoną sumę pieniędzy. My już dostaliśmy naszą część. Gdybyśmy dostali więcej, to zabralibyśmy innym.

Siostra Mary spojrzała znad kwiatów.

- Jestem pewna - powiedziała - że zdobędziemy skądś te pieniądze.

- Ja też mam taką nadzieję - zgodziła się z nią Margaret.

- Proszę wybaczyć - zwróciła się do Steve'a - ale muszę iść do szpitala.

- Ja też tam idę - odparł Steve i poszli razem.

- Wiara tego dziecka jest naprawdę zaskakująca - powiedział rozbawiony. - Były jeszcze jakieś kłopoty z uzdrowieniami?

- Komentarze na ten temat skończyły się, gdy tubylcy zobaczyli siostrę Mary pracującą na budowie. Ale jeszcze czasami patrzą na nią trochę dziwnie - odparła.

- Dlaczego tak szybko chcesz skończyć tę budowę? - zapytał, gdy mijali kaplicę nie pokrytą jeszcze dachem. - Czy już napisałaś siostrę, by biskup nie przyjeżdżał?

- Jeszcze nie - odparła Margaret. - Wiem, że powinnam... - urwała.

- A gdzie jest twoja wiara? - spytał ją. - Czy nie powinnaś wierzyć, że dach będzie, choćby w ostatnim momencie?

- Niech pan ze mnie nie kpi - powiedziała zbита z tropu. - Martwi mnie, że straciłam na tej budowie tyle pieniędzy i nie wiadomo, czy nie na darmo. Muszę napisać do matki generalnej, żeby odwołała wizytę biskupa.

Zauważył łyzy w jej oczach.

- Za bardzo się tym przejmujesz, siostrę - powiedział.

- Możliwe, ale ta kaplica dużo dla mnie znaczy.

- Dziwi mnie, dlaczego? - nie patrzył na nią, ale gdzieś przed siebie.

- Nie sądzę, że pan to zrozumie, panie Grant. Jest to coś w rodzaju światła w ciemności.

- Jak mam to rozumieć? - spytał ciągle zapatrzony przed siebie. - Kiedy tu przyjechałaś, byłaś pełna buntu. Myśl o budowie kaplicy i szkoły odsunęła ten bunt, dała ci co? - Wiarę? Nadzieję?

Patrzyła w dół milcząc, a on mówił dalej:

- Nie rezygnuj tak szybko, siostrzo. Zaczekaj z napisaniem tego listu do ostatniej chwili.

- Ale musimy przecież myśleć realnie - argumentowała.

- W najgorszym wypadku tubylcy mogą zrobić dach z liści. Zatrzymali się na stopniach schodów szpitalnych.

- Zastanawiałam się nad taką ewentualnością, chciałam nawet zapytać o to, ale i tak zrobił pan już tyle dla nas, że...

- Nigdy nie trzeba obawiać się pytać. Jeśli tylko mógłbym pomóc to... - przerwał nagle zakłopotany i speszony. - Dobranoc - pożegnał się. - Muszę jeszcze zobaczyć się z Charlesem.

Wszedł do małego pokoju, gdzie siedział przy stole Charles.

- Przeszkadzam? - zapytał Steve.

Charles spojrzał na niego.

- O, witaj, Steve. Jak idzie praca? Nie mogłem dzisiaj przyjść, myślałem, zastanawiałem się... - szukał słowa.

- Jakieś poważne decyzje, co? - domyślał się Steve.

- Trudne - odparł Charles. - Czasami chciałbym wyruszyć z tobą.

- Ze mną? Dokąd?

- Przed siebie. Na przykład do Kairu.

- A, tak - spojrzał w bok. - Dobrze nam idzie ścinanie. - Nagle zmienił temat. - Powinieneś zobaczyć, ile już zrobiliśmy.

Przenieśli się na werandę.

- To był dla mnie szczęśliwy dzień, kiedy tu przyszedłeś - powiedział Charles.

- Ścieliśmy już pierwszą partię drzew. Chciałbym je jak najszybciej sprzedać. Jestem w kontakcie z pewną firmą, kupią wszystko, co mamy.

- W porządku - zgodził się Charles. - Szybko działasz.

- Proponują cenę, która wydaje się do przyjęcia. Więc chciałybym już sprzedać drzewo, które ścięliśmy do tej pory.
- Sądzisz, że to będzie korzystne wysłać po trochu, co jakiś czas?
- To nie jest trochę, Charles, tego jest sporo. Chcę się tego pozbyć. Liczę na kolej, nie chciałybym być zależny od Billa Ellisa.
- Masz rację - przyznał Charles. - Też bym mu nie ufał.
- Ale i tak będę musiał skorzystać z jego ciężarówek, żeby zawieźć drzewo na stację. Czy zatem będę miał twoje pozwolenie?
- Oczywiście. Rób to, co uważasz za słuszne.
- Dziękuję, Charles. I jeszcze jedno - Steve zawahał się i wyciągnął kartki z kieszeni. - Obliczyłem z grubszą, ile dostaniemy za te drzewa, minus wydatki, i podzieliłem to przez ilość pracujących tubylców.
- I siebie - dodał Charles. .
- Moja działka wynosi około sześćdziesięciu funtów. Zastanawiam się, Charles, czy mógłbym wziąć moją część zaraz, gdy sprzedam drzewo?
- Ile dostaniesz za tę partię drzewa?
- Wystarczająco.
- Ale nie dla wszystkich?
- Nie.
- Charles zawahał się. Ufał Stevowi, ale...
- Nie przypuszczałem, że będziesz chciał pieniądze już teraz, przed rozpoczęciem wędrówki. Czyż nie to było twoim zamierzeniem?
- Chcę być przygotowany.
- W porządku - widać było, że Charles jest niezadowolony.
- Skoro chcesz.
- Nie ma obawy - powiedział Steve. - Nie należę do ludzi, którzy biorą pieniądze i zostawiają nie skończoną pracę.
- Mam nadzieję - skrzywił się Charles i poszedł z powrotem do pokoju.

Nadine wyszła właśnie z laboratorium, by udać się do sali operacyjnej, gdzie czekała na nią Margaret.

- Dobrze - powiedziała. - Zrobiłam kilka testów i badań, wygląda na to, że nie masz żadnej poważnej choroby, matko.

- Wydaje się pani tym trochę rozczarowana - odparła Margaret z lekkim uśmiechem.

Nadine usiadła.

- Matko przełożona, źle powiedziałam, nie masz żadnej choroby na razie...

Margaret spieszyła się i nic nie odparła.

- Bardzo schudłaś, jesteś wyczerpana i osłabiona, co oznacza, że twoja odporność na choroby jest bardzo mała. Twój organizm nie będzie się miał jak bronić - Nadine tłumaczyła dalej. - Krótko mówiąc, matko, powinnaś jechać do domu.

- Nie mogę - odparła Margaret zduszonym głosem.

- Dlaczego nie?

- Bo jestem tutaj potrzebna przy budowie misji. Niedługo otwieramy szkołę, a poza tym jestem przełożoną siostr.

- Któraś z siostr może cię zastąpić.

- Siostra Anna. Ona się do tego nadaje, ale jest za młoda, by wszystkim się zająć.

- O, wydaje mi się, że to wszystko nie jest takie trudne.

- Wręcz przeciwnie - odparła Margaret tym samym zduszonym głosem. - Siostra Teresa nie przepada za siostrą Mary, siostra Dolores nie robi niczego, co mogłoby zniszczyć jej piękne, białe dłonie. Wszystkie te, zdawać by się mogło, drobiazgi, które gdzie indziej, w większej wspólnotcie, w ogóle nie miałyby znaczenia, tutaj...

- To nie jest usprawiedliwienie - przerwała ostro Nadine.

- Ma pani chyba rację. Wydaje mi się, że jestem niezastąpiona. To była zawsze moja wada.

- Och, matko przełożona, jesteś ostatnią osobą, którą podejrzewałabym o coś takiego.

- Jestem tylko człowiekiem - odparła Margaret. - Ludzie często myślą, że skoro zakonnica nosi habit, to już jest święta. Ale tak nie jest, to nieprawda.

Nadine była zaskoczona, przypomniała sobie, jak przekonywała Charlesa, że zakonnice nie mają problemów.

- Ale tu chodzi o twoje zdrowie, zastanów się, matko - przekonywała ją dalej. - Chyba zdajesz sobie sprawę, jak łatwo teraz możesz zachorować. Wiesz, ilu ludzi ma tutaj gruźlicę? To jest zaraźliwe. Jeśli zachorujesz, to oznacza powrót do domu. Natychmiast. Gruźlica rozwija się w tropiku błyskawicznie.

- Wiem - powiedziała Margaret. - Ale muszę zostać jeszcze trochę. Nie mogę wyjechać, gdy wszystko jest niedokończone. Muszę doprowadzić sprawę do końca.

- Masz na myśli budowę kaplicy, tak?

- Tak. Zaczęłam budowę nie wiedząc, czy będę miała wystarczająco dużo pieniędzy. A teraz... - jej głos załamał się.

- To sprawka tego Ellisa. Z przyjemnością, skrzyłabym mu kark - uniosła się Nadine. - Dlaczego uniemożliwia wam położenie dachu? - chodziła tam i z powrotem. - Podziwiam cię, matko, jesteś taka zaangażowana w to, co robisz. Chyba bardzo chciałaś tu przyjechać?

Margaret nie odpowiadała przez chwilę.

- Proszę, niech pani nie robi ze mnie lepszej, niż jestem - powiedziała łagodnym głosem. - Wcale nie chciałam tu przyjechać, musiałam się przemóc.

Oczy Nadine zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Więc dlaczego, do licha, nie chcesz wracać?

- Nie mogę. Jeszcze nie teraz. Może za parę miesięcy.

- Jako lekarz - powiedziała Nadine - stwierdzam, że twoje wyczerpanie, matko, jest spowodowane przez wewnętrzny konflikt - spojrzała na Margaret uważnie. - I myślę, że jeżeli tylko potrafisz, powinnaś spróbować go rozwiązać. Wiesz, do czego może doprowadzić pielęgnowanie w sobie tego oporu, wystarczy jeden niewinny zarazek i...

- Wiem.

Spojrzała znacząco na siebie. Nadine odezwała się:

- Dobrze. Musisz obiecać, matko, że będziesz odpoczywała tyle, ile to będzie możliwe. Dlaczego nie zrezygnujesz z porannych przyjęć pacjentów? Mogę zrobić twoją część.

- To naprawdę bardzo miło z pani strony.

Nadine zaśmiała się krótko.

- Tak, rzeczywiście, sama jestem tym zaskoczona. Ale jesteśmy chyba przyjaciółmi. Kiedy Charles przywiózł mnie tu ostatniej nocy i ty matko cały czas czekałaś, to było jak... - przerwała nagle zmieszana, ale po chwili dopowiedziała: - W każdym razie może nie będę już miała okazji zrobić takiego gestu, niedługo chyba wrócę do Anglii.

- Przykro mi to słyszeć.

- Jestem zmuszona, naprawdę muszę. Widzisz... - przerwała i nagle jej zimny lekarski ton gdzieś znikł, przestała się kontrolować - właściwie to nie wiem, co powinnam zrobić.

- Czy to nie pomogłoby, gdyby powiedziała mi pani?

Nadine usiadła zrezygnowana.

- Tak, chyba by pomogło. Wiesz przecież matko, jak doradzić swoim siostrze, prawda? Charles i ja, jesteśmy chyba zakochani w sobie - opowiedziała jej całą historię. - Może i ma rację - kończyła. - Ale po prostu nie wiem.

Margaret myślała przez chwilę.

- Doktor Martin miał rację mówiąc, że się nie zmieni - powiedziała. - Ale pani - kiedy wróci do Anglii, czy nie będzie kiedyś żałowała, że pozwoliła, by jej życie było bez miłości?

- To jest to, nad czym cały czas myślę - powiedziała Nadine, trochę zaskoczona wyczuciem Margaret. - Co byś zrobiła, matko, na moim miejscu?

Natychmiast poczuła niestosowność tego pytania. Zakonnice przecież się nie zakochują. Ale Margaret odpowiedziała łagodnym głosem.

- Na pani miejscu zostałabym z mężczyzną, którego kocham.

ROZDZIAŁ VI

Następnego ranka Nadine wstała bardzo wcześnie. Usiadła przy biurku, by napisać list do matki. "Na pewno zdziwi Cię to, że jestem w Afryce." - Zastanawiała się, co napisać dalej.

Jak miała pisać do matki, której nie widziała całe lata ?

Do kobiety, której ostatnie słowa brzmiały: "Nie chcę, żebyś jechała do Afryki". Czy ona w ogóle będzie chciała odpisać?

Spróbowała jeszcze raz: "Przyjechałam tu, ponieważ chciałam się dowiedzieć, jak żył mój ojciec" - znowu przerwała i długo myślała. W końcu odłożyła pióro i poszła na śniadanie.

Charlesa nie było jeszcze, usiadła przy stole i przyglądała się promieniom słońca prześwitującym przez żaluzje, zastanawiając się, co powinna powiedzieć Charlesowi odnośnie Margaret.

Matka przełożona prosiła ją, by nie mówiła Charlesowi o stanie jej zdrowia i to martwiło Nadine. Czy miała rację, biorąc na siebie taką odpowiedzialność ? Charles tu rzędził i dał jej to wyraźnie do zrozumienia, więc jeśliby coś się stało, byłby wściekły.

Nadine polubiła Margaret. Wycucie i zrozumienie matki przełożonej uczyniły ją bliższą. Przedtem Nadine widziała w niej tylko opanowaną zakonnicę. Teraz ze współczuciem patrzyła w jej zmartwione oczy, na dnie których czaiła się jakaś burza.

"Wszystko jest takie dziwne"- pomyślała jak dziecko, które pierwszy raz widzi w swojej matce człowieka, gdy znika obraz wdzięcznej i wszystkowiedzącej rodzicielki. Nagle zdała sobie sprawę, że od dzieciństwa nie widziała swojej matki, która przecież, tak jak każdy człowiek, mogła mieć swoje problemy i troski.

Wydawało się jej, że wszyscy mieli swoje małe kłopoty, które chcieli rozwiązać, może oprócz Charlesa.

Czy Charles ją kochał ? Powinien pozwolić jej zdecydować o swoim życiu. Jeżeli mężczyzna kocha kobietę, to chce, by z nim została.

Podniosła wzrok, gdy wchodził. Chłodno ją przywitał. Słuchał uważnie, kiedy wyjaśniała mu, że Margaret na razie nie będzie przyjmowała pacjentów, a potem zapytał:

- Dlaczego ?

- Ona...ona ma bardzo dużo pracy z przygotowaniem szkoły i wiele innych spraw na głowie - bez przekonania powiedziała Nadine.

- Dziwne, że nic o tym nie wiem.

- Nie musisz się martwić, obiecałam, że ją wyręczę.

- Zrobisz to ? Naprawdę ? To nieoczekiwane poświęcenie z twojej strony.

Nadine zacisnęła zęby, by nie wybuchnąć. Wiedziała, że jej tłumaczenie było trochę niezgrabne, ale zraniła ją jego złośliwość. Spytała szczerze:

- Co masz przeciwko mnie, Charles? Dlaczego tak chętnie pozbyłbyś się mnie ?

- Już ci mówiłem - powiedział zmęczonym głosem. - Nie sądzę, żebyś tu pasowała. Jeżeli już pytasz, wydaje mi się, że jesteś egoistką, dlatego nie mogę zrozumieć twojego nagłego poświęcenia dla matki przełożonej. Tak po prostu chcesz za nią pracować? To do ciebie niepodobne, Nadine. A może chcesz stać się tu niezbędną?

Zdenerwowana rzuciła serwetkę.

- Dlaczego myślisz, że tak bardzo chcę z tobą zostać? Jesteś bardzo zarozumiała, a o to nigdy bym cię nie podejrzewała.

Uniósł brwi.

- Czy wysłałaś już rezygnację i napisałaś do matki?

- Jeszcze nie.

- W takim razie radzę ci, byś zrobiła to natychmiast. Jeśli zadeklarowałaś się pracować w klinice za Margaret, dopilnuj tego. - Opuuszczając pokój uśmiechnął się.

Usiadła z powrotem przy biurku, myśląc smutno o swojej szczerości, która nie dała dobrych rezultatów. Z nagłym przy-

plywem energii zajęła się znowu listem: "Droga Matko. Na pewno zdziwi Cię to, że jestem w Afryce. Jestem tutaj i piszę książkę o moim ojcu. Chciałabym się dowiedzieć wszystkiego o jego życiu, mam nadzieję, że mi w tym pomożesz".

Przeczytała całość. List wyglądał tak, jakby był pisany do kogoś obcego. Ale czy matka była dla niej kimś bliskim?

Nagle z pamięci wyłonił się obraz wysokiej, pięknej kobiety. Nie po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy jej niezwykła uroda nie była jedną z przyczyn, dla której matka nie chciała opuścić Europy?

Uzupełniła list. "Jest to dla mnie bardzo ważne, koniecznie chcę się tego dowiedzieć".

Wyjęła drugą kartkę papieru i napisała rezygnację. "To wszystko" - pomyślała, zaklejając oba listy.

Poszła do kliniki, wiedząc o tym, że dzisiaj musi być bardzo dobra.

Praca była ciężka. Tutejszy klimat - codzienne opady, upał i wilgoć były trudne do zniesienia. Mimo dużego doświadczenia pod koniec przyjęć była już wyczerpana.

Minał tydzień morderczej pracy. Nadine z ulgą przyjmowała ostatniego pacjenta, gdy zobaczyła pospiesznie biegnącą w jej kierunku Margaret.

- Doktor Phillips! - wołała - mam wspaniałe wiadomości. Pan Ellis przysłał materiał na dach. Chcę do niego zadzwonić i podziękować mu.

- Przysłał? Przecież nie dostał pieniędzy! - zdziwiła się Nadine.

- Tak, proszę spojrzeć, tu stoi ciężarówka.

Zobaczyła samochód pełen galwanizowanego żelaza, który stał za budynkiem misji.

- Wejźmy do środka, matko - powiedziała Nadine i obie weszły do szpitala, gdzie Charles z siostrami zdumieni stali przy oknie.

Margaret podeszła do telefonu i wykręciła numer baru Billa.

- Ta linia nie jest najlepsza. Przy takiej pogodzie trudno jest cokolwiek usłyszeć - powiedział Charles.

- Hallo ? Czy pan Ellis? Chciałam panu serdecznie podziękować za dach. To bardzo miło z pana strony... - przerwała oszołomiona i zaczerwieniona z przejęcia. - Tak? Czy potrzebuje pan jakiś dokument, rachunek, czy coś w tym rodzaju ? Nie? Nic nie słyszę.

- Tak, oczywiście, poświadczenie odbioru towaru ? Och, przerwało.

- Co się stało? - spytał Charles.

- Pan Ellis wydaje się być bardzo dziwnym człowiekiem. Może należy do ludzi, którzy nie lubią, by im dziękowano. Przerwał mi i powiedział: "W porządku, przecież macie już swój dach". Nie wszystko mogłam usłyszeć, nie mogłam dowiedzieć się też, o co mu chodzi z tym poświadczeniem.

Charles skrzywił się.

- On pracuje bez zapisywania czegokolwiek - wyjaśnił. - Muszę przyznać, że jestem zaskoczony jego hojnością. Uwważaj matko, żebyś nie musiała płacić podwójnie.

- Na pewno nie - odparła Margaret. - Wydaje mi się, że powinnam pojechać i zobaczyć się z nim osobiście. To dziwne, ale mówił tak, jak gdyby mu już zapłacono. Czy nie myśli pan, że zaistniała tu jakaś pomyłka?

- Billowi nie zdarzają się pomyłki - stwierdził Charles. - Odradzam wyjazd do Newton, tym bardziej, że deszcze są teraz coraz częstsze.

- Nie wolno ci ryzykować, matko - wtrąciła Nadine, a gdy wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni dodała: - Widziałaś, co mnie się przydarzyło, o mało się nie utopiłam.

- Masz rację - odparła Margaret. - W takim razie muszę napisać list i podziękować mu. Z jego strony to wspaniały gest.

Siostry wróciły do chaty, a Charles sucho skomentował całe zdarzenie:

- Zbyt efektowny gest, jak na mój gust. Dzień, w którym Bill Ellis odda komuś coś za darmo, będzie końcem świata.

- Ty, Charles - powiedziała słodko Nadine - zawsze widzisz wszystko i wszystkich w najgorszych kolorach, nieprawdaż?

Pełną pani słył przygotowania do przyjazdu biskupa. Margaret była szczęśliwa i wciąż myślała, jak bardzo raduje ja to, że nareszcie otworzą kaplicę ze szkoła dla tubylców. Tylko tej nocy dźwięczały jej w uszach słowa Nadine: "Matko, twój zły stan zdrowia spowodowany jest przez wewnętrzny konflikt".

Czy naprawdę tak było?

Kiedy przyjedzie biskup, może spróbuje zwierzyć się mu ze swoich niepokojów? Wyjawi wreszcie, że wciąż zastanawia się, dlaczego ją tu wysłano, że nie widzi sensu swojego pobytu tutaj?

Czy budowa misji nie dała jej odpowiedzi na te wszystkie pytania? Niespokojnie przewracała się z boku na bok. Czy był ktoś, komu mogłaby opowiedzieć o sobie?

Monotonny odgłos spadających kropli ukołysał ją do snu.

Ranek rozpoczął się malowniczym wschodem słońca. Margaret poszła prosić Steva Granta, by pomógł im zamontować dach.

- Proszę się nie martwić - powiedział. - Zbiorę paru pomocników i założymy dach. To nie zabierze nam dużo czasu.

Późnym popołudniem przyszedł z ludźmi. Wkrótce dach był zamontowany i błyszczał w słońcu. Margaret, dziękując uśmiechnęła się.

- Czy będzie tu szkoła dla naszych dzieci? - spytał Manba.

- Tak, najprawdopodobniej za tydzień - odpowiedziała Margaret. - Najpierw chciałyśmy otworzyć kaplicę. To jest bardzo ważne dla nas. Przyjdziecie, prawda?

- Tak, przyjdziemy - obiecał - bo chcemy zrobić przyjemność tym, którzy będą uczyć nasze dzieci.

- Przyprawadźcie swoich przyjaciół! - zawołał Steve, gdy odchodzili.

Margaret uśmiechała się, Steve zadowolony odparł:

- Powiedziałem o tej uroczystości wszystkim tubylcom, z którymi pracowałem, więc powinniście mieć udana uroczystość. - Czy jesteś teraz szczęśliwa, siostrze?

- Tak, bardzo.

- Czy wszystko w porządku? Kiedy przyjeżdża biskup?

- Spodziewamy się go w następny piątek. Dobrze, że mi pan przypomniał, muszę zapytać doktora Martina, gdzie mam przygotować nocleg dla biskupa.

- Na pewno odda mu swój pokój, sam może przecież spać na werandzie.

- Ten przyjazd sprawia wszystkim tyle kłopotu - powiedziała zmartwiona.

- To dobrze zrobi Charlesowi. Nie powinien wam dawać tej prymitywnej chaty.

- Proszę tak nie mówić - zaprotestowała bez przekonania. - To nie jego wina, on nie chciał, żebyśmy tu przyjeżdżały.

- No dobrze, ale teraz jest z was bardzo zadowolony, prawda? Zwłaszcza z waszej pomocy w szpitalu. A tak swoją drogą, ostatnio nie widziałem cię, siostrze.

- Teraz tam nie chodzę.

Nic nie wyjaśniała, więc spytał ją:

- Czy coś nie w porządku?

- Co ma być nie w porządku? - zapytała.

- Nie wiem, ale wyglądasz na bardzo wyczerpaną.

Milcząc odwróciła wzrok, a on dodał:

- Czy jest sens tak się mordować? Ten klimat jest zabójczy. Po co to wszystko?

- Proszę, panie Grant... - powiedziała cicho.

- W porządku. Przepraszam, nie powinno mnie to obchodzić, ale jeżeli sama o siebie nie dbasz, siostrze, to ktoś powinien za ciebie to zrobić.

Odwróciła głowę i zaczęła przyglądać się zachodzącemu słońcu, które tego wieczoru spowite w purpurę płonęło na niebie.

Margaret, gdy tylko zobaczyła biskupa, od razu wiedziała, że nie będzie mogła z nim szczerze porozmawiać. Był wyniosły, a poza tym bardzo zajęty. Zateęskniła za małą kapliczką w konwencie i za matką generalną pełną mądrości i prostoty.

Oprowadziła biskupa po kaplicy.

- Zrobiłyście nieocenioną rzecz - powiedział zachwycony.

- Chciałbym powiedzieć tubylcom, co o tym wszystkim myślę, ale nie znam języka, więc proszę cię matko o kilka słów po ceremonii.

- Ja? - spytała zbita z tropu.

- Tak - potwierdził. - Opowiesz matko o swojej ciężkiej pracy.

"Przecież oni to wszystko widzieli" - pomyślała Margaret, a głośno rzekła:

- Niektórzy z tubylców pomagali nam.

- Tak, oczywiście, bez wątplenia. Bardzo się cieszę, że tu jestem - zmienił temat - opowiem o waszej pracy ludziom w Anglii.

- Można by też wspomnieć, że potrzebujemy pięćdziesiąt funtów na dach.

Biskup z niezadowoleniem skrzywił się.

- Więc jeszcze nie zapłaciliście?

- Otrzymałyśmy sto pięćdziesiąt funtów, niestety ceny tutaj są wysokie, na szczęście człowiek, od którego kupiliśmy dach, dostarczył go nam już teraz, ale wciąż jesteśmy mu winni pieniądze.

- Z pewnością, jeśli wytłumaczycie temu człowiekowi, poczeka jeszcze trochę - odpowiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Chodźmy już, obejrzymy szpital i wioskę.

Tubylcy wiedzieli, jak wielkim, wypożyczonym samochodem przyjechał biskup. Powiedziano im, że ma się zdarzyć coś niezwykłego, więc chcieli to zobaczyć.

Otwierali szeroko oczy, widząc biskupa odzianego w złoci-stopurpurowe szaty.

"Widać, że to wielki człowiek" - myśleli tubylcy i stłoczyli się w małej kaplicy, aby posłuchać, co ten człowiek do nich powie.

Margaret i siostry siedziały w pierwszej ławce i śpiewały psalmy. Za nimi stali Charles i Nadine. Biskup odprawił mszę, a tubylcy nie rozumiejąc ani słowa, stawali się coraz bardziej niespokojni.

Wreszcie zabrał głos biskup.

- Wybaczcie mi, że nie znam waszej mowy, ale jest tutaj osoba, która ją zna, osoba, dzięki której macie kaplicę - jest to matka Margaret.

Margaret wstała i spojrzała na morze wpatrzonych w nią czarnych oczu. W małej kaplicy było bardzo duszno, czuła, że za chwilę zrobi się jej słabo. Jeszcze nigdy nie widziała na raz tylu twarzy, jedna przy drugiej i wszystkie czekały w skupieniu. Na co ? Na rozwiązanie zagadek wszechświata, nad którymi ludzie trzaskają się od wieków, na odpowiedzi, których sama wciąż poszukiwała?

Spojrzała na wpatrzony w nią tłum tubylców i odnalazła białego mężczyznę, jego błękitne oczy dodały jej odwagi. Przypomniała sobie, jak mówiła do swoich dziewcząt w konwencie, nabrała powietrza i zaczęła.

Wyjaśniła, jak tutaj się znalazły, co chciały robić, dlaczego wybudowały kaplicę. Zakończyła:

- Chciałabym spróbować opowiedzieć wam o naszej religii. Założył ją ktoś, dla kogo wiarą była miłość. To było wszystko, o co prosił: "Kochajcie jeden drugiego".

Opuściła prezbiterium i zobaczyła utkwione w siebie, pełne zadumy oczy Nadine, Charles też był zamyślony, nie spojrzała na Steva.

Biskup uśmiechnął się do niej, zanim wstał.

- Bardzo dobrze - pochwalił ją.

Spuściła głowę, by nie było widać łez płynących po jej policzkach.

Potem wyszli z kaplicy. Reszta dnia minęła bardzo szybko... Wieczorem biskup odjechał, a Margaret nie ośmieliła się zwieryć mu z tego, co ja. trapi.

Zrobiło się ciemno, olbrzymi księżyc oświetlił wioskę. Nocne ptaki zaczęły swoje płasy, dzikie zwierzęta wyruszyły na polowania, a tubylcy śpiewali i tańczyli wokół ognisk. Wydawało się, że wszyscy są szczęśliwi.

Nikt nie zauważył człowieka, który podbiegł do Charlesa i powiedział mu, że na skraju dżungli leży mężczyzna, wyglądający na bardzo chorego.

Na drugi dzień, po południu, rozpoczęły się zajęcia w szkole. Niewielkie pomieszczenie po brzegi wypełniły dzieci w różnym wieku, między nimi znalazło się też kilkoro dorosłych. Margaret rozdała książki i zaczęła pierwszą lekcję.

Nie spodziewała się, że jej lekcje przyciągną aż tylu chętnych, dlatego kiedy wracała do chaty, była blada z wyczerpania.

- Matko przełożona, jesteś bardzo zmęczona - zauważyła siostra Mary.

- Matka potrzebuje jednej z nas do pomocy - stwierdziła siostra Jadwiga, ale Margaret zaprzeczyła.

- Nie możecie równocześnie pracować w szpitalu i w szkole - powiedziała, zdając sobie sprawę, że pomoc jest jej bardzo potrzebna.

- Ja mogę pomóc matce przełożonej - zaoferowała się siostra Mary. - Przecież nie stoję przy piecu cały dzień, naprawdę mam dużo wolnego czasu, a poza tym jestem bardzo silna.

Ta niepozorna dziewczyna, którą - zdawało się - mógł porwać wiatr, naprawdę miała w sobie niewyczerpane pokłady energii.

Margaret ucieszyła się, że siostra Mary chce jej pomóc.

Od następnego dnia razem zaczęły chodzić do szkoły. Margaret zauważyła, że dziewczyna stara się brać na siebie większą pracę. Wydawała się być z tego zadowolona. Zawsze starała się robić więcej, niż do niej należało, a to denerwowało zakonnice, które myślały, że Mary chce się wyróżniać.

Dziewczyna naprawdę miała niespożytą energię. Mogła pracować i uczyć całe upalne popołudnie, nie wyglądając przy tym na zmęczoną. Margaret nie była w stanie tyle pracować i siostra Mary wiedząc o tym, starała się, by matka odpoczywała tak dużo, jak to możliwe. Sama zajmowała się prowadzeniem lekcji.

Kiedy kończyły się już zajęcia, siostra Mary szybko robiła kawę, która zawsze stawiła je na nogi.

Szkoła rozwijała się wspaniale, ciągle przybywało tubylców, tak że nie starczało ławek i niektórzy musieli siedzieć na podłodze. Margaret zwykle zaczynała takie spotkania nauką śpiewania. Potem prowadziła- krótki wykład, a po nim, na zakończenie, śpiewali psalm, który siostra Jadwiga tłumaczyła na język tubylców.

Na drugi dzień wieczorem Margaret poszła do szpitala na kolejną kontrolę. Szukała Nadine, gdy usłyszała dobiegające z jadalni niespokojne głosy.

- O, matka przełożona - ucieszył się Charles. - Właśnie czekaliśmy na ciebie. Mamy ważne wiadomości. Niestety, nie najlepsze.

- Co się stało? - spytała Margaret trochę zaniepokojona.

- Tydzień temu przyszedł do nas ciężko chory mężczyzna. Wczoraj umarł - powiedział Charles bez żadnego wstępu. - Nie mogłem rozpoznać choroby, wciąż nie wiem, co to było. Wystąpiły wszystkie symptomy śpiączki, ale zamiast długotrwałej choroby kończącej się śmiercią, w tym przypadku wszystko rozegrało się w ciągu tygodnia. To musi być inny, bardziej złośliwy wirus. Dotychczasowy sposób leczenia nie dał żadnych rezultatów.

- Czy jest pan pewien doktorze - spytała Margaret - że ten człowiek zanim tu przyszedł, nie był chory?

- Nawet gdyby tak było, to dzisiaj mamy następne zachorowania.

- Gdzie ci ludzie żyją? - spytała spokojnie.

- Na małej polanie, w głębi dżungli. Musimy ich stamtąd zabrać. - Zwrócił się do Steva: - Jak długo będziecie jeszcze pracować?

- Jeżeli się pospieszymy, to może uda nam się skończyć w ciągu jednego dnia.

- Zatem pospieszcie się - powiedział ostro. - Porozmawiam z tutejszym wodzem. Zapytam go, czy nie zgodziłby przeprowadzić się ze swoimi ludźmi do nas. Tu jest wystarczająco dużo przestrzeni.

- Wspominałam o tym zaraz po przyjeździe - zauważyła Nadine

- Tak - przyznał jej rację. - Wtedy powiedziałem ci, że nie możemy zmuszać nikogo, by tu zamieszkał. Możemy próbować przekonywać, tłumaczyć, perswadować i to wszystko, a na razie - westchnął - musimy wyteńczyć siły, bo czeka nas długa, żmudna praca.

Charles dodał:

- Jest jeszcze jedna sprawa. Proszę powiedzieć siostrom, żeby pod żadnym pozorem nie zbliżały się do drzew.

- Rozumiem - Margaret skinęła głową.

- Na pewno wiecie - powiedział Charles - że wielu białych ludzi zachorowało na śpiączkę, ale jakoś dziwnym trafem, muchy wabi czarny kolor, dlatego też z taką zawziętością atakują tubylców. Uważajcie, by zawsze nosić białe rzeczy. Nie trzeba nam więcej kłopotów, mamy ich dosyć.

Margaret cicho wyszła z pokoju, a za nią Nadine. Znalazły się w salce operacyjnej.

- Jak się czujesz, matko? - przerwała milczenie Nadine..

- Trochę lepiej - odparła.

- Wiesz o czym myślę, matko? Pracujemy tu teraz, ocierając się o śmierć. Żałuję, że wcześniej nie wysłałam cię do Anglii. Prawdę mówiąc życzyłabym sobie, abyś wróciła do domu.

- Mogę znowu zacząć pracę tylko w szpitalu - zaproponowała Margaret.

- Prawdopodobnie będziesz musiała - Nadine zdawała sobie sprawę, że jest bardzo szorstka, ale wiedziała, że siostra ją

rozumie. - Mam nadzieję, że nie jest to wybuch epidemii - kontynuowała - ale kiedy czytam o tysiącach ofiar śpiączki... Sądziłam, że mamy to pod kontrolą, choć w jakimś stopniu, ale jeśli to jest jakiś nowy wirus, jak mówi Charles... - zamilkła.

- Jutro przyjdę do szpitala - powiedziała Margaret.

Nadine spojrzała na nią ponuro.

- Wciąż myślę o twoim powrocie do Anglii, matko. Może powinnam o tym powiedzieć Charlesowi?...

- Jeżeli to wybuch epidemii, to tym bardziej jestem tutaj potrzebna. Chcę zostać - odparła Margaret.

Wychodząc natknęły się na Charlesa.

- Matko przełożona - powiedział - szukałem cię właśnie.

- Chcę, byśmy razem poszli porozmawiać z wodzem. Wydaje mi się, że wszystkie powinnyście wiedzieć, co się dzieje.

Przytaknęła.

Poszli wszyscy razem do wodza. Charles rozpoczął rozmowę od paru nieważnych rzeczy i po jakimś czasie mogli już przejść do sedna sprawy. Lekarz odezwał się.

- Wodzu, jesteś bardzo mądry, że zbudowałeś tutaj wioskę. W ten sposób jesteście daleko od drzew.

Wódz przytaknął z powagą, ale nie spuszczał wzroku z Charlesa, przyglądając mu się uważnie, jakby chciał wyczytać z jego oczu powód wizyty.

- Wiesz, wodzu - Charles mówił dalej - że straszliwa mucha tse-tse żyje w liściach drzew i nie może daleko latać. Ten owad przenosi śpiączkę i dlatego wycinam drzewa. Wygonimy muchy z lasu - uśmiechnął się. - Twoi ludzie będą zdrowi. Inni nie są tacy mądrzy, mieszkają w dżungli i już kilku z nich zostało ukąszonych przez tse-tse. Są chorzy na śpiączkę.

Rozległ się pomruk wśród tubylców, a Charles kontynuował:

- Czy miałbyś coś przeciwko temu, jeśli bym namówił tych ludzi, by osiedlili się w pobliżu twojej wioski?

Wódz przez jakiś czas nie odpowiadał. Naradzał się ze starszyzną i doradcami, podczas gdy oni czekali w pewnym oddaleniu.

W końcu wódz odezwał się:

- Nie możemy zgodzić się, by inni mieszkali na naszym terytorium.

Nagle Manba wystąpił do przodu. Był zbyt młody, by zostać doradcą, ale jako krewny wodza miał prawo głosu.

- Myślę, że powinniśmy zrobić to, o co nas prosi doktor - powiedział.

Przez chwilę panowała głęboka cisza, Manba odczekał i mówił dalej:

- Czy nie widzieliśmy, jak siostry budowały szkołę dla naszych dzieci? Czy nie słuchaliśmy, jak matka Margaret mówiła nam o religii, gdzie jeden kocha drugiego?

- Nie przyjąłem nowej religii - odezwał się wódz.

Wtedy Margaret powiedziała dźwięcznym głosem:

- Miłość powinna być podstawą wszystkich religii, wodzu.

Znowu zapadła cisza, którą przerwał Manba.

- Tu jest dużo ziemi, czy zrobi to nam jakąś różnicę, jeśli inni zamieszkają tu? To przecież ludzie z dżungli wycięli te drzewa, my na tym korzystaliśmy, więc każdy ma prawo tu zamieszkać.

Znowu wśród starszyny rozległ się pomruk, a po chwili odezwał się wódz.

- Dobrze. Nie będziemy mieć nic przeciwko ludziom, którzy zamieszkają na naszym terytorium.

- Dziękujemy ci, wodzu - odparł Charles. - Czy mógłbym jeszcze prosić was, byście trzymali się z daleka od drzew? Oczywiście, jesteście zbyt mądrzy, by narażać się na pewną śmierć.

Znów wódz z powagą skinął głową, a oni odwrócili się, by odejść.

- To również - zwrócił się Charles do sióstr - dotyczy was. - Obowiązuje teraz bezwzględny zakaz zbliżania się do drzew. Steve, wyteżysz wszystkie siły i jutro zakończysz pracę. Teraz wszystkim życzę dobrej nocy.

Ognista kula wschodzącego słońca oświetlała ziemię, ale teraz kolor zdawał się być bardziej intensywny, jakby miał w sobie kolor krwi. Siostry jak zwykle obudziły się wcześniej i przyciszonymi głosami rozmawiały o wybuchu epidemii. Siostry Anna i Dolores wróciły z nocnego dyżuru zmęczone i blade. Oznajmiły, że umarło troje ludzi i jest następnych sześciu chorych.

- Dziś rano pójde do szpitala - powiedziała Margaret.

Oprócz siostry Mary, żadna z kobiet nie wiedziała, dlaczego Margaret przestała tam chodzić.

- Matko przełożona, będziesz dzisiaj miała bardzo dużo pracy w szkole - zaniepokoiła się siostra Mary.

- Teraz ważniejszy jest szpital - odparła Margaret.

Zauważyła, że w drzwiach stanął Joe, który wrócił już z Newton przynosząc jej list. Spojrzała nieco zaskoczona na poplamioną kopertę, a gdy ją otwierała, wypadł niewielki kawałek papieru. Był to rachunek potwierdzający odbiór pięćdziesięciu funtów opłaty za dach, podpisany przez Billa Ellisa.

Zamarła w bezruchu. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że zupełnie zapomniała skontaktować się z Billem, przedzwonić do niego lub napisać. Była tak zajęta przygotowaniami do przyjazdu biskupa, a potem szkołą, że zupełnie nie miała czasu o tym myśleć. Teraz szybkim krokiem podeszła do telefonu.

Była wdzięczna losowi za to, że nikogo nie było w pobliżu. Połączyła się z barem Billa. W końcu odezwał się zachrypnięty głos.

- Słucham, tu Bill Ellis.

- Panie Ellis - odezwała się Margaret zdecydowanym głosem. - Proszę mi wyjaśnić, dlaczego przesłał mi pan rachunek na pięćdziesiąt funtów, skoro panu nie zapłaciłam?

- Ponieważ - jego głos stał się niecierpliwym - osoba, która zapłaciła te pieniądze powiedziała, bym to zrobił.

- Kto panu zapłacił? - Margaret była oszołomiona.

- Nie upoważniono mnie do udzielania takich informacji - odparł szybko.

- Ale...

- Przepraszam, jestem zajęty. Zapłacono pieniądze, dach dostarczyłem. To wszystko. Do widzenia! -1 odłożył słuchawkę.

Zamyślona Margaret wracała do chaty, gdy zaczęły padać pierwsze krople deszczu. Mijając siostry idące do szpitala przyspieszyła kroku, by jak najszybciej znaleźć się w chacie.

Dopiero w samotności zaczęła myśleć: "Kto mógł zapłacić Billowi Ellisowi - Charles? Nie, był taki zaskoczony, gdy przywieziono dach. Biskup? - To stało się przed jego przyjazdem. Więc kto mógł to zrobić?"

Margaret znowu usiadła. Steve Grant? - Tak, to on, ale skąd wziął pięćdziesiąt funtów? Przyjechał do Waseke, żeby zarobić pieniądze na podróż do Kairu. To było jego marzenie. Czy z tych pieniędzy zapłacił? Czy to w ogóle możliwe?" Nagle poczuła łzy w oczach.

Po wszystkich rozterkach wewnętrznych, ignorancji ze strony biskupa, oschłym traktowaniu przez Charlesa, który przecież nie życzył ich sobie tutaj, było wspaniale odczuć, że kogoś jednak to wszystko obchodziło. Koniecznie chciała podziękować, powiedzieć, jak docenia jego życzliwość.

Podeszła do drzwi. Rozpadało się na dobre. Słysząc było miarowe uderzenia deszczu.

Widziała Steva pracującego pod drzewami. Powiedział jej, że jest tu ostatni dzień. Jutro wyrusza.

Wzięła wielką, czarną parasolkę, stojącą przy drzwiach i wolnym krokiem podeszła do niego.

Pracował z tubylcami. Gdy podeszła bliżej, obrócił się, wyczuwając, że się zbliża.

- Poczekaj - powiedział do tubylca. - Czy potrzebujesz mnie, siostro? - zapytał.

- Pan zapłacił Billowi za dach - w jej głosie było oskarżenie. Steve otarł z czoła pot zmieszany z kroplami deszczu.

- Usiądźmy - poprosił i usadowił się na zwałonym pniu drzewa, osłaniając ją parasolką. - Tak, to ja zapłaciłem - przyznał się.

- Dlaczego **pan** mi nie powiedział?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie robiłem z tego tajemnicy, ale po co od razu miałem się z tym afiszować.

- Tylko, że w ten sposób wprowadził mnie pan w błąd. Cały czas myślałam, że to Bill Ellis przysłał nam dach. Zapytałam go, czy chce potwierdzenie odbioru bez zapłaty.

- Właśnie dlatego upierałem się, by wysłał rachunek. Gdybym odszedł, mógłby znowu zażyczyć sobie pieniędzy.

- W takim razie muszę panu zapłacić.

- Nie masz ich teraz, siostró.

Przez chwilę milczała.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego pan to zrobił? Przecież uważa pan się za ateistę.

- Bo jestem ateistą.

Uśmiechnęła się.

- Czy czytał pan kiedyś poemat o Abou Ben Adhemie?

- Nie, nigdy. Kto to był?

- Powiedział aniołowi, że nie kocha Boga, ale kocha Bliźnich.

- To odnosi się do nas obydwu, prawda? - zapytał. - Do mnie i do Abou Ben Adhema. - Uśmiech zszedł z jego twarzy. - Nie wiem, czy jakoś szczególnie kocham bliźnich. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Wiedziałem, że bardzo ci zależy, siostró, na tym dachu, więc szkoda mi było ciebie, że nie możesz go dostać.

- Proszę mi powiedzieć, skąd pan wziął pieniądze?

- To nie fair zadawać takie pytania.

- Przecież potrzebne są panu pieniądze, po to pan pracował. Pariska wyprawa do Kairu? Przecież marzył pan o tym? Pracował pan jak niewolnik, obserwowałam to. Ile pieniędzy zostało panu teraz?

- To znowu jest pytanie nie fair. Mam ich wystarczająco dużo.

- Nie wydaje mi się - powiedziała łamiącym się głosem. - Nie wiem, ile kosztuje drzewo, ale wystarczy zobaczyć, ilu mężczyzn pracuje przy tym wyrębie i ile trzeba było kupić

narzędzi. Na pewno nie będzie dużo więcej, niż pięćdziesiąt funtów na osobę.

- W porządku - powiedział. - Zrobiłem to, nikt mnie nie zmusił. Zdecydowałem się zapłacić za dach kaplicy. Nie chciałem, by moje imię było gdzieś zapisane, ponieważ wiem, że gdy stąd wyjadę, nikt nie będzie mnie pamiętał, a tym bardziej mojego imienia.

- Ja będę pamiętać. Całe życie - powiedziała, tłumiąc wzruszenie.

- To mi wystarczy - złagodniał.

- Kiedy pan wyjeżdża?

- Jutro wczesnym rankiem.

- Tak szybko? - posmutniała.

- Tak - westchnął. - Nie mam po co tu zostawać.

Przez chwilę milczeli i nagle Steve obrócił się i spojrzał na nią.

- Mógłbym zostać i pomóc ci, siostrze, bo naprawdę potrzebujesz pomocy, ale... Chyba będzie lepiej, jeśli odejdę.

Nagle poczuła ból i uderzyła ręką po mokrym policzku.

- Te muchy są nieznośne.

Spojrzał na nią szybko.

- Gdzie?

- Właśnie coś pogryzło mi twarz. Czuję taki ostry, palący ból.

Spojrzał na nią uważnie i nagle szybko uniósł ją do góry. Potem zaczął szybko biec, trzymając w ramionach Margaret. Tubylcy patrzyli na nich zaskoczeni. Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy i odnalazła w nich odpowiedź na przerażające pytanie.

- Tak - powiedział bardzo cicho - zostałam ugryziona przez muchę tse-tse..

ROZDZIAŁ VII

Małeńki pokój tonął w ciszy. Wydawało się, że nawet skrzeczenie tropikalnego ptactwa nie jest tak hałaśliwe jak zwykle. Chora nieznacznie poruszyła się w łóżku. Czuwająca przy niej siostra Mary zapytała:

- Czy potrzebujesz czegoś, matko przełożona?

- Nie, dziękuję - odpowiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

Nadine podniosła się i zbadała jej puls. Smutno spojrzała na siostrę Mary.

- Bez zmian.

Ktoś delikatnie zastukał do drzwi i Nadine szybko poszła otworzyć. Zobaczyła Charlesa stojącego za drzwiami i wymknęła się z pokoju.

- Nic się nie zmieniło- szepnęła.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że to koniec twojego dyżuru. Siedzisz tu i tak o wiele za długo.

- Czuję się całkiem dobrze - zaczęła.

- Chodź już - powiedział zdecydowanie.

Nie sprzeciwiała się mu.

- Chwileczkę, wezmę tylko resztę swoich rzeczy z szuflad.

Podeszła do małej szafki w rogu pokoju. Kiedy ją opróżniła, wyszli razem na korytarz. Spojrzał na jej zmęczoną twarz.

- Nie bierz wszystkiego tak do serca, Nadine.

Zapadła cisza, która z minuty na minutę stawała się nie do zniesienia. Nadine wybuchła.

- Czy nie widzisz, że to wszystko moja wina?

- Nie rozumiem.

- Nie mówiłam ci o stanie zdrowia Margaret, ponieważ prosiła mnie o to. Już wcześniej, gdy ją badałam, wiedziałam, że była bardzo słaba. Prosiłam, żeby wróciła do domu, ale nie chciała nawet o tym słyszeć. To dlatego pracowałam za nią w klinice.

Liczyła, że się rozżłości, ale milczał.

Po chwili powiedział:

- Nie było twoja. wina. to, że zdarzył się ten wypadek. Jeśli w ogóle było to czyjaś wina, to wyłącznie samej Margaret. Poleciłem wszystkim, by trzymali się z daleka od drzew. Ona poszła i to w dodatku z wielką, czarną parasolką,

- Fakt pozostaje faktem - Nadine przerwała mu. - Gdybym upierała się, by wróciła do domu, byłaby daleko od niebezpieczeństwa.

- Nie powinnaś się obwiniać. Spójrz na to inaczej. Gdyby wróciła do domu, wizyta biskupa nie doszłaby do skutku, szkoła nigdy nie byłaby otwarta. Tylko dzięki niej było to możliwe, ona była duszą tego wszystkiego. Manba nie sprzeciwiłaby się wodzowi i tubylcy z lasu nie mogliby mieszkać z dala od niebezpieczeństwa. Pamiętasz, jakie wrażenie zrobiły na nich słowa matki przełożonej, gdy ta powiedziała, że miłość powinna być podstawą wszystkich religii?

Milczała, a on łagodnie mówił dalej:

- Proszę, idź i prześpij się trochę, rano nie będziesz miała takich czarnych myśli.

Weszli do małego pokoju z boku laboratorium, gdzie Nadine teraz spała.

- Charles, czy naprawdę nie możemy nic zrobić? Może wysłać ją do domu specjalnym samolotem?

- Nie wytrzymałaby podróży. Poza tym nie przypuszczam, aby ktokolwiek inny wiedział na temat tej choroby więcej od nas.

- Byłeś tu dłużej niż ja, Charles. Czy nie spotkałeś się już z czymś podobnym?

- Nie. Rozpocząłem badania i doszedłem do tego, że śpiączka powodowana jest przez ukąszenie muchy tse-tse. Zamierzałem wszczepić ten zarazek myszom w laboratorium i spróbować je leczyć. - To wszystko, co mam. Niewiele tego, ale...

- To jest jak grypa. Wszyscy chorujemy na nią co roku, aż nagle pojawia się jej nowa odmiana, która zadziwia nas, tworzymy nowe nazwy: grypa azjatycka, grypa z Hong-Kongu. Zaczynamy badania na szeroką skalę - zniecierpliwił się. -

Gdybym tylko miał więcej czasu... Mógłbym nad tym popracować...

Nadine wciąż myślała o Margaret. Westchnęła.

- Jeśli tylko moglibyśmy coś zrobić... - zastanawiał się Charles. Widać było, że twarz ma szarą ze zmęczenia. - Zrobiliśmy już wszystko, co było w naszej mocy. W tym przypadku nasze lekarstwa są bezskuteczne. Nie wiem dlaczego. Nic więcej nie możemy zrobić.

Westchnęła, a on powiedział trochę szorstko:

- Nie możesz przez całe życie nosić w sobie poczucia winy.

- To nie o to chodzi. To nie tak - odpowiedziała. - Pracujemy razem, jesteśmy czymś w rodzaju grupy czy rodziny. Byłam tu szczęśliwa. Nawet nie uświadamiałam sobie, jak bardzo. Kiedy wróciłam z Newton, wtedy, gdy prawie się utopiłam i gdy wszyscy czekali na mnie... - zacięła się. - To było jak powrót do domu.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Więc - powiedział - nauczyłaś się czegoś. Rodzinę i dom możesz znaleźć wszędzie i z każdym.

- To nie tak - powiedziała łagodnie. - Z każdym, kogo kochasz.

Spojrzała na niego. Bez słowa objął ją, a ona oparła głowę na jego ramieniu.

- Zawsze cię kochałem, wiesz o tym.

- Tak, wiem, Charles.

- Bałem się - przyznał. - Wiele lat temu chciałem ożenić się z pewną dziewczyną. Była wielką egoistką... - przerwał. - Odkryłem to dość późno, ale tak bardzo mnie to przeraziło, że rozstałem się z nią. Czy to rozumiesz?

- Rozumiem.

- O przyszłości porozmawiamy innym razem. Jesteś śmiertelnie zmęczona.

- Masz rację, Charles - przyznała, tuląc się do niego.

Trzymał jej twarz w dłoniach i zaczął delikatnie całować oczy, policzki, usta.

- Idź już - powiedział łagodnie. - Muszę jeszcze popracować. Zobaczmy się jutro.

- Dobrze.

- Nie sprzeciwiasz się?

- Nie - uśmiechnęła się i zamknęła drzwi.

Poszedł dalek wzdłuż korytarza. Na werandzie widać było w ciemności jarzący się papieros.

- Cześć, Steve - przywitał go siadając.

Steve podszedł do niego. Charles odkrył, jak ważna była pomoc Steva w ostatnich dniach w związku z chorobą Margaret. Zdecydował się zostać i pomagał jak mógł. Pojechał, by zobaczyć się z wodzem na terenie Hjuba, gdzie szalała śpiączka. Zaproponował mu, by przeniósł się na teren bardziej bezpieczny.

- Jak leci? - zapytał Steve.

- Bez zmian - odparł Charles zapalając papierosa. - Przyszedłem, by odetchnąć trochę świeżym powietrzem. Duchota dzisiaj prawie nie do zniesienia.

- Czy "ubyło" ci dzisiaj pacjentów?

- Niestety tak. Cztery zgony.

- Są jeszcze jakieś wiadomości od wodza Hjubów?

- Nie. Żadnych.

- Podjęcie decyzji zabiera mu dużo czasu - powiedział Steve.

Wiedział, jak Charlesowi zależało na tym, by ludzie z dzungli byli z daleka od niebezpieczeństwa.

Dwie siostry wyszły ze szpitala i podążyły akurat w ich kierunku. Ich białe habity lśniły w świetle księżyca.

- Teraz dyżur mają siostra Anna i Dolores, czy możemy już iść, doktorze? - spytała siostra Teresa.

- Tak, idźcie odpocząć. Proszę, przyjdźcie wcześniej rano.

Siostra Teresa spojrzała na niego pełna smutku, jak dziecko, które czuje, że dzieje się coś złego, ale nie może nic zrobić.

- Siostro, spróbuj za bardzo nie martwić się całą tą sytuacją - pocieszał ją Charles.

- Dobrze, spróbuję - spojrzała na wioskę, a usta jej drżały.

- Teraz moja kolej, by wszystkich pocieszać - wymamrotał pod nosem, ale wiedział, że nie w tym rzecz. Jak zauważyła Nadine, byli czymś w rodzaju rodziny, a jego głupota niemal zmusiła Nadine, by wróciła do Anglii. Przypomniawszy sobie dawne dzieje, chwilę myślał o nich, nim rozplynęły się w przeszłości.

Siostra Teresa mówiła, a on był tak zmęczony, że zmuszał się, aby jej słuchać.

- Jak teraz sobie radzicie?

- Bardzo dobrze - powiedziała. - Siostra Anna pełni teraz funkcję matki przełożonej, a siostra Mary i ja zdecydowałyśmy podzielić się obowiązkami w kuchni, więc możemy obie pracować w szpitalu.

- Wspaniale - szczerze ucieszył się.

- Czy nie mogłybyście wszystkie pracować przy piecu, na zmianę? - wtrącił Steve. - Po prostu mogłybyście zrobić dyżury.

- No cóż, siostra Anna jest teraz przełożoną, siostra Jadwiga nie jest już pierwszej młodości...

- A siostra Dolores? - zapytał Steve.

- Tak, ale te jej piękne dłonie, ona... - zmieszana się, a Charles wtrącił pośpiesznie:

- Gdzie jest teraz siostra Mary?

- Przeniosła się do pokoju matki przełożonej.

Głos siostry Teresy był bardzo spokojny, ale pobrzmiwała w nim nuta zazdrości. Odwróciła się od nich.

- Pójdziemy już, dobranoc - pożegnała się.

- Dobranoc - odparł patrząc za nimi, aż doszły do chaty.

Zwrócił się do Steva z pytaniem:

- O co chodziło z tymi pięknymi dłońmi siostry Dolores?

Steve chrząknął.

- Nic wielkiego chyba, ale pamiętam, że przy oczyszczaniu fundamentów pod budowę kaplicy matka przełożona dała jej łopatę, a sama pracowała gołymi rękoma. To ciężka praca, nie wyszła jej na dobre.

- To był jej własny pomysł, żeby się tak zamęczać - wtrącił.

- Wyglądało to tak, jakby czuła się winna.

Steve spojrział na niego zaskoczony, a Charles mówił dalej:

- Mniejsza o to, ale w każdym razie w trakcie ostatniej godziny słyszę już o drugiej osobie, która mogłaby być oskarżana o chorobę matki przełożonej. Przypuszczam, że ty również nie możesz sobie wybaczyć, że byłeś pod drzewami, gdy przysłała z toba-porozmawiać.

- Nawet gdyby tak było, to i tak bym ci nie powiedział. Jeżeli chodzi o winę, to nie powinieneś dawać siostram tej rozwalającej się chaty.

Charles wyrzucił niedopalonego papierosa.

- Myślisz, że miałem inny wybór? Nie mam więcej pomieszczeń, a poza tym nie prowadzę przytułku dla wędrujących zakonnic. - Zmierwił włosy. - Możliwe, że mogłem coś wtedy zrobić - przyznał.

- Jak ona się czuje? - zapytał Steve.

Charles wzruszył ramionami.

- Bez zmian. Przebieg choroby jest taki sam jak u innych.

- Będzie żyła?

- Chyba, że zdarzy się cud.

- Czy mógłbym z nią porozmawiać?

- Tak, oczywiście. Chcesz teraz tam iść? O tej porze chyba śpi.

- Zastanawiałem się, czy czegoś nie potrzebuje, może mógłbym jej w czymś pomóc?

- Nie mam pojęcia. Idź sam i zobacz.

Margaret otworzyła oczy. Natychmiast siostra Mary nachyliła się nad jej łóżkiem. Chora uśmiechnęła się i powiedziała:

- Usiądź, dziecko.

- Spróbuj zasnąć, matko - powiedziała łagodnie. Margaret posłusznie zamknęła oczy.

Ściany były tu bardzo cienkie, więc słyszała część rozmowy pomiędzy Charlesem i Nadine. Dziewczyna oskarżała się, że nie wysłała jej do domu. Bardzo chciała powiedzieć Nadine, że tak nie wolno było robić, że nie było w tym niczyjej winy. Przecież to ona sama zbliżyła się do drzew wbrew zakazowi Charlesa, ale uczciwie mówiąc, zupełnie o tym zapomniała.

To, że została ugryziona przez muchę tse-tse było nieszczęśliwym wypadkiem.

Czy na pewno? Czy to był pech, czy raczej przeznaczenie?

Przypomniała sobie słowa Charlesa: "Jeśli pojechałaby do domu, wizyta biskupa byłaby odwołana... Manba nie sprzeciwiłby się wodzowi i nie mogliby mieszkać tu ludzie z lasu". Teraz, kiedy wiedziała, że niedługo umrze, mogła uporządkować swoje sprawy. Czy miała rację wstępując do zakonu? Gdyby tylko mogła z kimś o tym porozmawiać.

Otworzyła oczy i zapytała siostrę Mary.

- Która godzina?

- W pół do dziewiątej, matko.

- Tak wcześnie? Zawsze dziwi mnie to, że noc w tropiku zaczyna się tak szybko.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi i siostra Mary poszła otworzyć. Wróciła oznajmiając:

- Pan Grant pyta, czy chciałabyś matko porozmawiać z nim przez chwilę?

- Oczywiście - odparła Margaret.

Wszedł wolno, siostra Mary przysunęła mu krzesło, a sama przeniosła się bliżej okna.

Steve usiadł trzymając w dłoniach swój kapelusz z wielkim rondem.

- Jak się czujesz, siostrze? - zapytał krótko.

- Całkiem dobrze - odparła.

- Zastanawiam się, czy mógłbym coś dla ciebie zrobić?

Może potrzebujesz czegoś z Newton?

Potrząsnęła głową.

- Nie, chyba nie. Dziękuję.

Przez chwilę panowała cisza, którą przerwał w końcu Steve.

- Dlaczego to musiało się przytrafić akurat tobie, siostrze? - spytał gwałtownie. - Dlaczego nie mnie?!

- Proszę, niech pan przestanie - powiedziała. - Nie można tak mówić. Każde życie ma wartość. - Spojrzała na swoje dłonie i zdziwiła się ich bledością.

- Nie powinnaś tu przyjeżdżać - powiedział zduszonym głosem.

Nie odpowiedziała, zamknęła tylko oczy. Pomyślał, że zasnęła, ale za chwilę wyszeptwała:

- Często myślę o zielonych polach otaczających dom w Anglii.

- Tak - powiedział trochę niepewnie.

- Próbowałam polubić bujna roślinność tropiku, to bogactwo kwiatów... ale nigdy mi się to nie udało, a jednak musiałam tu być. - Na jej prawie przezroczystej twarzy widać było zakłopotanie. - Nie wiem dlaczego, ale musiałam zostać.

- Proszę, nie mów tak dużo - prosił Steve.

- Dobrze, nie będę - zgodziła się posłusznie.

Milczeli przez jakiś czas, Steve spojrzął na zegarek wiszący na ścianie, który odmierzał czas jej życia, w końcu zapytał:

- Jesteś pewna, że nic dla ciebie nie mogę zrobić?

- Chciałabym... - powiedziała trochę skrzępowana - ale nie, to niemożliwe.

- Co to jest? - spytał.

- Opowiadał mi pan kiedyś o misji ojców na południu. Chciałabym z kimś porozmawiać... - jej głos był coraz słabszy.

- Więc porozmawiasz, siostró - powiedział zdecydowanie.

Pożegnał się i wyszedł z pokoju. Nic nie mówiąc Charlesowi wsiadł do jeepa i odjechał na południe.

Nad/ne leżała w łóżku. Tak jak zauważył Charles, była śmiertelnie zmęczona. Bolała ją każda kość. Tak dużo mieli teraz chorych, że nie pamiętała, kiedy ostatnio przespała noc.

Leżała w ubraniu myśląc o Charlesie. Jego gesty, układ ust, gdy się uśmiechał... Nie odeśle jej teraz do Anglii... kochał ją i ona go kochała... Wszystko teraz się ułoży...

Gdyby tylko Margaret wyzdrowiała...

Nagle przypomniała sobie o liście z Anglii, który dostała dzisiaj rano. Nie zdążyła go jeszcze otworzyć. Wyciągnęła go z kieszeni i zaczęła czytać: "Droga Nadine. Jest tyle do wyjaśnienia odnośnie Twojego ojca i jego życia w Afryce, że chyba niemożliwe jest opisanie tego wszystkiego w liście. Jeśli tylko

byś chciała, przylecę do Ciebie wkrótce, by Ci to wszystko opowiedzieć. Wyślę wiadomość, gdy już będę znała dokładną datę. Pozdrawiam cię. Twoja Matka".

W końcu pozna prawdę o swoim ojcu. W tym momencie czuła się zbyt zmęczona, by ja to mogło obchodzić. Jeśli jej ojciec zdecydował się spędzić swoje życie w zagubionym zakątku, to dobrze, ale jakie znaczenie miało to teraz? Nic teraz nie było ważne, oprócz walki z otaczającą ich śmiercią.

Ziewnęła.

- Lepiej się prześpię. Nie. Najpierw wezmę prysznic. - Przypomniała sobie, że Charles zawsze podziwiał schludność i staranność jej ubioru. Uśmiechnęła się. Podeszła do leżących na łóżku zwiniętych rzeczy przyniesionych z pokoju i zaczęła szukać czystego ręcznika. Gdyby nie była tak zmęczona, poszłaby do małej szafki w rogu pokoju, gdzie trzymała czyste ręczniki i nie grzebałaby w tych rzeczach... ale była zmęczona, więc przerzucała bluzki, koszule nocne, fartuchy lekarskie. Nagle zaszeleścił jej między palcami papier. Do licha, co ona trzyma między tymi rzeczami? Wyciągnęła zapiski ojca.

- O, nie - jęknęła.

Czuła się, jakby nagle doznała olśnienia. Momentalnie rozbudziła się, nie myśląc już o zmęczeniu. Drżącymi rękami składała papiery ojca.

Nagle wszystko wróciło. Wszystko, o czym próbowała zapomnieć. To było dla niej bolesne, dzieciństwo, śmierć ojca, oszustwa Billa Ellisa. Nie chciała raz jeszcze z tego powodu cierpieć.

Przed nią leżały notatki ojca. Praca jego życia. Jedyna pamiętka po nim. Nadine po raz pierwszy zaczęła gorączkowo przeglądać papiery ojca jak lekarz. Przerzucała kartki, profesjonalnie oceniając przydatność odkryć ojca dla ratowania Margaret.

Zatrzymała się. Teraz wiedziała już, czego naprawdę chciałby jej ojciec. Na pewno nie sławy, której pragnęła dla niego Nadine - rozgłosu, który był niczym wobec możliwości rato-

wania ludzkiego życia. Po raz pierwszy w życiu Nadine poczuła się lekko, poczuła, że odnalazła ojca.

Zacząła teraz uważnie studiować notatki: "Podczas wędrówki w Północnej Afryce - pisał jej ojciec - dowiedziałem się o wybuchu epidemii, którą powoduje bardzo złośliwy wirus, jeszcze nie zbadany i nie nazwany przez medycynę. Nie jestem nawet pewien, czy powoduje to mucha tse-tse, chociaż wszystko na to wskazuje, ale nie mam żadnych dowodów. Jakakolwiek byłaby przyczyna choroby, nie daje się jej wyleczyć żadną znaną do tej pory kuracją medyczną".

Czas uciekał. Wpół do dziesiątej, dziesiąta... Chciała wypić trochę czarnej kawy, by się rozbudzić, ale szkoda jej było czasu. Oczy jej błyszczały, czytała dalej, za oknem trwał koncert cykad i co jakiś czas dziwnie i niepokojąco skrzeczały tropikalne ptaki.

"Ale - czytała dalej - przebywając ciągle w okolicach północnych natrafiłem na małe plemię, które twierdziło, że potrafi leczyć tę szczególną odmianę śpiączki. Słuchałem więc, co mówili.

Twierdzili, że choroba ta może być wyleczona przez korzenie rośliny paya. Znając ich zamiłowanie do ziołolecznictwa, nie byłem do tego nastawiony tak sceptycznie, jak niektórzy moi koledzy. Znana jest przecież na całym świecie chinina, robiona z kory drzewa chinowego, a odkryta przez plemiona Indian. Czyż plemiona pierwotne nie odkryły wielu innych lekarstw: węgla drzewnego, benzoesu, ipekakuany? Plemiona pierwotne miały też szarlatańskie sposoby leczenia, co również było znane".

Nadine przerwała na chwilę, serce zaczęło jej bić mocniej, zbliżała się do najistotniejszej części notatek. Zacząła czytać dalej.

"Zbadałem ten korzeń" - pisał - i odkryłem na nim spowodowane przez wilgoć bardzo małe grzybki. Tubylcy miażdżą cały korzeń i podają swoim chorym. Zrobiłem doświadczenia na myszach w moim laboratorium. Wszczepiłem im wirus choroby i udało mi się je wyleczyć. Wciąż próbuję oddzielić specy-

ficzny alkaloid z korzenia, który leczy chorobę. Nie wypróbowałem jeszcze tej kuracji na żadnym z tubylców, ponieważ na szczęście epidemia tej odmiany śpiączki zdarza się bardzo rzadko, występuje mniej więcej raz na dziesięć lat. Mam nadzieję kontynuować badania, gdy będę miał więcej czasu".

To było wszystko.

Nadine gwałtownie odgarnęła włosy. W duchu przeklinała teraz siebie za bezmyślność. Jak mogła tak długo trzymać te notatki! O czym ona, do licha, myślała? Na szczęście ta odmiana śpiączki zdarza się raz na dziesięć lat, jak pisał jej ojciec. To musi być pierwszy jej wybuch od... od kiedy? Od jego śmierci? Czy to była choroba, na którą umarł? Czy nie mógł sam się wyleczyć?

Zaczęła chodzić dookoła pokoju. Tego nigdy się nie dowie. Może opuścił plemię, które znało sposób leczenia tej choroby, może nie mógł znaleźć tej rośliny, może, może... jej wyobraźnia działała na przyspieszonych obrotach. Ale co miała robić teraz? Pokazać to Charlesowi? Co on mógł zrobić? Nie miał przecież tej rośliny.

Gdy tak chodziła w tę i z powrotem, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Podeszła do krzesła i usiadła oddychając głęboko; gdyby mogła zdobyć tę roślinę, zrobić badania i wypróbować to lekarstwo. Charles miał białe myszy w laboratorium, prowadził przecież badania jeszcze przed chorobą Margaret. Gdyby tylko mogła dalej kontynuować doświadczenia ojca!

Weszła do laboratorium i zabrała się do pracy. Znalazła probówkę zawierającą wirus, który wywoływał śpiączkę. Wszczepiła go dwóm myszom i odsunęła się na bok.

"Teraz - powiedziała do siebie - wyleczę was i matkę przełożoną".

Cicho wyszła na korytarz. Ktoś musiał pomóc jej odnaleźć tę roślinę. Może Amanda albo Joe. Ale oni teraz już spali.

Siostra Dolores przechodziła właśnie przez korytarz i widząc Nadine zatrzymała się zdziwiona.

- Cii... - dała jej znak Nadine. - Siostro, chodź ze mna na moment.

Zaskoczona zakonnica poszła za nią. Weszły do pokoju, a Nadine szybko przeczytała jej ważniejsze części notatek ojca.

- Powiedz mi, siostrze - powiedziała w korlcu. - Znasz przecież tropik, czy umiałabyś rozpoznać tę roślinę?

- Chyba tak - odpowiedziała trochę niepewnym głosem.

- Czy pomożesz mi w odnalezieniu jej?

- Teraz? Mam iść w nocy do lasu?

- Pójdziemy razem.

- Muszę zapytać o pozwolenie siostrę Annę.

- Nie - powiedziała Nadine. - Nikt nie może o tym wiedzieć - na razie. Chodź ze mną. Na moja odpowiedzialność. To rozkaz - zakończyła.

Siostra Dolores spojrzała na nią trochę przerażona, ale w końcu zgodziła się.

- Dobrze. Więc chodźmy.

Nadine wzięła latarkę, dwie kobiety przeszły cicho korytarzem i wyszły w ciemność nocy. Teraz dżungla ożywała, dla zwierząt był to czas polowania. Nadine zatrzymała się.

- Nie - powiedziała. - Nie mogę cię zmuszać, siostrze. Możemy wrócić i zaczekamy do rana.

- Nie, przecież tu chodzi o czas, prawda? - odparła spokojnie.

-Tak.

- Chodźmy. Bóg ochroni nas - powiedziała na wpuł do siebie.

Biegły wzdłuż wyrębu lasu. Zatrzymały się przy drzewach niedaleko uspiónej wioski. Światło księżyca oświetlało teren tu i ówdzie, ale w głębi lasu było ciemno. Nadine zapaliła latarkę i dalej szły trzymając się za ręce. Ptaki przelatywały nad ich głowami, słyhać było przytłumione odgłosy nocnego polowania, gdzieś w oddali zaryczało zwierzę. Nadine zadrżała, a siostra Dolores uspokoiła ją:

- Nie trzeba się bać tego odgłosu. Kiedy zwierzę zaryczy blisko nas... - zamilkła - zejdziemy ze ścieżki.

Nadine nabrała powietrza i starała się opanować strach, cały czas idąc za siostrą Dolores.

- Nie powinnam cię zabierać - wyrzucała sobie głośno. Zastanawiała się, jak ta dziewczyna może cokolwiek zobaczyć w takich ciemnościach.

W odpowiedzi siostra Dolores rzekła:

- Ta roślina - paya - rośnie zwykle pod najwyższymi drzewami, ale dlaczego o tym wszystkim nie może wiedzieć doktor Martin?

- Ponieważ... - Nadine zawahała się. - Trudno mi to wytłumaczyć. Po prostu muszę postawić go przed faktem dokonanym.

- Jest! Znalazłam! Tu rośnie ta roślina - wskazała palcem.

Nadine poświeciła latarką i ujrzęły małą roślinę z grubymi liśćmi. Poczowała mocniejsze uderzenie serca.

- Mogłyśmy zabrać ze sobą łopatę - zauważyła siostra, gdy Nadine schylała się, próbując wyciągnąć roślinę z ziemi.

Dolores obserwowała jej wysiłki, które kończyły się ciągłymi niepowodzeniami. Nadine ciągnęła i szarpała, ale nie mogła dać rady mocno zakorzenionej roślinie. W końcu usiadła zrezygnowana. Zapanowała cisza.

- Czy to naprawdę wyleczy matkę przełożoną? - zapytała z niedowierzaniem w głosie siostra Dolores.

- Musi - odparła zdecydowanie Nadine. - To musi jej pomóc. Zakonnica zakasała rękawy, uklękła i zaczęła swymi pięknymi dłońmi, tak długo chronionymi w tropiku, razem z Nadine kopać ziemię. Po kilku minutach trzymały już w rękach roślinę z korzeniem. Wstały i nagle usłyszały dziwny szelest za plecami. Ujrzały coś czarnego, przesuającego się całkiem blisko nich i usłyszały groźny pomruk. Skamieniały z przerażenia, po chwili zwierzę odeszło, a one mogły uciec.

Przedzierały się przez groźną dżunglę spowitą w ciemność, ocierały się o ciernie, a naokoło słychać było skrzeczenie ptactwa. W końcu znalazły się na skraju tropikalnego lasu, ale wciąż jeszcze przestraszone bieging na oślep.

Zatrzymały się dopiero przy chacie sióstr.

- Muszę wejść do środka i umyć się - powiedziała siostra Dolores.

- Tak. Koniecznie. Jeśli siostra Anna pytałaby się, gdzie byłaś, powiedz, że mi pomagałaś. Dziękuję, siostró.

Nadine była wciąż zadyszana, starała się zwolnić oddech, a gdy tylko była już w laboratorium, niezwłocznie zaczęła przyglądać się korzeniowi rośliny z widocznymi małymi grzybami. Przez moment zaczęła wątpić.

"Jak coś takiego może być lekarstwem na śmiertelną chorobę? Może to wszystkie zapiski ojca są bez sensu?"

Zabrała się do pracy. "Jeśli nachodzą cię wątpliwości - myślała - zacznij działać".

Pracowała całą noc. Było bardzo gorąco i duszno. Czuła, że cała jest oblepiona potem, co chwilę wycierała czoło. Pracowała szybko, zachowując metodykę badań, sprawdzała w praktyce swoją własną teorię. Dopiero o świcie postanowiła prześpać się choć kilka godzin.

Wschodzące słońce oświeśliło wioskę - wydawało się, że wszystko tonie w purpurze, bardzo szybko chłód świtu zniknął bez śladu i znowu zaczął się duszny dzień.

Margaret czuła się coraz słabsza. Widziała siostrę Mary, która klęczała przy jej łóżku, obserwowała jej usta poruszające się bezgłośnie.

Z korytarza dochodził głos Charlesa:

- Doktor Phillips, czy idziesz teraz na dyżur, czy gdzie indziej?

- Idę zajrzeć do matki przełożonej - brzmiała odpowiedź" Nadine.

- Jest chyba bardzo zmęczona - wywnioskowała z jej głosu Margaret, a Charles powiedział to głośnie:

- Wyglądasz jak z krzyża zdjęta. Czy nie mogłaś zasnąć? - A po chwili łagodniejszym tonem: - Jesteś zmęczona, prawda?

Nadine weszła do pokoju. Margaret przyjrzała jej się dokładnie i była zaskoczona jej wyglądem. Pod oczami miała sine zakola. Wyglądała, jakby się ledwie trzymała na nogach. Podeszła do łóżka chorej i spytała z troską w głosie:

- Jak się czujesz, matko?

Margaret podniosła się, by usiąść.

- Całkiem dobrze - powiedziała tak głośno, jak tylko mogła.
- Natomiast pani stanowczo za mało spała. Co się stało?
 - Nic - odparła Nadine uśmiechając się.
 - Nie wierzę - stanowczo odpowiedziała Margaret.
 - Nie mogę teraz powiedzieć. Skończę za dzień lub dwa.

Uśmiechnęła się i wyszła z pokoju wprawiając Margaret w stan zakłopotania.

Siostra Mary podeszła do niej i delikatnie ją umyła.

- Teraz śniadanie - powiedziała. - Zjesz coś matko, prawda?

Margaret zmusiła się, by przełknąć kanapkę i zmęczona upadła na łóżko. Jej myśli, jak to już często bywało, pobiegły do zielonych okolic otaczających rodzinny konwikt, który tak kochała.

Nagle ktoś nieśmiało otworzył drzwi i Margaret z trudem uświadomiła sobie, gdzie jest.

- Matko przełożona - powiedziała siostra Dolores podekscytowana - mamy dla ciebie niespodziankę. Ktoś przyjechał cię odwiedzić.

Margaret przyglądała się dziewczynie, gdy ta podchodziła do łóżka.

- Twoje ręce! - zawołała zaskoczona. - Co się stało z twoimi dłońmi? Widziałam, przez ostatnie kilka dni nosiłaś rękawiczki. Nie pamiętam ile dni, ale... - głos jej osłabł.

Siostra Dolores miała ręce podrapane, pełne strupów, z paznokciami, które były połamane. Schowała je więc do tyłu i odparła trochę zakłopotana:

- Zapomniałam rękawiczek. - I zaraz zmieniła temat. - Matko przełożona, przyjechał ojciec John z misji na południu. - Po tych słowach wyszła z pokoju, a za nią siostra Mary.

Ojciec John był niskim staruszką. Stanął przy łóżku i nachylił się nad nią. Miał łagodną twarz i oczy pełne życzliwości.

- Moje dziecko - powiedział - cieszę się, że posłałaś po mnie.

Margaret spytała zdziwiona:

- Tak szybko przyjechałeś, ojczu?

Uśmiechnął się.

- Twój przyjaciel Steve Grant jest dobrym kierowcą - przysunął sobie krzesło bliżej łóżka. - Co chciałaś mi powiedzieć, moje drogie dziecko?.

Margaret zaczęła opowiadać. Mówiła o buncie, który spowodował w niej wewnętrzny konflikt.

- Zastanawiałam się, czy dobrze zrobiłam, że tu pracowałam, zastanawiałam się nawet, czy nie straciłam mojego powołania - powiedziała.

- Wszyscy czasami jesteśmy w podobnej sytuacji - powiedział. - Wszyscy przeżywamy czasami jakieś wewnętrzne walki. - Margaret wiedziała, że ten człowiek ją rozumie. - Ale w końcu odkrywamy, że warto było podjąć trud walki. Bo wtedy stajemy się silniejsi.

- Czy jest jakaś przyszłość dla mnie na ziemi? - zapytała cicho. - Wydaje mi się, że kończy się już tutaj mój czas - odpowiedziała z rezygnacją.

- Cii - szepnął. - Nasze życie jest w rękach Boga. - Zamknęła oczy i słuchała, jak odmawiał modlitwę.

- Zostań w pokoju.

Nagle usłyszeli głosy charakterystyczne dla tubylców, a po chwili dołączyło ich jeszcze więcej, tworząc chór. Mieszkańcy wioski śpiewali psalm, którego nauczyła ich siostra Jadwiga "Boże, mój Pasterzu".

Margaret nie mogła powstrzymać łez napływających do jej oczu, a stary misjonarz patrzył na nią ze współczuciem. Płakała ze wzruszenia nad dobrocią kryjącą się w sercach ludzkich, płakała słuchając spontanicznej modlitwy ludzi, wśród których żyła przez ostatnie kilka miesięcy.

Słuchała ich głosów pełnych żarliwości i wiedziała, że oni również nie mogli powstrzymać łez.

"Ale łzy mają moc oczyszczającą" - pomyślała i uśmiechnęła się.

ROZDZIAŁ VIII

W laboratorium Nadine natknęła się na Charlesa.

- Udało się, Charles! Zrobiłam to! - wykrzyknęła podekscytowana.

Wziął od niej notatki i po chwili spojrzał na nią. Wyglądała, jak gdyby od kilku dni nie myła się i nie przebierała.

- Powtórz to jeszcze raz - powiedział. - Przypuszczam, że to są badania twego ojca - przebiegł oczami po zapisanych kartkach. - Znalazłaś tę roślinę, prawda?

- Tak - przytaknęła, wzdrygając się na wspomnienie nocnej wyprawy do dżungli.

- Pracowałaś codziennie w szpitalu, jednocześnie wykonując badania? Kiedy? Nocami?

- Udawało mi się też trochę spać.

Chrząknął.

- Niezbyt dużo. Widać to gołym okiem.

- Było mało czasu. Nie mogłam sobie pozwolić na grzebanie się. To nie było zbyt skomplikowane, wystarczyło tylko kierować się wskazówkami ojca. Zaszczepiłam myszom wirus śpiączki, a potem zmiażdżyłam korzeń, i podałam im. Wyzdrowiały w ciągu trzech dni.

Zbliżył się do klatki z myszami stojącej w rogu.

- W tym samym czasie - mówiła dalej - próbowałam odkryć, który składnik korzenia jest odpowiedzialny za wyleczenie. Przypuszczałam, że to ten grzyb i okazało się, że miałam rację.

Obrócił się, by spojrzeć na nią.

- Jak tego dowiodłaś?

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Odbywałam praktykę przez jakiś czas w szpitalu w Londynie, w którym prowadził badania profesor Aleksander Fleming. Robiłam dość dokładne badania dotyczące penicyliny, interesowało mnie to. Przystudiowałam wszystko, co może mieć z nią coś wspólnego.

- Robiłaś badania?

- Tak. Pracowałam po prostu metoda Fleminga. To nie było skomplikowane. Zrobiłam kulturę pleśni i zostawiłam ją na kilka dni, potem wszczepiłam myszom w różnych dawkach. Wyzdrowiały w ciągu dwudziestu czterech godzin, wystarczała tego bardzo mała ilość.

Charles spojrzął przed siebie.

- Tak, ale podanie tego człowiekowi jest wciąż ryzykowane.

- Nic innego nie jesteśmy w stanie zrobić, prawda?

- Zgadza się.

- Więc nie mamy innego wyjścia. Kiedyś i tak trzeba będzie to wypróbować, wiesz o tym.

- Tak, ale zwykle taką próbę poprzedzają długie i intensywne badania.

- Nie mamy na to czasu, Charles.

- Tak. Nie myśl, że pomniejszam wartość tego, co zrobiłaś, Nadine. To jest naprawdę dobra robota, powinnaś dalej zająć się badaniami.

Nadine rozpromieniła się słysząc, że docenia jej pracę.

- Więc wypróbujemy to?

- Nie mamy żadnego wyboru. - Zaczął chodzić po laboratorium. - Więc ustaliliśmy... - przerwał. - Chodźmy. Czy jest tego wystarczająco dużo dla wszystkich chorych?

- Jeszcze nie.

- Więc musimy wybrać kogoś na pierwszy raz.

- Zapytajmy najpierw matkę przełożoną.

- Zgoda. - Wyszli z laboratorium.

Był ranek. Z jadalni dochodziły stłumione głosy ojca Johna i Steva. Nadine przyłapała się na tym, że próbuje wyłapać każde słowo, zdziwiły ją własne myśli przed tak ważną dla nich wszystkich rozmową z Margaret.

Charles zbadał jej puls, była osłabiona i należało się spodziewać, że będzie coraz słabsza, aż stanie się całkowicie sparaliżowana. A potem już nie będzie nadziei. Znali okrutny koniec choroby.

- Matko przełożona - odezwał się Charles - mamy tu nowe lekarstwo. Nadine pracowała nad nim przez ostatnie kilka dni, a raczej nocy. Myślimy, że jest skuteczne, ale nie było jeszcze wypróbowane w żadnym szpitalu, nie podano go jeszcze żadnemu człowiekowi.

- Tylko zwierzętom - wtrąciła Nadine.

- Czy chciałabyś być, matko, pierwszą, której podamy to lekarstwo, czy wypróbować je raczej na kimś innym?

- Jeśli to ma pomóc innym, to chcę być ta pierwsza.

- Jeśli to źle działa, może nastąpić pogorszenie - ostrzegł ją.

- Moje życie jest w rękach Boga - odparła spokojnie.

Charles wstrzyknął jej lekarstwo i zwracając się do siostry Mary powiedział:

- Następne godziny będą decydujące, proszę mnie zawiadomić, jeśli pojawi się choćby minimalna zmiana. Czy nie nadeszła pora twego odpoczynku, siostrze?

Siostra Mary spuściła głowę. Bardzo pragnęła właśnie teraz opiekować się chorą, właśnie w tym najważniejszym momencie życia lub śmierci. Tak bardzo chciała być przy matce przełożonej. Podniosła głowę.

- Czuję się dobrze, doktorze - powiedziała spokojnie. - Zostanę przy niej. - I znów spuściła głowę, ponieważ nie chciała spotkać oczu Margaret.

Charles i Nadine wyszli z pokoju i udali się do laboratorium. Spojrzeli na stojące w rogu preparaty i Charles powiedział cicho:

- Zdejmij fartuch i idź trochę odpocząć. Właściwie to nie spałaś przez kilka tygodni.

- Nie teraz - obruszyła się. - Nie mogę spać, kiedy rozstrzygają się losy Margaret. Wydaje mi się, że potrzebujemy więcej roślin. Jeśli wszystko się powiedzie, musimy przygotować lekarstwo dla wszystkich.

- To nie potrwa długo - powiedział. - Teraz, kiedy już znalazłaś sposób... - obrócił się twarzą do niej. - Naprawdę jestem z ciebie bardzo dumny, zrobiłaś kawał dobrej roboty. Teraz pozostaje nam mieć nadzieję.

- Tak. Właśnie nadzieję... i jeszcze moje modlitwy... - tu głos się jej nagle załamał. - Cokolwiek, byleby Margaret mogła żyć.

Położył jej ręce na ramionach, a ona westchnęła.

- Gdzie się podziała - zastanawiał się głośno - ta zimna, cyniczna doktor Phillips?

Czuła ciepło dłoni Charlesa na swoich ramionach, patrzył jej w oczy tak jakoś głęboko...

- Tak, rzeczywiście odeszła - powiedziała, sama zdziwiona tym odkryciem.

- Zastanawiam się, czy kiedykolwiek była? - uśmiechnął się.

- Niższe formy życia - takie jak ślimaki - budują coś w rodzaju ochrony.

- A jeżeli ta ochrona zostanie zniszczona? - Uniósł brew.

- Wtedy ślimak jest całkiem bezbronny.

Nic nie powiedział, tylko przyciągnął ją do siebie. Cała przytuliła się do niego, a potem nagle odsunęła się.

- Za dużo mówię - powiedziała trochę zmieszana - ale to dlatego, że jestem bardzo zmęczona. Nie powinniśmy żartować, gdy Margaret walczy o życie.

- Śmiech może być też świetną samoobroną, ale proszę, odpocznij. Idź spać. - Nachylił się i lekko ją pocałował.

- Najpierw muszę wszystko uporządkować. - Zebrała rozłożone notatki.

- Mieliśmy szczęście, że badania twojego ojca dotyczyły akurat tej szczególnej odmiany śpiączki, prawda?

Spojrzała bezwiednie na kartki leżące na stole. Charles zbliżył się i widziała, jak przegląda je jakby od niechcienia, a później z coraz to większym zainteresowaniem.

- Tutaj - powiedział zaskoczony - są wszystkie odkrycia związane ze śpiączką.

-Tak.

Obrócił się do niej.

-I to wszystko zrobił twój ojciec.

- Tak, Charles.

-I ty miałaś te notatki -jak długo? Kilka lat?

- Widzisz... - przerwała.

Poczuła, że jest zbyt zmęczona, by mu to sensownie wytłumaczyć. Wydawało się jej to zbędne. Nie zdawała sobie sprawy, ile znaczą te notatki, ale przecież nikt nie był w stanie uświadomić sobie, jaką naprawdę miały wartość. Trzeba było dopiero tu przyjechać i zobaczyć śmiertelnie chorych ludzi... Za sprawą tych kilkunastu kartek można było uratować człowieka. To było to, z czego nie zdawała sobie sprawy.

- Mam się domyślić? - zapytał.

- Domyślić się? Czego? - odparła bez życia.

- Wiedziałem to od początku. Byłaś i jesteś tylko samolubnym, małym dzieckiem. Przyznaję, że zrobiłaś dużo pracując po nocach, ale co z całością prac twojego ojca? Czy zamierzałaś coś z tym zrobić?

Spojrzała na niego i bardzo chciała mu wytłumaczyć, że nie zdawała sobie sprawy z tego, że od tych notatek zależy wiele istnień ludzkich.

- To dlatego czujesz się winna, prawda? To dlatego się oskarżasz. Nie dlatego, że powinnaś wysłać matkę przełożoną do domu, ale dlatego, że zamierzałaś wszystko trzymać w ukryciu do czasu wydania książki o twoim ojcu. Jemu nic by to nie pomogło, ale za to oczerniłabyś swoją matkę, a na tym najbardziej ci zależało. Samolubna żona opuszcza męża lekarza, skazując go na samotność.

- To nie tak, Charles, uwierz mi.

- Znowu ślimak tworzy skorupę, co? - powiedział prawie z pogardą. - Bezbronna mała dziewczynka szuka ucieczki. Tak; Nadine. Oszukiwałaś mnie od samego początku, a ja wierzyłem ci, wierzyłem we wszystkie te brednie. "Biedne, małe, osierocone dziecko" - myślałem i prawie zacząłem żałować, że wysyłałem cię do domu. Teraz dopiero widzę, jak bardzo się myliłem. Jesteś najbardziej samolubnym bachorem, jakiego kiedykolwiek przydarzyło mi się spotkać.

Patrzyła na niego nic nie mówiąc, z mocno zaciśniętymi ustami.

Wziął notatki ze stołu.

- Zabieram to - powiedział. - Trzeba ujawnić te papiery, są zbyt cenne, by medycyna o nich nie wiedziała. Wyślę kopię do Głównego Instytutu Medycyny Tropikalnej, a ty za dwa tygodnie będziesz już w Anglii.

Nie czekała na odpowiedź. Ciszę przerwało tylko zamknięcie drzwi i odgłos kroków dochodzących z korytarza. Została sama.

Wszyscy żyli w oczekiwaniu. Charles chodził z ponurą twarzą, a ludzie schodzili mu z drogi. Amanda prawie bezszelstnie krzątała się po kuchni. Siostry przechodzące koło izolatki niespokojnie patrzyły na drzwi, za którymi siostra Mary cały czas czuwała przy łóżku Margaret. Joe poszedł po tubylców z wioski i wszyscy zgromadzili się w małej kaplicy, aby prosić Boga, by odeszła od nich ta straszna choroba, która zagrażała wszystkim.

Zapadła noc, pora niespokojnego odpoczynku. Nadine włączyła światło w swoim pokoju i z napięciem patrzyła na zegarek. Cała drżała, choć tropikalna noc była duszna i upalna.

Świtało, gdy siostra Mary zbadała puls Margaret i szybko pobiegła do Charlesa.

- Jest poprawa! - wykrzyknęła zdyszana. - Puls jest silniejszy, a temperatura spada.

Charles pobiegł do pokoju Margaret.

Gdy słońce wzeszło, wszyscy wiedzieli już, że matka przełożona czuje się lepiej. Amanda śpiewała, twarz Charlesa trochę się rozjaśniła, a Nadine poszła odpocząć. Zakonnice poruszały się tak, jakby ktoś dał im skrzydła, a tubylcy tańczyli w rytm uderzeń bębnów.

- "Radość przychodzi o poranku" - zacytowała siostra Mary.

Siostra Teresa zajrzała do Margaret, aby się przywitać. - Jestem taka szczęśliwa, że wracasz do zdrowia.

- Wiem o tym.

Minał tydzień. W szpitalu wrzało jak w mrowisku. Mieszkańcy wioski radośnie wybierali się do lasu, by zebrać więcej roślin, a Nadine bez przerwy pracowała w laboratorium.

Margaret uśmiechnęła się do młodej zakonnicy.

- Czy dajecie sobie radę?

- Tak. Siostra Anna jest teraz przełożoną, ale przecież już wiesz o tym, matko. Ja zajmuję się gotowaniem, gdy siostra Mary jest przy tobie.

Pocziwa twarz siostry tryskała radością, dziewczyna była podekscytowana.

- Co ze szkołą? - zapytała Margaret. - Czy prowadzicie lekcje?

- Nie, ale teraz już otworzymy szkołę, gdy minęło niebezpieczeństwo epidemii.

- Naprawdę, to już koniec epidemii?

- Tak. Doktor Martin czeka właśnie na wiadomości od wodza z terenu Hjuba, tam to wszystko się zaczęło. Jeśli przeniosą się tutaj, a drzewa, gdzie żyje tse-tse będą wycięte, to nie będzie już zagrożenia.

- W ten sposób będziemy mieć więcej dzieci w szkole - zauważyła Margaret. Spojrzała na siostrę Mary siedzącą cicho w rogu pokoju.

- Dlaczego siostrzo nie chcesz iść pomóc siostrze Teresie? Chciałabym, żeby szkoła była otwarta tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

- Chciałbym, żebyś przestała martwić się o to wszystko, matko - dał się słyszeć głos dochodzący od strony drzwi.

- Nie martwię się, doktorze Martin - potulnie powiedziała Margaret.

Lekarz podszedł do łóżka i spojrzał na nią.

- To jest twój bilet do Anglii, matko. Spodziewałaś się tego, prawda?

- Tak - odparła spokojnie.

- Więc już nie ma sensu tak się wszystkim przejmować - powiedział badając jej puls. - Myślę, że mogłabyś wstać dziś po południu i posiedzieć trochę na werandzie. - Zwrócił się do sióstr stojących przy drzwiach - Posadźcie matkę w cieniu.

- Dobrze, doktorze - odpowiedziały jednocześnie i wszyscy wyszli.

Idąc korytarzem, nagle Charles zatrzymał się tak gwałtownie, że dwie siostry przystanąły zdziwione, by zobaczyć, co się stało. Od strony lasu zbliżała się do wioski cała gromada tubylców.

- Miał być koniec epidemii - mruknął Charles. - Poczekajcie tu chwilę, muszę zobaczyć, co się stało.

Tłum ludzi zbliżał się jak procesja. Widać było, że idący w środku mężczyzna jest ich wodzem. Charles stał spokojnie na werandzie, podczas gdy jeden z mężczyzn podszedł do niego.

- Czy doktor Martin? - zapytał.

- Tak, to ja - odparł Charles.

- Jesteśmy plemieniem z terenu Hjuba. Czy porozmawiasz z naszym wodzem?

- Oczywiście. Proszę, podejdź tu wodzu.

Rosły mężczyzna wolno podszedł na werandę, a Charles podsunął mu krzesło.

- Przebyłeś męczącą drogę, wodzu. Czy napijesz się czegoś? - zapytał, ale wódz odmówił.

- Później - odparł. - Najpierw porozmawiamy.

Mówili najpierw o nieistotnych sprawach. W końcu wódz uznał, że można już ujawnić przyczynę wizyty.

- Pytałeś, czy przenieśliśmy naszą wioskę na ten teren - powiedział.

Charles kiedyś opowiedział mu o niebezpieczeństwie życia w lesie, gdzie jest dużo much tse-tse.

- Mądrze mówiłeś - przyznał wódz. - Mam nadzieję, że siostry, które są tu, otworzą szkołę dla naszych dzieci.

- Tak, akurat są tu dwie z nich - wskazał na siostrę Mary i siostrę Teresę.

- Słyszałem również, że wódz sióstr jest chory?

- Tak, ale już wraca do zdrowia - odparł Charles. - Będzie wam tu lepiej jeszcze z innych powodów - jest tutaj szpital, gdyby ktoś z was zachorował.

- Słyszeliśmy o waszym szamanie - powiedział, a siostra Mary wycofała się spłoszona. - Czy to prawda, co o nim mówią?

- Nie - odparł Charles zmęczony. - To nieprawda. Lekarstwo przeciw śpiączce zostało odkryte przez ludy mieszkające na północy. Pracujemy razem z doktor Phillips w laboratorium nad lekarstwem - zakończył.

Wódz znowu zaczął się zastanawiać.

- Gdybyście się tu przenieśli, moglibyście chodzić do kaplicy i słuchać tego, co mówią siostry - namawiał Charles.

- Tak - przytaknął mu wódz i niespodziewanie dodał: - To nieprawdliwe, że ludzie przyjeżdżają tu, aby nam pomóc i jeszcze przez to cierpią. Przyszedłem, aby porozmawiać o naszym życiu tutaj.

- Więc tu przyjdziecie? Prawda?

- Tak - odparł wódz. - I będziemy chodzić do tej kaplicy, a nasze dzieci pošemy do szkoły. Teraz musimy już wracać.

- Zostańcie jeszcze trochę - zatrzymywał ich.

Wódz potrząsnął głową.

- Dziękujemy, ale nie. Jeśli pójdziemy teraz, może jeszcze dziś uda nam się zabrać nasze rzeczy. To nie zabierze nam dużo czasu - skłonił głowę w pożegnalnym geście i odszedł, a za nim reszta ludzi zniknęła w lesie.

Siostra Mary spytała nieśmiało.

- Czy możemy już odejść, doktorze Martin?

- Co? Tak, oczywiście. - I siostry wolno poszły w stronę chaty, gdzie siostra Teresa oznajmiła nowinę.

- Przyszli tubylcy z terenu Hjuba. Trzeba będzie otworzyć szkołę, chcą, by ich dzieci się uczyły.

Siostry słuchały w skupieniu.

- Siostrzo Mary - odezwała się zakonnica Anna. - Masz już trochę doświadczenia, sądzę, że powinnaś znowu uczyć w szkole.

- Przecież zajmuję się matką przełożoną - gorąco zaprote-stowała Mary.

- Co ze mną będzie? - zapytała siostra Teresa z cieniem rozczarowania w głosie. - Znowu będę musiała stać cały dzień przy piecu?

Zapadła cisza, a po chwili odezwała się siostra Dolores:

- Ja zajmę się gotowaniem.

Siostry spojrzały na nią zdziwione. Wszystkie wiedziały, z jakim wysiłkiem chroniła swoje piękne, białe dłonie. Wiedziały o tym, że po wyprawie do lasu nosiła rękawiczki.

Spojrzała na swoje ręce, zdjęła rękawiczki i rzuciła je w ką.

- Zajmę się gotowaniem - powtórzyła.

- Dziękuję - powiedziała cicho siostra Anna.

Siostra Mary doskonale zajmowała się Margaret, była delikatna i uważna, a jednocześnie silna i zdecydowana. Nigdy nie zdarzyło się jej być niezgrabna czy o czymś zapomnieć. Zamknęła oczy i pomodliła się, a po chwili głośno powiedziała:

- Siostra Teresa przecież może zająć się matka przełożoną. Ja otworzę szkołę.

Przez moment oczy siostry Teresy zajaśniały radością, spojrzała dla potwierdzenia na siostrę Annę.

Potem zerwała się i pobiegła do szpitala, gdzie niespodziewanie wpadła na Margaret.

- Tak się cieszę, matko przełożona. Teraz ja będę się tobą opiekowała.

Po południu siostra Teresa wystawiła krzesło na werandę.

- Teraz, jeżeli się o mnie oprzesz, matko, wyjdziemy na powietrze.

Margaret z trudem wstała.

- Dziękuję - odparła, przyjmując jej pomoc. - Będę szczęśliwa, jeśli uda się nam przejść te parę kroków.

- Na pewno - i siostra Teresa uśmiechnęła się promiennie. - Jestem szczęśliwa, że mogę ci pomóc, matko. Muszę przyznać, że myślałam się co do siostry Mary. Jest taka bezinteresowna.

Margaret uśmiechnęła się do siebie idąc powoli na werandę. Siostra Teresa usadowiła ją wygodnie na krześle, tak by mogła patrzeć na misję, chaty i drzewa otaczające wioskę. 'Teraz rozstanę się z tym wszystkim, przecież sama tego chciałam, czyż nie?' - myślała przełożona.

- Nie musisz tu siedzieć, siostró Tereso - powiedziała. - Mogę zostać sama. Przyda mi się trochę samotności. Tak, chcę być sama, przemyśleć to wszystko w spokoju.

Siostra Teresa poszła w stronę chaty, a Margaret patrzyła na wioskę i biegające dookoła misji dzieci. Kiedy ją zauważyły, podbiegły roześmiane opowiadając jej, jak cieszą się, że jest już zdrowa.

- Szkoła! - krzyczały. - Kiedy przyjdiesz matko do szkoły? Uśmiechnęła się do nich pomijając pytanie.

Mała Rea stała przed werandą z rozpromienioną twarzą, a Margaret poczuła, że serce jej się ściska. Będzie brakowało jej tego dziecka, tak samo jak brakowało jej tu dziewcząt z konwiktów. Znowu poczuła przypływ buntu, ale odepchnęła to uczucie. Czy nie powinna być wdzięczna, że żyje?

Charles przyszedł zobaczyć, czy czuje się dobrze i po chwili odszedł. Zastanawiała się, dlaczego Nadine wciąż pracuje w laboratorium, nie widziała się z nią od czasu, gdy dostała pierwszą dawkę leków. Czy było z nią coś nie w porządku?

Widać było poruszający się na werandzie cień, a za chwilę pojawił się mężczyzna.

- Jak się czujesz, siostró? - zapytał.

- O, pan Grant - odparła uradowana.

- We własnej osobie - stanął koło niej.

- Myślałam, że pan już pojechał - powiedziała.

- Jeszcze nie - usiadł naprzeciw niej. - Miałem jeszcze trochę pracy. Poszedłem spotkać się z tubylcami z terenu Hjuba.

- Och, to pan tam poszedł? Nie wiedziałam.

Zamilkli. Margaret przyglądała się wspaniałym okazom drzew.

- Jeszcze nie miałam okazji podziękować panu za sprowadzenie tu ojca Johna. - Unikała jego wzroku. - Nie widziałam pana dawno, więc myślałam, że już pan nas opuścił.

Znów zapadła cisza, niezręczna tym razem, aż po jakimś czasie przerwał ją Steve.

- Nie chciałem odchodzić stąd, nie wiedząc, czy będziesz zdrowa, siostrze.

Poczuła, że serce mocniej jej bije.

- To bardzo miło z pana strony - zadrżał jej głos.

- Nie, nie. Wcale nie jestem miły. - Obrócił się, by widzieć jej twarz.

- Słyszałem, że wracasz do Anglii.

- Obawiam się, że muszę.

- Chyba jesteś szczęśliwa? Nie chciałaś przecież tu zostać.

- Właściwie to nie wiem - powiedziała szczerze. - To prawda, że na początku nie chciałam tu być. Ale teraz... nie wiem.

Spojrzała na las.

- Widzę, że zauroczył cię Zagubiony Zakątek, nieprawdaż? Czy wrócisz tu kiedyś? - zapytał.

- Tego nie wiem. To zależy od tego, dokąd zostaną wysłana.

- Więc nie wrócisz tu, siostrze? To znaczy, że nawet jeśli bardzo chciałabyś tu przyjechać, a każą ci zostać na przykład w Anglii - to zostaniesz tam?

- Obawiam się, że tak to wygląda.

- Zakładając nawet, że bardzo chciałabyś tu przyjechać?

- Och, nie mogłabym. To znaczy nie całkiem, ja... - przerwała zmieszana i zakłopotana.

- Chciałaś powiedzieć: - "Nie, jeśli będę zakonnica", prawda?

- Panie Grant, ja...

- Przepraszam - zreflektował się. - To wszystko dlatego, że nie rozumiem tych spraw, byłoby mi bardzo przykro, gdybyśmy się już nie spotkali.

Coś ścisnęło ją za gardło.

- Moglibyśmy przecież spotkać się kiedyś w Anglii.

- Może - powiedział. - To nie miałoby żadnego sensu.

Prawda?

Nie odpowiedziała.

- Mówiałaś mi kiedyś, siostrze, że był w tobie jakiś bunt - przeciwko czemu? Przeciwko poleceniom przełożonych, przeciwko powołaniu?

Niecierpliwie poruszyła się.

- Nie powinnam była panu tego mówić. Wszyscy buntujemy się czasami przeciwko czemuś, prawda?

- To nie jest żadna odpowiedź - zauważył szorstko. - Ja wiem i ty wiesz, siostró. Nie należysz do tego typu ludzi, którzy mają uległą naturę. - Patrzył prosto w jej oczy, ona jednak unikała jego wzroku.

- Nie chciałaś tu przyjechać. Zmusiłaś się do tego, próbując dowieść, że jest w tobie poświęcenie?

- Proszę tak nie mówić! Nie chcę tego słuchać! - zaczęła krzyczeć.

- Przepraszam, nie powinienem był tego mówić. Nie mam do tego prawa.

- Nikt nie może mieć prawa do sądzenia drugiej osoby, panie Grant.

Oparł się o szczeble werandy i spojrzał na las.

- To dziwne - zadumał się. - Podróżnik, który idzie tam dokąd chce i kiedy chce i jedyna kobieta, która go kiedykolwiek obchodziła... I okazuje się być niedostępna, cóż za ironia losu.

Była wstrząśnięta, wydawało jej się, że słyszy bicie swego serca.

- Nie mam nic przeciwko - kontynuował - jeżeli wiem, że jesteś szczęśliwa, ale tego nie jestem pewien. I to jest to, co mnie martwi. Nie rób niczego, czego byś żałowała - powiedział. Podszedł i wyciągnął dłoń na pożegnanie. - Myślę, że jeszcze się zobaczymy, nim wyruszę. Do widzenia.

- Do widzenia, panie Grant.

Długie lata posłuszeństwa pomogły jej. Uścisnęła jego dłoń zdecydowanie, nie patrząc na niego. Steve Grant odszedł zamysłony.

Została sama. Spojrzała na wioskę i las. Słońce chyliło się ku zachodowi, a zwierzęta przygotowywały się do nocnego życia.

Obserwowała, jak słońce zmienia swoje barwy od czerwieni poprzez pomarańcz i złoto, a drzewa stają się ciemne i bezkształtne na tle nieba.

Zacząła się zastanawiać. Było w niej tyle sprzeciwu, nie chciała tu być, aż... aż do kiedy? Kiedy to się zmieniło? Nadine powiedziała jej, żeby wracała, a ona odmówiła. Pamiętała dokładnie, kiedy to było. Wtedy, gdy zaczęła się budowa misji. "Światło w ciemności" - powiedziała Stevowi Grantowi. Wtedy właśnie go spotkała.

Zadrżała nagle. Przypomniały jej się słowa, które wypowiedziała do Nadine: "Powinnaś pozostać z człowiekiem, którego kochasz".

Obserwowała, jak słońce zachodziło na tle lasu. Uświadomiła sobie, że siostra Teresa zapomniała o niej. Zapadał zmrok, zbliżała się tropikalna noc. Odkryła, że osiągnęła szczyt czegoś, co zaczęło się, gdy przyjechała do Afryki. Kiedy jej pierwsze buntownicze myśli oddzieliły ją od reszty sióstr. Czy mogłaby żyć tak po prostu jak zwykła kobieta? - zastanawiała się. Kochać i być kochana...

ROZDZIAŁ IX

Zapadł zmrok, ziemię złociły ostatnie promienie zachodzącego słońca. Gdzieś w oddali słychać było ryk lwa. Nadine przysłała na werandę.

- Matka przełożona? - zdziwiła się. - Wciąż jeszcze tu siedzisz? Chyba już czas, byś poszła do łóżka.

- Tak. - Margaret z trudem wstała. - Właśnie chciałam wracać. Mogę iść bez pomocy.

- Oprzyj się o moje ramię, tak na wszelki wypadek - zaproponowała Nadine i poszły wolno do małego pokoju w końcu korytarza. Margaret usiadła na krześle przy oknie.

- Pójdę poszukać siostry Teresy - zaproponowała Nadine.

Margaret wykonała przeczący ruch dłonią.

- Nie trzeba. Naprawdę czuję się dobrze. - Spojrzała na bladą twarz dziewczyny, na cienie pod jej oczami i powiedziała: - Porozmawiajmy, proszę, niech pani usiądzie.

Nadine uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nie dowiedziała się pani nic o swoim ojcu, prawda?

- Nie udało mi się - powiedziała z rezygnacją w głosie. - Charles poradził mi, by napisać do matki i spytać ją o ojca. Ona przyleci tu za parę dni, by zobaczyć się ze mną.

- Chyba cieszy się pani?

- Właściwie to już nie zależy mi na tym. Nawet nie chciałybym się z nią spotkać. Wolałabym wracać tydzień wcześniej z tobą, siostrzo Margaret.

- Naprawdę pani wyjeżdża?

- Muszę.

- Przykro mi.

- Nie trzeba mi współczuć - powiedziała ostro. - To moja wina. Całe lata bezmyślnie trzymałam w ukryciu notatki mojego ojca. Teraz Charles, kiedy się o tym dowiedział, traktuje mnie jak potwora.

- To tylko jego pierwsza reakcja - powiedziała Margaret.

Nadine spojrzała na nią.

- Skąd wiesz? Jesteś tego pewna?

- Mogła pani być bezmyślna, ale na pewno nie ma pani w sobie nic z potwora.

- Gdyby choć część ludzi rozumowała jak siostra, o ile świat byłby lepszy... Chciałam zostać lekarzem, by móc przyjechać do mojego ojca i pomagać mu. Ale on umarł, więc postanowiłam, że pójdę w jego ślady, dokończę to, co on zaczął i uczynię go sławnym. Nie pomyślałam, że jemu mogło nie zależeć na sławie - westchnęła. - Tak, nie ujawniałam tych notatek, ale jak teraz mam wytłumaczyć Charlesowi, że nie byłam wyrachowana, tylko po prostu bezmyślna.

- A może to on czasami jest bezmyślny - powiedziała Margaret cicho.

- Och, nie! - wykrzyknęła Nadine i obie zaśmiały się z siły tego zaprzeczenia.

- Tak, chciałam, by mój ojciec był sławny - kontynuowała poruszona Nadine. - Ale nie po to, jak sądzi Charles, by zranić moją matkę, choć do tej pory czuję do niej niechęć.

- Nie powinnaś nosić w sobie urazy do matki - łagodnie powiedziała Margaret.

- Sądziłam, że jej obowiązkiem było zostać przy ojcu. - Drżała, z trudem powstrzymując płacz.

- Niech pani tak nie mówi. Obowiązek... - starała się, by jej twarz była niewzruszona. - Jestem pewna, że kiedy zobaczy się pani z matką, wszystko się wyjaśni i ułoży.

Nadine niespokojnie chodziła po pokoju.

- Zdawałoby się, taka zimna i opanowana, wszystkowiedząca, a wygląda na to, że zrobiłam wokół siebie sporo szumu - powiedziała. - A ty, siostrzo?

-Ja?

- Tak. Radziłam ci, byś wróciła do Anglii. Jeżeli wysłałabym cię do kraju, nie byłabyś chora.

- Nonsens. Pani wybaczy, ale to była moja decyzja.

- Rozmawialiśmy z Charlesem o tym, ile dobrego tu siostra zrobiła.

- Tak? - w głosie Margaret brzmiała jakaś obca nuta, ale Nadine nie zauważyła tego.

- Tak. Zbudowałaś misję, doprowadziłaś do przyjazdu biskupa, otworzyłaś szkołę. Wszystko to dzięki tobie, byłaś motorem tego wszystkiego. Tak mówił również Charles.

Margaret siedziała całkiem spokojnie z założonymi rękami.

- Zastanawiam się - powiedziała - czy mogłabym pójść do kaplicy na pół godziny.

- Nie widzę przeszkód, ale nie dłużej niż pół godziny. Ciągłe jesteś bardzo wyczerpana, dlatego więcej czasu spędzaj w łóżku.

Wyszły razem. W kaplicy było prawie ciemno. Zza uchylonych drzwi dochodziło blade światło księżyca. Słysząc było koncert cykad i odgłosy ptactwa, gdzieś w oddali ryczał lew. W kaplicy unosił się duszny zapach pyłku kwiatów i parującej ziemi.

- Przeczuwałam to wszystko - wyszeptała Margaret - dlatego nie chciałam tu przyjechać. Czułam, że coś się wydarzy... Gdybym została w domu, byłabym bezpieczna... i spokojnie żyła, w samym sercu Anglii. Codziennie słyszałabym bicie dzwonów. Nigdy nie poznałabym Afryki, i nie spotkałabym tutaj mężczyzny, który tak niespodziewanie wszedł w moje życie...

Czy mogła zawrócić? Teraz?

Spojrzała na niewielki ołtarz, ozdobiony przez siostrę Mary kwiatami chabru i groszku. Nie było tu jaskrawych, leśnych orchidei i lilii o dziwacznych kształtach.

"Niektóre siostry występują z zakonu - myślała. - Nie jest to zabronione. Wystarczyłoby tylko odejść, choćby jutro". Kogo mogłaby zranić? Doktor Martin - zareagowałby śmiechem. Nadine byłaby zdziwiona. Ona teraz ma zdecydować o swoim życiu: wyjść za mąż lub stać się cyniczną, rozgoryczoną kobietą...

"Ale ona, w przeciwieństwie do mnie, jest odpowiedzialna za siebie". A siostry? Miała je przecież pod swoją opieką. Siostra Jadwiga - widziała już wiele cierpienia, chyba nie

zrozumiałyby, ale na pewno by wybaczyła. Anna i Dolores byłyby zaskoczone, ale nie sprawiłyby mi przykrości. Siostra Mary? Nigdy by tego nie zrozumiała - Margaret nie miała co do tego wątpliwości, na pewno by płakała, ale przecież w niej było tyle siły. Siostra Teresa?

Margaret patrzyła intensywnie w stronę małego ołtarza.

"Dlaczego? - zapytała. - Boże, dlaczego akurat ją tutaj wysłałeś?"

Przypomniała sobie oszołomienie i zakłopotanie dziewczyny, kiedy coś działo się nie po jej myśli. Tak pełna życia siostra Teresa będzie z nich wszystkich najbardziej zraniona.

Słowa Nadine dźwięczały w uszach Margaret jak echo: "Zbudowałaś misję, doprowadziłaś do przyjazdu biskupa, otworzyłaś szkołę, ty byłaś motorem tego wszystkiego".

Ojciec Bernard: "Tu, w Anglii może cię ktoś zastąpić... Tam, w Waseke jesteś potrzebna".

Matka generalna: "Czasami nie widać efektów tego, co robimy, ale jest sens, zapewniam cię..."

Zakryła rękami uszy, by nie słyszeć tych głosów.

- Nie! - krzyknęła. - Nie, nie... Dlaczego to musiało się przytrafić akurat mnie?

"Ponieważ twoim obowiązkiem było przyjechać tu".

"Dalej będziesz wykonywała swoje obowiązki".

"Nie byłabyś szczęśliwa, gdybyś zostawiła coś niedokończonego".

"Nie ty, bo nosisz w sobie tą małą rzecz zwaną sumieniem".

Zakryła twarz dłońmi, czuła, że ból rozrywa jej ciało, zaczęła płakać...

Nigdy jeszcze nie było jej tak ciężko i wiedziała, że to, co przeżywała, już nigdy więcej nie powtórzy się. W jednym momencie odczuła całą kobiecość roztaczającą się od matki u stóp Krzyża, do najbliższych dziewcząt stojących na rogach ulic. Słyszała, jak ich głosy wypełniają wieczność. "Dlaczego muszę stracić tego jedyne, którego pokochałam?" - wołało w niej.

Kiedy uniosła głowę, wiedziała już, że walka jest poza nią. Czowała w sobie siłę, której nigdy dotąd nie miała. Po pół godziny siostra Teresa stanęła nieśmiało w drzwiach. Margaret wstała.

- Możemy już iść" - powiedziała spokojnie.

Siostra Teresa była zakłopotana.

- Nie przyszedłam po ciebie na werandę, matko. Zapomniałam. Przepraszam - powiedziała cicho. - Doktor Phillips powiedziała mi, gdzie jesteś.

Margaret oparła się o ramię dziewczyny.

- Byłaś nieuważna - skracila ją tonem przełożonej. - Ale potrzebowałam samotności. Zrobiłaś mi wielką przysługę, siostrzo Tereso.

Szły powoli, a dziewczyna nie mogła spuścić z niej wzroku, w którym było tyle zdziwienia, co i zaskoczenia.

Walizki stały spakowane. Samochód miał przyjechać o drugiej. Siostra Anna zaproponowała, aby odwieźć ją na lotnisko. Margaret poleci do Angli na rekonwalescencję, a następnie pojedzie tam, dokąd skieruje ją matka generalna.

Stała na werandzie, gdy podszedł Steve Grant.

- Więc jedziesz już, siostrzo? - spytał.

- Tak. - Jej głos był spokojny.

Spojrzał na nią.

- Przeżyłam ciężkie chwile - przyznała. - Nawet zastanawiałam się, czy to nie koniec mojego powołania, czy nie powinienam wystąpić z zakonu. Ale teraz już wiem, co mam robić.

- Tak? - jego głos był beznamiętny.

- Tak - uśmiechnęła się promiennie. - To, co się zdarzyło, było moim przeznaczeniem.

Spojrzała na niego. Zobaczył w jej oczach spokój, łagodność i cichą radość.

- Trzeba podążać za swoim przeznaczeniem, prawda, panie Grant? Trzeba bronić wewnętrznego spokoju w nas, nawet, jeśli to oznacza utratę cennych dla nas rzeczy.

Nie odpowiedział, a ona mówiła dalej.

- Nigdy pana nie zapomnę, panie Grant. Był pan dla nas bliskim przyjacielem.

Podszedł do nich Charles i Steve wyciągnął rękę na pożegnanie.

- A zatem, do widzenia - powiedział.

- Do widzenia, panie Grant.

Patrzyła za nim gdy odchodził.

- Będzie nam ciebie brakowało, matko przełożona - prze-rwał jej myśli głos Charlesa. Margaret ostrożnie, dobierając słowa, powiedziała:

- Czy pamięta pan, doktorze, naszą pierwszą noc tutaj?

- Tak - zmieszał się.

- Kiedy przysłałam do szpitala i prosiłam pana, by poradził nam pan coś na szczury?

- Do licha - zmierzwił sobie włosy - na śmierć zapomniałem o tym.

- Bardzo łatwo jest zapomnieć, doktorze Martin. Niech pan o tym nie zapomina, bardzo proszę.

Patrzył na nią zaskoczony.

- Właściwie... - zaciął się. - Przykro mi...

- Ma pan tyle spraw na głowie - powiedziała łagodnie. - Wydaje mi się, że ma pan też trochę kłopotów z doktor Phillips, prawda? Płacze po nocach... Wie pan doktorze, wydaje mi się, że jest nieszczęśliwa...

Spojrzał na nią podejrzliwie, ale ona była spokojna.

- Jest już siostra Anna - powiedziała, widząc zbliżający się samochód. - Do widzenia, doktorze Martin.

Wtedy podeszła Nadine z siostrami. Podjechał jeep z siostrą Anną za kierownicą i Margaret wsiadła do środka. Siostry długo machały, ale matka przełożona ani razu nie obejrzała się. Zostali sami, a obecność Steva wyrwała ich z odrętwienia.

- Co tu robisz? - zawołał zaskoczony Charles.

Steve stał przed nimi, dźwigając swój plecak.

- Teraz naprawdę już odchodzę - oznajmił.

- Dokąd wyruszasz?

- Przed siebie.

- Ale nie masz pieniędzy, przecież planowałeś...

Steve wzruszył ramionami.

- Po prostu idę przed siebie - powtórzył i uśmiechnął się nieznacznie. - Do widzenia wszystkim.

Odszedł tak cicho i niepostrzeżenie, jak się zjawił, a oni patrzyli w milczeniu, jak jego postać malała, aż w końcu zlała się z drzewami i zniknęła bez śladu.

Gdy minęło już zagrożenie epidemii, szpital wydawał się dziwnie pusty i cichy. Było trochę chorych, którzy przychodzili do nich, ale to było normalne.

Szkoła pełna była tubylców, siostra Mary miała bardzo dużo pracy, ale dziękowała Bogu za ten trud, ciesząc się z każdego dnia. Co niedzielę tubylcy gromadzili się w zatłoczonej małej kaplicy, a siostra Anna, jak przedtem Margaret, opowiadała im o Bogu.

"Dołączy do Was nowa siostra - pisała matka generalna - Przyda Wam się pomoc". I tak życie toczyło się dalej.

Nadine i Charles siedzieli w małej, słonecznej jadalni, gdy Amanda przyniosła im śniadanie.

- Co tu tak cicho? - zauważyła trochę zdziwiona. Czuła, że coś jest nie tak pomiędzy Charlesem i Nadine.

- Dzisiaj przyjeżdża twoja matka, Nadine - zagadnął Charles, by rozładować trochę napiętą atmosferę.

- Tak - odpowiedziała Nadine bez entuzjazmu. - Mam nadzieję, że nie zostanie tu długo.

- Gdzie ją umieścisz?

- Dam jej mój pokój, a ja na ten czas przeniosę się do laboratorium. Chyba nie będzie ci to przeszkadzało?

- Oczywiście, że nie - odrzekł.

Stojąc, dopiła swoją kawę. Gdy była przy drzwiach, odwróciła się i zapytała:

- Czy mogę pożyczyć jeepa?

- Naturalnie.

Kiedy już odchodziła, zauważył głośno:

- Nie spałaś dzisiaj dobrze?

Kątem oka przejrzała się w lustrze wiszącym na ścianie. Od razu zwracały uwagę jej sine zakola pod oczami.

- Nie.

- Znowu miałaś te koszmary?

Zawahała się.

- Przestałam wierzyć w to, że się od nich uwolnię.

- Jest w tym też moja wina. Byłem dla ciebie zbyt ostry w związku z notatkami. Przepraszam.

- Teraz to już nie ma znaczenia - powiedziała.

- Dlaczego jesteś taka zrezygnowana? To do ciebie niepodobne. Twoja uprzejmość jest podejrzana.

Uśmiechnęła się lekko.

- Muszę już iść. - I wyszła.

W tropiku jazdę samochodem wczesnym rankiem można zaliczyć do przyjemności, natomiast podróż pociągiem była morderstwem. Nadine, gdy znalazła się na lotnisku, intensywnie zastanawiała się, jak przywita matkę. Pamiętała ją jako piękną kobietę, a tak naprawdę, prawie jej nie znała. Stała w małym hallu, słuchając zapowiedzi przylotu samolotów. Już widać było pasażerów przechodzących do wyjścia. Nadine była zaskoczona wyglądem matki. Spodziewała się spotkać piękną, młodą jeszcze kobietę, którą pamiętała z dzieciństwa, a zobaczyła kobietę z siateczką zmarszczek na twarzy, z włosami przyprószonymi siwizną.

Matka, ujrawszy ją, zawołała:

- Nadine! - Pragnęła ją uściskać, ale dziewczyna stała w bezruchu, więc opuściła ręce.

- Musimy pojechać pociągiem, bo jeeпа zostawiłam na końcu miasta.

Podróż upłynęła im prawie w milczeniu. Nadine przypomniała sobie, jak jechała tym pociągiem kilka miesięcy temu. Było tak samo gorąco i duszno. Jej matka odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy, tylko od czasu do czasu ocierała pot z czoła. Nadine czuła, że ogarnia ją uczucie irytacji i próbowała przeciwstawić się temu. Przecież matka zadała sobie dużo trudu,

by zobaczyć się z nią. Milczały do czasu, kiedy znalazły się w jeepie. Tam świeże powietrze ożywiło trochę panią Jefferies, która odezwała się:

- Jest tu dokładnie tak, jak przed laty.

Nadine była zaskoczona.

-Więc już tu byłaś?

- Oczywiście. Było to wtedy, gdy John, twój ojciec, zdecydował się przyjechać do Afryki.

- Nie podobało ci się tutaj?

-Nie.

- Więc dlaczego tu teraz przyjechałaś? Przecież nie musiałaś.

- Chciałam. Wydawało mi się, że możesz mnie potrzebować. - W jej głosie była odrobina smutku.

Jechały dalej, a Nadine, obserwując matkę, szybko zorientowała się, że ta jest chora. Zatrzymała samochód.

- Nie czujesz się dobrze, prawda? Boli cię głowa? - spytała.

- Czy to ta podróż?

- Tak. Myślałam, że te nowe lekarstwa pomogą mi, ale...

Dojechały do szpitala. Nadine przedstawiła matce Charlesa, a potem zaprowadziła ją do małego pokoiku na końcu korytarza, aby jakiś czas odpoczęła.

- Dziwne - zastanawiała się Nadine, siedząc przy stole. - Nie pamiętam, by matka cierpiała na jakąkolwiek chorobę.

Pani Jefferies dołączyła do nich akurat w porze obiadu. Wyglądała na wypoczętą. W czasie posiłku zaskoczyła ich pytaniem:

- Czy byliście już nad Jeziorem Flamingów?

- Nie - odparł Charles zdziwiony.

- Doskonale pamiętam to miejsce. To niedaleko stąd.

- Na pewno pojedziemy tam, nim pani wyjedzie - zapewnił ją Charles, a pani Jafferies odrzekła z uśmiechem:

- Bardzo chętnie. Trzymam pana za słowo.

Na drugi dzień po południu zostały same, gdy Charles poszedł do szpitala. Słońce przeświecało przez żaluzje, a z kuchni dobiegał radosny głos Amandy. Śpiewała hymn, którego

nauczyła ją siostra Jadwiga. Pani Jefferies zapytała nieoczekiwanie:

- Co chciałabyś wiedzieć o ojcu, Nadine?
- Wszystko, co dotyczy jego życia.
- Nic więcej?

Nadine spojrzała na jej zdziwioną twarz.

- A co innego mogłoby mnie jeszcze interesować?
- Czy widziałas się z kimś, kto go znał?

Przypomniał się jej Bill Ellis, ale zaprzeczyła zawzięcie:

- Nie, nikogo.
- Myślałam, że kogoś spotkałaś. No tak, ale to było dawno...

Przez chwilę pani Jefferies siedziała zamyślona, jak gdyby zbierała myśli. Nadine powiedziała trochę zniecierpliwiona:

- Mamo, nie jestem już dzieckiem. Nie musisz się mną tak przejmować. Jeśli ojciec był alkoholikiem lub kimś, kim można stać się w tropiku, to...

- Nie, nie był alkoholikiem - przerwała jej. - Był lekarzem z powołania. Poświęcił swoje życie dla tego, czym żył.

- Więc? - Nadine była trochę zawiedziona.

- Mój problem polegał na tym - powiedziała matka trochę szorstko - że ja nie byłam w stanie poświęcić swojego życia dla tego, czym żył. Nie mogłam, nie potrafiłam. Nie chciałam spędzić w dżungli reszty mojego życia. Może to była zła decyzja, może się myliłam, nie wiem, ale wtedy wydawało mi się, że postępuję słusznie. Byłam taka młoda.

Wyznanie zaskoczyło Nadine, powiedziała łagodnie:

- Opowiadasz mi o sobie, nie tylko, co się wydarzyło, ale też to, co czułaś.

- Tak - przyznała pani Jefferies. - Sądzę, że powinnaś to wiedzieć, by mieć wyraźny obraz tego, co było.

Zapatrzyła się przed siebie, a Nadine uważnie przyjrzała się jej.

- Pobraliśmy się w 1939 roku - zaczęła. - Przedtem prowadziłam spokojne życie, nie znałam wielu mężczyzn. W tym czasie twój ojciec akurat skończył Akademię Medyczną w

Londynie. Pojechaliśmy z przyjaciółmi do Newton, by spędzić tam nasz miodowy miesiąc A potem...

Urwała i przebiegła wzrokiem po pokoju, dobierając słowa.

- To było tak, jakby ktoś rzucił na niego czar - powiedziała.

- Był zdecydowany zostać w Afryce za wszelką cenę i wszystkie nasze kłótnie kręciły się wokół tego. Czułam się winna, ponieważ wiedziałam, że on chce dobrze, że chce tutaj pomagać ludziom pozbawionym jakiegokolwiek opieki lekarskiej. Znienawidziłam Afrykę. Nie mogłam się tu zaaklimatyzować, wciąż chorowałam, źle na mnie działał upał, a oprócz tego panicznie bałam się węży i dzikich zwierząt. Nie mogłam nic na to poradzić.

- Rozumiem. I co dalej?

- Byliśmy z przyjaciółmi w Afryce, gdy wybuchła wojna - kontynuowała pani Jeffenes. - Wszyscy natychmiast wrócili do Anglii. Ja też chciałam jechać, ale twój ojciec nie zgodził się. Twierdził, że więcej dobrego zrobi zostając w Afryce. Miał rację, aleja byłam nieszczęśliwa.

Nadine przytaknęła, a ona mówiła dalej:

- Wyjechaliśmy z Newton i zaszyliśmy się w dżungli. Spałiśmy w namiocie, przemieszczaliśmy się z miejsca na miejsce. Nie mogę wprost opisać, jak nie znosiłam takiego życia. Do dziś napawa mnie wstrętem samo wspomnienie tego.

- A co na to wszystko ojciec? - spytała Nadine.

Pani Jeffenes długo milczała, nim zdecydowała się odpowiedzieć.

- Dla niego liczyła się tylko praca, była zawsze na pierwszym miejscu. W końcu powiedziałam mu, że chcę wracać do domu, że bardziej przydatna będę gdzieś w kraju. Zgodził się.

- I co było dalej? - Nadine przynagliła ją.

- Wróciłam. Sama. To było straszne. Bardzo męcząca podróż, stąd wzięta się moja choroba. W końcu udało mi się wydostać z Afryki statkiem, który został po drodze storpedowany. Mężczyzną, który uratował mi życie, był młody marynarz. Nazywał się Richard Jefferies.

-Rozumiem.

Pani Jefferies po raz pierwszy spojrzała córce prosto w oczy.

- Rozumiesz? Naprawdę to rozumiesz?

Nadine zerknęła na matkę.

- Nie jestem pewna. Nie wiem, czy to wszystko, co chciałaś mi powiedzieć.

- Zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia. Była wojna i Richard musiał wrócić' na statek. Przeżywałam ciężkie chwile...

- Kiedy znowu spotkałaś się z ojcem? - spytała niepewnie Nadine.

- Miałąś wtedy cztery lata.

- Tak? - Jej twarz była bez wyrazu, patrzyła przed siebie.

- Przez długi czas nie zgadzał się na rozwód. Żył nie w tym świecie. Czas zatrzymał się dla niego w dżungli, wśród tubylców.

- Czy czasami nas odwiedzał?

- Zawsze, kiedy przyjeżdżał do Angli, ale to było bardzo rzadko - chyba pamiętasz. Udało mi się załatwić rozwód zaocznie.

- Rozumiem - powiedziała Nadine całkiem spokojnie.

- Nie miał nic przeciwko temu. W ogóle go to nie obchodziło.

- A ja? - spytała Nadine. - Czy ja również go nie obchodziłam? Tak - odpowiedziała sobie - nie mogłam go obchodzić, przecież nie był moim ojcem.

- Nadine, ojciec bardzo ciebie kochał, był dobrym człowiekiem pod wieloma względami, z wyjątkiem tego, że mnie nie potrzebował - westchnęła. - Zdecydowaliśmy, że będzie lepiej dla ciebie, jeśli o niczym się nie dowiesz.

- Więc dlatego nie chciałaś, bym do niego pojechała?

- On nie chciał, byś przyjechała, Nadine, nie potrzebował nikogo. Był najbardziej samowystarczalnym człowiekiem, jakiego znałam.

- Dlaczego nie chciałaś, bym studiowała medycynę i przyjechała tu jako lekarz, kiedy on już umarł?

- Wiesz, jacy są ludzie. Bałam się, że to oni opowiedzą ci o wszystkim.
- Więc dlatego wysłałaś mnie do szkoły z internatem?
- W pewnym sensie tak.
- A teraz? Dlaczego teraz mówisz mi to wszystko?
- Bo zamierzasz napisać o nim książkę.
- Rozumiem - powiedziała Nadine i nagle zaczęła się nerwowo śmiać. - To zabawne, nie uważasz? Ale Charles się uśmieje.
- Charles?
- Mój przyjaciel, doktor Martin.
- Dlaczego miałby się śmiać? - głos pani Jefferies był nieprzyjemnie ostry. Nadine powiedziała:
- Nie wiem. Po prostu to jest zabawne. Całe to zamieszanie wokół mojego ojca... - urwała nagle. - Żyłam marzeniami. Nawet go nie znałam, te parę spotkań to tyle, co prawie nic.
- Nagle pani Jefferies zmieniła temat.
- Kochasz Charlesa? - spytała.
- Czy kocham Charlesa? Jeśli mam być szczerą, to tak, kocham go.
- A on?
- Ostatnio pokłóciliśmy się o notatki ojca, ale on nie myśli o małżeństwie.
- Dlaczego nie? - znów jej głos stał się nieprzyjemny. Dlaczego ten mężczyzna nic chce jej córki? Nadine uśmiechnęła się nieznacznie i powiedziała:
- Sadzi, że nie jest wystarczająco dobry dla mnie. Uważa, że tutaj będę z nim nieszczęśliwa.
- Wygląda na bardzo miłego, młodego człowieka - zauważyła pani Jefferies.
- Młodego? Mamo, trudno nazwać młodym prawie trzydziestopięcioletniego mężczyznę.
- Ja mam ponad pięćdziesiątkę i uważam, że jest młody i miły. Gdyby twój ojciec myślał tak jak on, uniknęlibyśmy wielu nieszczęść.
- Tak, rozumiem. Więc mój ojciec zdecydował się zostać w Afryce dopiero po ślubie?

- Tak - powiedziała pani Jefferies. - Nie spodziewałaś się takiej odpowiedzi, prawda?

Nadine przez chwilę rozmyślała. Co mogła powiedzieć?

- Gdybym знаła prawdę od początku, byłoby mi łatwiej - powiedziała na wpuł do siebie.

- Może. Ale naprawdę nie wiedziałam, co począć. W tym czasie takie rozwiązanie wydawało się lepsze. Legalnie byłaś jego córka.

- Tak. - Nadine nie powiedziała nic więcej, była oszołomiona. Czekały na Charlesa.

W czasie obiadu pani Jefferies i Charles byli bardzo rozmowni, w przeciwieństwie do Nadine, która milczała. Lekarz opowiadał o pracy w szpitalu, o siostrach, o budowie kaplicy i o szkole.

Później pani Jefferies powiedziała:

- Szkoda, że nie ma jeszcze jednej osoby, moglibyśmy zagrać w brydża.

Nadine siedziała blada.

- Ja nie gram w brydża - szczerze odpowiedziała.

- Aleja uwielbiam - powiedział Charles. - Kocham karty. Co powiecie na wista? Albo pokera? Może zagramy w tysiąca?

- Nie, dziękuję - odpowiedziała Nadine. - Jeśli pozwolicie, pójdę spać. - Chciała być sama, aby to wszystko przemyśleć. Przypuszczała, że matka celowo zaproponowała grę w karty, wiedząc, że chce odejść.

Rozebrała się powoli. Śmiertelnie zmęczona, weszła do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Wirowały jej myśli ... Oddany lekarz, wymagający od swojej żony, by żyła w dżungli... Już dawno przestała wierzyć w bajki, wiedziała, że życie nie jest takie proste. A Richard Jefferies? Uratował życie matce... Gdyby umiała zaakceptować go jako ojca, stałaby się członkiem rodziny.

To by było lepsze niż płkanie po nocach... Nareszcie **nie** żyła już złudzeniami. Jej ojciec nie był samotny, nie był pozostawiony na pastwę losu przez kobietę bez skrupułów. Niewątpliwie był szczęśliwy. Żył tak, jak chciał.

I nagle zasnęła. Nie miała koszmarów. Po raz pierwszy od lat wiedziała też, że nie będą już ją nękać.

Na drugi dzień Charles zaproponował przejażdżkę nad Jezioro Flamingów.

- Dzisiaj nie jesteśmy zbyt zajęci, więc możemy się tam wybrać, przyda nam się trochę odpoczynku. - Spojrzał na Nadine.

- Oczywiście - zgodziła się. - Jeśli mama zniesie podróż.

- To nie jest daleko - powiedziała pani Jefferies.

Wsiedli do jeepa - Charles za kierownicą, a Nadine z matką na tylnym siedzeniu. Jechali na południe wzdłuż rzeki. W czasie jazdy Nadine zaciekawiona zapytała matkę:

- Czy masz jakieś wspomnienia związane z tym jeziorem?

- Tak - odparła pani Jefferies. - Na pewno chciałybyś wiedzieć jakie? Cóż, to było nasze pierwsze miejsce. Byliśmy wtedy szczęśliwi, to był początek naszego miodowego miesiąca, nie było jeszcze wojny... To był taki zagubiony zakątek, nierealny świat zawieszony w czasie.

Nadine przypomniała sobie turkusowe motyle w dżungli i powiedziała miękko.

- Rozumiem. - I nagle przytuliła się do matki.

Dojechali na miejsce. Błękitna, przejrzysta woda, zupełnie inna od tej zamulonej w rzece, rozciągała się aż po horyzont. Gdy podjechali bliżej, w powietrze wbiło się całe stado różowych flamingów, by po chwili znowu majestatycznie usiąść. Byli oczarowani.

Zaczęli spacerować wzdłuż brzegu. Pani Jefferies, patrząc na wodę, powiedziała trochę łamiącym się głosem:

- Gdyby tak można było cofnąć czas.

- Po co? Tak jak jest, jest dobrze - odparła Nadine.

Pani Jefferies obróciła się w jej stronę.

- Więc nie czujesz do mnie żalu?

Nadine bez zastanowienia chwyciła matkę pod ramię.

- Miałaś prawo do szczęścia - powiedziała.

Przeszli jeszcze kawałek, a pani Jefferies przystanąła, mówiąc:

- Czuję się trochę zmęczona, odpocznę w samochodzie. Nie przejmujcie się mną, idźcie dalej wzdłuż jeziora, tu jest tak pięknie.

- Bardzo dyplomatycznie - skomentowała Nadine, gdy matka zniknęła im z oczu.

Przez chwilę szli wsłuchani w ciszę, w końcu Charles odezwał się:

- Wczoraj w nocy twoja matka opowiedziała mi waszą historię.

Zatrzymała się.

- Opowiedziała ci? Dlaczego?

- Nie mówiła dlaczego, po prostu opowiedziała mi.

- Może dlatego, że powiedziałam, że będziesz się śmiał.

- Cóż, nie śmiałem się - powiedział spokojnie, a po namyśle dodał:

- Zastanawiam się, co mogłaś czuć, gdy dowiedziałaś się o wszystkim?

- Nie wiem - odpowiedziała szczerze. - Nie potrafię tego nazwać. Trudno to nazwać. Może powinnam czuć się oburzona, zraniona, czy coś w tym rodzaju, a tak naprawdę Charles, w tej chwili nie jest to już dla mnie takie ważne. To jest przeszłość, która już nie dotyczy mnie.

- Czy to możliwe? - spytał. - W takim razie twoje uczucia podążają w innym kierunku.

-W jakim?

- W moim.

Przystanąła.

- Charles - powiedziała. - O ile dobrze pamiętam, to ty byłeś tym, który powiedział jasno, bez ogródek, że to, co jest między nami, nie ma żadnych szans. To ty sugerowałeś mi powrót do Anglii.

- Wiem - odrzekł trochę zażenowany. - I... przepraszam.

- Przepraszam? - Zaczęła iść. - To już jakiś krok do przodu...

- Tak - powiedział. - Wszystko zdaje się być po staremu.

- Ja jeszcze nie widzę, żeby cokolwiek zmieniło się między nami. - Odrzuciła gniewnie włosy do tyłu. - A może... Czy moja matka coś ci mówiła, o coś cię prosiła?

- Prosiła? O co? Nie. Oczywiście, że nie, dlaczego miałyby to robić? Chyba, że... - Nagle zaczął się rozbawiony śmiać - że powiedziałaś jej, że mnie kochasz.

Przyspieszyła kroku, by nie słyszeć jego śmiechu. W końcu powiedziała:

- Nic się nie zmieniło. Jestem wciąż tą samą Nadine, pragnącą domu. Tak, Charles. Chcę mieć dom. I chcę, byś sobie to dobrze uświadomił.

Nagle zatrzymali się i stanęli twarzą w twarz.

- Wydaje mi się - powiedział Charles - że problem polega na tym, gdzie będziemy mieć ten dom. Jeśli moglibyśmy to ustalić, byłoby o wiele prościej. Prawdę mówiąc, uświadomiłem to sobie podczas rozmowy z twoją matką. Mówiła, że gdyby wiedziała, że twój ojciec chce zostać w Afryce, nie wyszłaby za niego. Więc jeśli chodzi o nas, to musimy zdecydować, czy kochamy się tak bardzo, że nie rozdzielimy się, a jeżeli tak, to jedno z nas będzie musiało ustąpić. Ostatniej nocy przemyślałem to. Ty nie zrezygnujesz, więc ja to zrobię.

- Naprawdę, Charles?

- Tak. Nie chcę się z tobą rozstawać. Nawet wtedy, gdyby stawką była moja wolność.

- Ty nie byłbyś szczęśliwy w Anglii, Charles.

- Wolę być nieszczęśliwy z tobą, niż szczęśliwy bez ciebie.

Odrzuciła głowę do tyłu i radośnie się zaśmiała. Echo tego śmiechu rozprysło się po jeziorze tak, że przestraszone flamingi wbiły się w górę, tworząc w powietrzu różową chmurę.

- Jesteś cudowny, Charles. - Oczy jej błyszczały.

- Tak naprawdę, to nie chciałem, żebyś wyjeżdżała, powiedziałbym to tobie przed wyjazdem z Waseke. Nie musimy się kłócić jak czy gdzie będziemy żyć. Po prostu teraz zdecydujemy, ty to zrobisz.

Patrzyła na jezioro.

- Wczoraj w nocy, chcąc być szczerą wobec siebie, przemyślałam raz jeszcze to wszystko, próbowałam sobie przypomnieć, dlaczego tu przyjechałam. Pomijając sprawę z ojcem, Afryka zawsze pociągała mnie.

-Tak?

- Oczywiście, że tak. Nawet kiedy on umarł, a moje wysiłki skoncentrowały się na pragnieniu napisania książki, to wciąż chciałam tu przyjechać.

- Przecież możesz jeszcze napisać tę książkę.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Wydaje mi się, że on nie chciałby tego, a dla mojej matki też będzie lepiej, jeśli zrezygnuję z tego.

- Cieszę się, że tak czujesz, Nadine.

- Ojciec na pewno wolałby, by jego odkrycia pomogły ludziom - dodała i twarz jej nagle spochmurniała. - Charles, tak mi przykro w związku z tymi notatkami. Byłam bezmyślna i samolubna.

- Dostałem wczoraj list z Instytutu Medycyny Tropikalnej. Zamierzają napisać do ciebie z propozycją współpracy, chcą, byś dalej prowadziła badania.

Jej twarz pojaśniała.

- Te badania pasjonują mnie, Charles. Chciałabym to robić tu, w Zagubionym Zakątku.

- Naprawdę chciałabyś tu zostać?

- Muszę ci coś wyznać, Charles. Kiedy siadaliśmy wieczorami na werandzie, nim pojawił się Steve, nie mogłam oprzeć się uczuciu, że to jest jak dom. Mój dom. - I nagle spuściła wzrok. - Kiedy powiedziałaś, żebym wracała do Anglii, uświadomiłam sobie, że nie chcę opuszczać Zagubionego Zakątka i... -jej głos stał się ledwo słyszalny - i nie mogę rozstać się z tobą.

Przez moment nie było odpowiedzi, a ona stała, drżąca, niepewna, wtedy objął ją, całując jej oczy, włosy, usta. Świat zawirował i wszystko utonęło w gwałtownych uderzeniach serca.

- Nie rozstaniemy się Nadine, nigdy. Będziemy zawsze razem - wyszeptał.

Słońce rozświetlało przejrzystą wodę w jeziorze i kobietę siedzącą w samochodzie, która przypomniła sobie czas, gdy była młoda. Poczowała łzy w oczach. Spojrzała na brzeg jeziora. Ujrzała dwa cienie stopione w jedno. Otarła łzy z oczu i uśmiechnęła się.